REPORTAŻ

Jean Hatzfeld

Nagość życia

Opowieści z bagien Rwandy



Jean Hatzfeld

Nagość życia

Opowieści z bagien Rwandy

Dans le nu de la vie. Récis des marais Rwandais

Przełożył

Jacek Giszczak



Wołowiec 2011

Spis treści:



ONGO-ZAIR
UGANDA
TANZANIA
Akagera
Park Narodowy Akagera
Ruhengeri
Byumba
Gisenyi
JEZIORO
KIVU
Nyabarongo
Kigali
Kibuye
Gitarama
Rilima
Nyamata
Akagera
Gikongoro
Cyangugu
Butare
Akanyaru
BURUNDI
Stolica
Miasta
Rzeki
Jeziora
Bagna
Drogi
Granice
40 km


powiat Kanom
kierunek Kigali
Nyabarongo
KIBUNGO
KANZENZE
MWOGO
Nyirarukobwa
Nyabarongo
N'TARAMA
szkoła
w Cyugaro
KAYUMBA
MUKAMA
Akanyaru
Nyamata
KINYINYA
KANAZI
MUSENYI
MUYENZI
RULINDO
GICACA
NYAGIHUNIKA
MAYANGE
powiat Ngenda
kierunek Gako,
Rilima i Burundi
jezioro Cyohoha
Droga główna
Granice wzgórz
Rzeki
Bagna porośnięte papirusami
Miasteczko Nyamata
2 km

Wprowadzenie

W roku 1994, od godziny jedenastej w poniedziałek 11 kwietnia do czternastej w sobotę 14 maja, około pięćdziesięciu tysięcy z pięćdziesięciu dziewięciu tysięcy miejscowych Tutsi zginęło od maczety na wzgórzach powiatu Nyamata w Rwandzie z rąk bojówkarzy *interahamwe* i sąsiadów Hutu, którzy zabijali codziennie od godziny dziewiątej trzydzieści do godziny szesnastej. Oto punkt wyjścia tej książki.

Kilka dni wcześniej, wieczorem 6 kwietnia 1994 roku, nad lotniskiem w Kigali eksploduje samolot z powracającym do kraju prezydentem Rwandy, Juvénalem Habyarimaną. Ten zamach jest sygnałem do rozpoczęcia masakry Tutsi, którą planowano od wielu miesięcy i która zaczyna się o świcie na ulicach stolicy, by rozprzestrzenić się na cały kraj.

W Nyamacie w prowincji Bugesera, krainie wzgórz i bagien, rzezie zaczynają się cztery dni później na głównej ulicy miasteczka. Tłumy Tutsi szukają schronienia w kościołach lub kryją się na plantacjach bananowców, na bagnach i w lasach eukaliptusowych. 14, 15 i 16 kwietnia bojówkarze, żołnierze i zdecydowana większość sąsiadów Hutu morduje pięć tysięcy osób w kościele w Nyamacie, tyle samo w kościele w oddalonej o dwadzieścia kilometrów osadzie N’tarama. Te masakry rozpoczynają czas ludobójstwa na nieurodzajnej, kamienistej ziemi. Trwa tutaj do połowy maja. Przez miesiąc zdyscyplinowane, trzeźwe, rozśpiewane oddziały zabójców otaczają i ścigają zbiegów w eukaliptusowym lesie na wzgórzu Kayumba, na porośniętych papirusami bagnach Nyamwiza; są uzbrojeni w maczety, dzidy i pałki. Dzięki tej gorliwości udaje im się zabić pięciu na sześciu Tutsi, znacznie więcej niż w miastach, podobnie jest we wszystkich rwandyjskich wioskach.

Przez wiele lat ci, którzy ocaleli na wzgórzach Nyamaty i gdzie indziej, zachowywali milczenie, równie enigmatyczne jak milczenie ocalałych po tym, jak

otworzono bramy nazistowskich obozów koncentracyjnych. Jedni wyjaśniają, że „życie się załamało”; dla innych „stanęło w miejscu”; jeszcze inni mówią, że „absolutnie musi zacząć się od nowa”; a jednak wszyscy przyznają, że między sobą mówią tylko o ludobójstwie. Stąd zamiar, by tam wrócić i z nimi rozmawiać, pić piwo primus u Marie-Louise’y czy wino z bananów przy kontuarze w Kibungo, odwiedzać domy o ścianach z gliny, tarasy barów, zwanych „kabaretami" w cieniu drzew akacjowych, najpierw nieśmiało, potem ciesząc się większym zaufaniem, wchodząc w zażyłość z Cassiusem, Francine, Angélique, Berthe’ą oraz innymi i nakłaniając ich do opowiadania. Wielu z nich powątpiewa w sens rozmowy z obcym albo nie wierzy, że ich opowieści mogą go zajmować, ale nikt nie odmawia.

Aby wyjaśnić tak długie milczenie, mówią na przykład, że „zepchnięto ich na pobocze, jakby byli zbędni”. Albo „że nie ufali ludziom”, że nie mieli odwagi, czuli się odsunięci, „rozbici”. Że byli „zawstydzeni”, a czasem też „czuli się winni”, że zajęli miejsce kogoś, kogo znali, czy też znów powrócili do życiowych nawyków.

Kobiety uprawiające pole, pasterze, handlarze, nauczyciele, pracownica socjalna, pomocnica murarza dzień po dniu, w Nyamacie czy na okolicznych wzgórzach, mówią z wahaniem, z trudem przywołując niektóre wspomnienia, szukając odpowiedzi na kolejne pytania, które wyłaniają się w trakcie rozmowy. Większość z nich, choć sceptycznie lub obojętnie odnosi się do lekcji płynących z historii, stara się dzielić ze mną swą niemożnością zrozumienia, wewnętrznym zagubieniem, obecną samotnością.

*

Ludobójstwo to nie jakaś wyjątkowo krwawa i okrutna wojna. To projekt eksterminacji. Po zakończeniu wojny ocalali cywile czują silną potrzebę dawania świadectwa; gdy skończy się ludobójstwo, przeciwnie, ci, którzy przeżyli, nieoczekiwanie wybierają milczenie. To zamknięcie się w sobie jest porażające.

Jeszcze długo będzie się pisać o ludobójstwie w Rwandzie. Celem tej książki nie jest jednak powiększanie stosu wydanych już opracowań, zbiorów dokumentów,

powieści, czasem znakomitych. Tylko umożliwienie lektury tych dziwnych opowieści ludzi ocalałych.

Ludobójstwo - by przytoczyć definicję jednej z owych osób - to nieludzki plan wymyślony przez ludzi, zbyt szalony i metodyczny, by móc go zrozumieć. Opowieści Claudine, Odette'y, Jean-Baptiste'y, Christine oraz ich sąsiadów o gonitwach na bagnach; relacje, często drastyczne i niezwykle żywe, o koczowaniu na wzgórzach, o upodleniu, o upokorzeniach, potem odsunięciu na boczny tor; ich strach przed spojrzeniami innych, obecne obsesje, głęboka zażyłość grupy i pytania o naturę wspomnień; refleksje ludzi ocalałych, a zarazem Afrykanów zamieszkujących wioski, pozwalają spojrzeć na ludobójstwo z bliska.

Wczesnym rankiem w Nyamacie

Szare żurawie krzykiem podobnym do dźwięku trąbki jako pierwsze ogłaszają kres nocy w dzielnicy Gatare. Wkrótce miesza się z nim wrzask turaków i słońce nie każe już na siebie czekać. W porannej mgle pojawiają się szybujące majestatycznie bociany i pelikany, niezdecydowane, krążące nad rozlewiskiem. Kozy w krytych liśćmi przydomowych zagrodach zaczynają się domagać, by je wypuszczono. Potem krowy ustalają rytm nowego dnia; pojedynczo lub małymi stadkami znikają w buszu na zboczach Kayumby, popędzane przez chłopców w za długich marynarkach włożonych na nagi tors, z kijami w dłoniach.

W górnej części dzielnicy ostatnie uliczki z domami o ścianach z gliny gubią się wśród ugoru, który dalej przekształca się w boisko, wyznaczające zarazem koniec głównej ulicy Nyamaty. To boisko, wyposażone w metalowe bramki, nierówne w porze suchej, grząskie w porze deszczowej, nigdy nie zniechęca tłumu piłkarzy w najróżniejszym wieku, którzy przez cały dzień grają tu na zmianę. Niżej widać rozsiane gdzieniegdzie murowane domy, w których mieszka wielu nauczycieli, urzędników czy kupców.

Édith Uwanyiligira prowadzi tam dom gościnny z cegły, stojący w cieniu mangowców i papai. Wielki dziedziniec za domem od rana do wieczora okupuje czereda dzieciaków z sąsiedztwa, stojących gęsiego, by napełnić kanistry pod jedynym kranem w okolicy, między lepianką, gdzie mieści się kuchnia, i szopą z narzędziami. W porze posiłku dzieciarnia znów gromadzi się na podwórzu, skuszona brzuchatym kotłem, w którym od rana do wieczora bulgocze zupa z warzyw, przywożonych z targu na taczce przez samą panią domu.

Stojąc na werandzie, słyszymy, po prawej, wśród gałęzi, śpiew tomaków z wielkimi dziobami i żółtozielonych trogonów. Na wprost widać lepianki z gliny wymieszanej ze słomą, ogródki z tyczkami fasoli, głębokie rowy, w których ze

słomy i osuszonego błota lepi się brykiety potrzebne do budowy; gdzieniegdzie widać kury, bieliznę wiszącą na gałęziach i żywopłotach.

Droga, na której już wkrótce zaroi się od pieszych, rowerzystów, szczęśliwych posiadaczy motorowerów, biegnie przed żółtym budynkiem władz gminy, otoczonym wysokim, usianym kwiatami żywopłotem. Na dziedzińcu urzędnicy w białych koszulach dyskutują z mieszkańcami, którzy przyszli tu po pieczątkę. Na parkingu stoi terenowa półciężarówka burmistrza, ciągnik i całe mnóstwo jednocylindrowych motocykli i rowerów, opartych jedne o drugie pod pniami awokado.

Innocent Rwililiza pracuje w urzędzie gminy, a kilkaset metrów wyżej prowadzi swoje jednoosobowe biuro Sylvie Umubyeyi.

*

Sylvie Umubyeyi jest pracownicą socjalną i z tej racji pierwszą osobą, którą poznaję w Nyamacie. Dowiedziawszy się w Kigali, że grupki ocalałych dzieci włóczą się po sawannie otaczającej okoliczne bagna, przyjechałem i zapytałem ją, czy mógłbym w jakiś sposób spotkać się z tymi dziećmi. Sylvie, sceptyczna albo nieufna, nie była skłonna pomagać cudzoziemcowi w nawiązaniu z nimi bezpośredniego kontaktu. Lecz gdy wracałem już do Kigali, natknęliśmy się na siebie przy wejściu do Miejsca Pamięci, zamieniliśmy parę słów i wydaje się, że ten przypadek sprawił, iż zmieniła zdanie. Bez żadnych wyjaśnień zaproponowała, bym wsiadł do jej furgonetki, i ruszyliśmy, mijając plantacje bananów. Zawiozła mnie do Jeannette Ayinkamiye, kilkunastoletniej wieśniaczki opiekującej się grupką opuszczonych dzieci, z którą rozmawiałem przez cały ranek. Sylvie wielokrotnie woziła mnie na wzgórza. A równocześnie sama zgodziła się mówić o sobie, najpierw ostrożnie, potem chętnie i regularnie. To ujmująca osoba. Tak zrodził się wybór wzgórz wokół Nyamaty.

Podczas mojego drugiego pobytu Sylvie poprosiła Innocenta Rwililizę, żeby ją zastąpił, okazał się równie uczynny i wyrozumiały. Oboje pełnili funkcję moich

przewodników i stali się przyjaciółmi, bez których te wyprawy na wzgórza i spotkania z ocalałymi byłyby czymś nie do pomyślenia.

W wielu sytuacjach okazali się też niezwykle sprawnymi tłumaczami. Trzeba podkreślić, że opowieści formułowane były w trzech językach: w języku kinyarwanda, którym posługują się chłopki; w rwandyjskiej odmianie francuskiego, języku innych osób oraz moich tłumaczy; oraz francuskim z metropolii. Szczególnie zależało mi na zachowaniu form rwandyjskiej wersji języka francuskiego (która w cudowny sposób przyswaja sobie francuskie słownictwo), by wiernie przekazać niektóre opisy czy refleksje, gdzie z rzadka zdarzają się językowe potknięcia, zbyt oczywiste, by mogło to w jakikolwiek sposób zaszkodzić tekstowi.

*

Gdy wyjeżdżamy z gminy, droga skręca w lewo i widać park wokół dawnego kościoła parafialnego. Ten kościół był jedyną nowoczesną budowlą w miasteczku. Puste otwory okienne i zniszczone pokrycie dachu to ślady po wybuchu granatu. Wielokrotnie watykańska kuria próbowała przywrócić godność temu miejscu, tak by znów można było odprawiać nabożeństwa w kościele. Ale mieszkańcy Nyamaty postanowili zachować go w tym stanie i zmienić w jedno z dwóch miejsc pamięci w regionie; gdyż tutaj doszło do pierwszej rzezi tłumu liczącego pięć tysięcy osób, od czego zaczęło się polowanie na ludzi w prowincji Bugesera.

Wokół kościoła kozy przeżuwają liście parkowych krzewów. Ich pasterzem jest dwunastoletni chłopiec. Siedzi w cieniu drzewa, z piłką u stóp, z gałązką w dłoni. Nazywa się Cassius Niyonsaba. Gawędzi ze strażnikiem Miejsca Pamięci. Codziennie można go spotkać w pobliżu kościoła, w połowie drogi między szkołą i domem jego ciotki Thérèse. Czasem przychodzi tu kopać piłkę z kolegą; czasem, jak dziś, przypędza tu swoje kozy; czasami jest sam, siedzi na murku za kościołem i patrzy na grobowiec. Jego kędzierzawą czuprynę przecina długa głęboka blizna.

Cassius Niyonsaba, 12 lat, uczeń Wzgórze N'tarama

Tata był skromnym nauczycielem, mama uprawiała pole. Z rodziny ze strony ojca tylko ja zostałem przy życiu. Z rodziny ze strony matki też tylko ja ocalałem. Już nie pamiętam, ilu miałem braci i sióstr, starszych albo młodszych, bo zbyt mi ciąży tak wielka liczba zabitych, moja pamięć nie radzi już sobie z liczbami. Zresztą w szkole też jestem przez to opóźniony.

Ale ciągle mam przed oczami masakrę w kościele i okrucieństwo *interahamwe*. Tak nazywamy zabójców Hutu. Przywykliśmy do ich widoku na drogach. Głośno nam wygrażali. Słyszeliśmy to, mówiliśmy, że coś jest nie tak, jednak trudno nam było wierzyć w tego rodzaju rzeczy. Później, po wypadku samolotu, sąsiedzi Hutu z mojego wzgórza przychodzili co dzień zabijać ludzi z okolicy, nawet nie wdając się w jakieś przepychanki czy kłótnie. Więc ludzie zrozumieli, że to nie są żarty, uciekali do lasu albo do kościoła. Ja zszedłem do starszej siostry do Nyamaty, tylko dlatego nie zginąłem w N'taramie.

W dniu, w którym zaczęły się rzezie w Nyamacie, na ulicy przy dużym targu, pobiegliśmy do kościoła parafialnego. Zebrał się już tam tłum, bo to rwandyjski zwyczaj, chronić się w domach Bożych, gdy zacznie się masakra. Czas pozostawił nam dwa dni spokoju, potem żołnierze i policjanci z gminy otoczyli kościół, krzyczeli, że wszyscy zostaniemy zabici. Pamiętam, że baliśmy się oddychać i cokolwiek mówić. *Interahamwe* przyszli ze śpiewem, przed południem, rzucili granaty, wyrwali bramę, potem wpadli do kościoła i zaczęli ćwiartować ludzi maczetami i dźgać oszczepami. We włosach mieli liście manioku, krzyczeli z wszystkich sił, śmiali się na całe gardło. Walili gdzie popadło, ścinali na oślep.

Ludzie, którzy nie spływali własną krwią, spływali krwią innych, to było straszne widowisko. Więc zaczęli umierać, bez słowa protestu. Panował wielki zamęt, a

równocześnie cisza. Po popołudniu *interahamwe* zaczęli palić małe dzieci przed drzwiami. Widziałem na własne oczy, jak wiły się poparzone, naprawdę jeszcze żywe. Czuć było mocny swąd mięsa i benzyny.

Nie wiedziałem już, gdzie jest starsza siostra, byłem otumaniony. Pod koniec popołudnia dostałem w głowę młotkiem, upadłem, ale przeczołgałem się jakoś i ukryłem z chłopakami za konfesjonałem. Kiedy *interahamwe* zakończyli dzień pracy, młodzi od nas, jeszcze zdolni uciekać do buszu, wzięli mnie na plecy.

W ciągu dwóch dni *interahamwe* skończyli rzeź w kościele i zaraz potem poszli tropić nas w lesie, z pałkami i maczetami. Szli z psami, szukając uciekinierów w zaroślach. Tam właśnie mnie dopadli. Usłyszałem krzyk, zobaczyłem maczetę, poczułem uderzenie w głowę i wpadłem do dołu.

Najpierw umierałem, potem poczułem chęć życia. Nie pamiętam już jak. Przechodziła tamtędy kobieta o imieniu Mathilde, znalazła mnie i zaniosła do kryjówki pod kępą *umunzenze*. *Umunzenze* to wielkie drzewa. Co wieczór w ciemnościach przynosiła mi wodę i pożywienie. Głowa mi gniła, czułem robaki drążące blisko mózgu. Myślałem, że ktoś rzucił na mnie urok. Ale ta pani okładała mi ranę leczniczymi liśćmi. Ta kobieta o dobrym sercu pochodziła z Nyamaty; nie znałem jej nazwiska, gdyż ja mieszkałem w N'taramie, jak już panu wspomniałem. Była po prostu Tutsi, żoną urzędnika Hutu. Gdy jej mąż się dowiedział, że zajmuje się dzieckiem Tutsi, zaprowadził ją nad staw Rwaki-Birizi, o dobry kilometr drogi, jak później mi powiedziano, i zabił ją jednym uderzeniem noża. Później dołączył do kolumny uciekających do Konga i nikt go więcej nie widział.

Nie pamiętam już dobrze końca ludobójstwa, przez tę ranę na głowie. Nie miałem sił, o niczym nie myślałem, na moim rodzinnym domu nie było już nawet dachu. Byłem osłabiony malarią, nie miałem nic prócz majtek. Nie miałem z kim żyć dalej, bo wszyscy zostali zabici, w kościele albo na bagnach. Wróciłem więc do Nyamaty, do ciotki Thérèse, która uprawia pole.

Teraz mieszkam z jej dziećmi i innymi dzieciakami bez rodzin jak ja. Zdarza się,

że podczas rozmowy ktoś wspomni o ludobójstwie, wtedy każdy zaczyna opowiadać, co widział. Czasem zajmuje to dużo czasu. Czasami ktoś próbuje zmienić jakiś szczegół, ale zwykle powtarzamy sobie te same wspomnienia. Taka rozmowa pozwala nam zapomnieć o bólu.

Wróciłem do szkoły, jestem w czwartej klasie. W ławkach siedzą też dzieci Hutu, nie mam z nimi problemów. Czasami gram na boisku, ale to chłopcy z Burundi przynoszą zwykle piłkę i mają na nogach buty, żeby dobrze kopać. Bardzo lubię rozmawiać z jednym moim kolegą, lubię też spacerować. Tylko trochę się boję, gdy sam idę po chrust na opał, z dala od domów, z powodu rodzin, które wróciły z Konga. Kiedy przychodzi moja kolej, żeby pilnować kóz ciotki, gnam je do buszu z chłopakami, którzy pasą krowy.

Ale najbardziej lubię posiedzieć sobie na podwórzu kościoła. W miejscu, gdzie uniknąłem rzezi. Przychodzę tu co dzień, to po drodze do szkoły. W sobotę i podczas wakacji też. Raz przypędzam tu kozy ciotki, kiedy indziej przychodzę z kolegą i piłką albo siedzę sam. Codziennie patrzę na dziury w murze. Podchodzę do półek, oglądam czaszki, kości wszystkich tych ludzi zabitych wokół mnie.

Na początku na widok czaszek bez imion i bez oczu, które na mnie patrzyły, zbierało mi się na płacz. Ale powoli przywykliśmy do siebie. Długo tak przesiaduję i moje myśli odchodzą razem z nimi wszystkimi. Staram się nie myśleć o twarzach ludzi, gdy patrzę na czaszki, bo jeśli przypadkiem wyobrażę sobie kogoś znajomego, opada mnie strach. Po prostu wędruję we wspomnieniach z wszystkimi zmarłymi, których ciała pocięto i których nie pochowano. Widok i zapach tych kości wywołują ból, a zarazem przynoszą ulgę myślom. Tak czy owak, mącą mi w głowie.

W szkole nie mamy czasu, by o tym wszystkim poważnie porozmawiać. I wielu ludzi mi mówi, żebym zostawił wspomnienia, bo to bardzo szkodzi. Z tego powodu wracam do kościoła. Bardzo lubię ten spokój. Lubię długie rozmowy po szkole ze strażnikiem Miejsca Pamięci. Nazywa się Épimaque Rwema. Opowiada mi, jakim

dobrym miastem przed ludobójstwem była Nyamata, było tu dużo sklepów, silna drużyna piłkarska i samochody na ulicach, takie życie zdawało się spokojne i trudne tylko w czasie suszy. Jak podczas ludobójstwa ludzie leżeli zagrzebani w błocie; czemu sąsiedzi nie powiedzą już sobie dobrego słowa. Wyjaśnia mi, dlaczego pomimo wyzwolenia jest tylu załamanych ludzi. Mówi też o dobrych cudzoziemcach, którzy przyjeżdżają teraz oglądać kości w Miejscu Pamięci, nawet o tych, którzy zapominają zostawić jakiś datek.

*

Słyszałem, że były rzezie w całej Bugeserze i kraju; ale w Nyamacie było to jeszcze trudniejsze do pojęcia, bo złoczyńcy ćwiartowali kobiety i dzieci pod krzyżem. To dlatego władze zezwoliły nam zbudować tu miejsce pamięci.

W kościele rozpoznałem tylko jednego sąsiada, który zabijał ludzi. Był z N'taramy, walił, jakby się nie mógł powstrzymać. Ledwie dyszał. Był bez koszuli, cały ociekał potem, choć wymachiwał pałką w cieniu, pod dachem. Często koło targu spotykam jego rodzinę, która wróciła na parcelę, i czuję się nieswojo. Wiem, że siedzi w więzieniu w Rilimie. Myślę, że nie potrafi już żyć; bo jeśli ktoś za dużo walił pałką, może już myśleć tylko o tych, których zabił, i o tym, jak ich zabił, już nigdy nie straci chęci do zabijania. W kościele widziałem, że w ludzkim sercu okrucieństwo może zastąpić życzliwość szybciej, niż przychodzi gwałtowna ulewa. Ta myśl mnie męczy i odbiera mi spokój.

Myślę, że biali, a nawet czarni z sąsiednich krajów nigdy do końca nie uwierzą w to, co się u nas stało. Przyjmą część prawdy, odrzucą resztę. Nawet rozmawiając ze sobą, dziwimy się, gdy koledzy opowiadają o rzeziach tam, gdzie nas nie było, bo najprawdziwsza prawda o masakrze Tutsi przerasta nas wszystkich. Dlatego gdy myślę o ludziach, którzy ścięli tatę i mamę, całą moją rodzinę, chciałbym, żeby ich rozstrzelano i bym mógł oderwać myśli od ich smutnego losu.

Myślę, że *interahamwe* nie są w stanie naprawdę wyjaśnić, dlaczego nie cierpią Tutsi; potrafią tylko powtarzać groźby czy zarzuty. Podobno boją się czegoś, co jest

w naturze Tutsi, skrytego zagrożenia. Prawda jest taka, że są za bardzo łasi na bogactwa Tutsi, boją się, że kiedyś zabraknie im pól, boją się, że będą na ich łasce. Nawet kiedy Tutsi są od nich biedniejsi, Hutu chcieliby przekopać podłogę w ich domu, by zabrać im cokolwiek. Propaganda i chciwość popsuły im serca.

Kiedy dorosnę, nie będę chodził na msze. Nie wejdę do żadnego innego kościoła. Chciałbym zostać nauczycielem, bo w szkole inni mi pomagają i dlatego, że tata był nauczycielem.

Duży i mały targ

W odległości stu metrów od kościoła zaczyna się główna ulica Nyamaty, wysadzana majestatycznymi drzewami *umuniyinya,* zwanymi „drzewami posłuchań”. Drewniana tablica informuje o kampanii zapobiegania aids, to jedyny widoczny w mieście slogan. Stoi przy wejściu na plac targowy, pełen graczy uganiających się za piłką z liści bananowca, poza letnimi godzinami sjesty.

Rytm życia w Nyamacie wyznaczają dwa targi, duży i mały. Duży odbywa się w środy i soboty, wówczas już od świtu handlarze wykładają swój towar na rozpostarte na ziemi kawałki tkaniny. Jak wszędzie w Afryce, każdą część targu zajmuje inna korporacja. W jednym rogu skupiają się żony rybaków obok wiszących na lianach suszonych czy wędzonych ryb, które warstwa kurzu chroni przed muchami. W innym gromadzą się chłopki przy stosach batatów, rzędach bananów, workach czerwonej fasoli. Dalej leżą sterty butów, sprzedawanych parami lub na sztuki, nowych i używanych. Bele luksusowych tkanin na *pagne,* które kobiety zawijają na biodrach, z Tajwanu czy z Konga, sąsiadują ze stertami T-shirtów i bielizny.

Już od wczesnego ranka tłum zostawia niewielkie pole manewru podłużnym drewnianym taczkom czy kobietom z wiklinowymi tacami, które donoszą towar. Nieco dalej, na ulicy, można posłuchać muzyki. Stragan składa się ze stojącego na taborecie radiomagnetofonu i trzech stołów pełnych kaset z kantyczkami, folklorystyczną muzyką regionu Wielkich Jezior, z melancholijnymi pieśniami sławnej rwandyjskiej artystki Annonciaty Kamalizy, z przebojami tanecznymi z Konga i Afryki Południowej. Muzykę świata reprezentują Cèline Dion i Julio Iglesias.

Targowisko wydaje się dość ożywione, choć skromne, by nie powiedzieć ubogie, nie ma tu biżuterii, sprzedawców staroci, rzeźb czy obrazów, instrumentów

muzycznych, mało kto się targuje, mało kto zachwala towar, nie ma też wielu sprzeczek.

Mały targ odbywa się codziennie na pustym, wyboistym terenie za placem. Sprzedaje się tu głównie żywność. Stosy bulw manioku piętrzą się pod budką młynarza. Kozami handluje się obok budynku rzeźni, którego frontowa ściana jest też straganem rzeźnika. Niedaleko znajduje się apteka z lekarstwami dla zwierząt, punkt przyjęć i „kabaret" gminnych weterynarzy. Sprzedawcy chrustu na opał współpracują ze sprzedawcami węgla drzewnego. Są też rzemieślnicy naprawiający podeszwy sandałów, kanistry wina z bananów, dzbany pełne mleka, torf i krowi gnój, stosy związanych kur, piramidy cukru i soli, a wszędzie worki z fasolą.

Plac targowy otaczają pomalowane na zielono, pomarańczowo i niebiesko sklepiki, których barwy spłowiały od słońca i pyłu. Połowa z nich jest zamknięta i od czasów wojny niszczeje. W jednym jest salon fryzjerski, w innych mroczne bary, gdzie mężczyźni sączą bananowe wino. W Nyamacie nie ma już ani kiosku z gazetami, ani świeckiej księgarni. By zrobić kserokopię, idzie się do księgarni religijnej. Obok straganów z kuponami tkanin, pod okapami sklepików i przy zakładach fotograficznych szwaczki pochylają się nad wspaniałymi czarnymi maszynami do szycia ze złotym ornamentem, marki Singer lub Butterfly. Na poczekaniu reperują rozdarte spodnie, szyją koszulę na miarę, obrębiają tkaninę na *pagne*, a klient może w tym czasie udać się do kościoła, ambulatorium czy urzędu gminy.

Jeannette Ayinkamiye dwa razy w tygodniu schodzi ze wzgórza Kanazi, żeby szyć na targu, na jednej z dwudziestu maszyn, które stukają w pracowitej ciszy, przerywanej od czasu do czasu wybuchami śmiechu czy udzielanymi sobie nawzajem radami. Jeannette zakłada wtedy długą odświętną suknię o bufiastych rękawach, lecz żadnej biżuterii, żadnych warkoczyków czy pasemek na głowie, zakazanych przez jej pastora z Kościoła zielonoświątkowców.

W inne dni tygodnia, prócz niedziel, uprawia rodzinną parcelę. Po czasach

ludobójstwa rzuciła naukę. Mieszka w bardzo zadbanym ceglanym domu z dwiema młodszymi siostrami oraz dwójką sierot, którymi się opiekuje, które karmi, ubiera i posyła do szkoły. Nigdy wcześniej nie rozmawiała z żadnym cudzoziemcem, ale już po pierwszym spotkaniu godzi się bez wahania o sobie opowiedzieć. Wielokrotnie wspomina z bólem śmierć matki i wykazuje zdumiewającą odwagę, by kontynuować rozmowę.

Jeannette Ayinkamiye, 17 lat, chłopka i szwaczka Wzgórze Kinyinya (Maranyundo)

Miałam siedmiu braci i dwie siostry. Tatę ścięto pierwszego dnia, ale nigdy nie dowiedzieliśmy się gdzie. Moi bracia zostali zabici wkrótce potem. Z mamą i młodszymi siostrami zdołałyśmy uciec na bagna. Przetrzymałyśmy miesiąc pod gałęziami papirusów, nie widząc już ani nie słysząc prawie nic na świecie.

W dzień leżałyśmy w błocie pośród węży i komarów, by uchronić się przed atakami *interahamwe*. Nocą błąkałyśmy się między opuszczonymi domami, by znaleźć na parcelach cokolwiek do zjedzenia. Ponieważ ludzie żywili się tym, co znaleźli, często mieli rozwolnienie; ale na szczęście zwykłe choroby, malaria czy gorączka od deszczu, zdawały się przynajmniej tym razem nas oszczędzać. Nie wiedziałyśmy już nic o życiu, prócz tego, że Tutsi masakruje się w gminach i że wkrótce wszyscy będziemy musieli umrzeć.

Przywykliśmy chować się małymi grupkami. Któregoś dnia *interahamwe* znaleźli mamę pod papirusami. Wstała i zaproponowała, że da im pieniądze, żeby zabili ją jednym ciosem maczety. Rozebrali ją, żeby zabrać pieniądze zawinięte w *pagne*. Najpierw obcięli jej oba ramiona, potem obie nogi. Mama szeptała: „Święta Cecylio, Święta Cecylio”, ale nie błagała.

Ta myśl mnie zasmuca. Ale jestem tak samo smutna, kiedy wspominam to głośno i w milczeniu, dlatego nie krępuje mnie, że panu to opowiadam.

Moje dwie młodsze siostry wszystko widziały, gdyż leżały obok, je także okaleczyli. Vanessę ranili w kostki, Marie-Claire w głowę. Zabójcy całkiem ich nie ścięli. Może dlatego, że im się spieszyło, może zrobili to celowo, jak w przypadku mamy. Ja słyszałam tylko dźwięk maczety i krzyki, bo leżałam ukryta trochę dalej

w jakimś zagłębieniu. Gdy *interahamwe* odeszli, wyszłam i dałam mamie wody.

Pierwszego wieczoru mogła mówić. Powiedziała mi: „Jeannette, odchodzę bez nadziei, bo myślę, że pójdziecie za mną”. Bardzo cierpiała z powodu ran, ale powtarzała, że wszystkie umrzemy, i to napełniało ją jeszcze większym smutkiem. Nie miałam odwagi spędzić przy niej nocy. Przede wszystkim trzeba było zająć się młodszymi siostrami, które były mocno poranione, ale nie umierały. Następnego dnia też nie mogłyśmy z nią zostać, bo musiałyśmy się ukrywać. To była reguła na bagnach: gdy ktoś był ciężko ranny, trzeba go było zostawić.

Mama leżała tak trzy dni, aż w końcu umarła. Drugiego dnia mogła już tylko wyszeptać: „Do widzenia, dzieci” i poprosić o wodę, ale ciągle nie odchodziła. Nie mogłam długo z nią zostać z powodu ataków *interahamwe*. Widziałam, że dla niej to koniec. Rozumiałam też, że dla setek osób opuszczonych przez wszystkich, dla których cierpienie stało się ostatnim towarzyszem, śmierć musiała być jednak zbyt długą i całkiem bezużyteczną pracą. Trzeciego dnia nie mogła już przełykać, tylko cicho jęczała i patrzyła. Już nigdy więcej nie zamknęła oczu. Nazywała się Agnès Nyirabuguzi. W języku kinyarwanda Nyirabuguzi znaczy: „Ta, która jest płodna”.

Dziś często śni mi się dokładnie w tym miejscu na bagnach: patrzę na twarz mamy, słucham jej słów, daję jej pić, ale woda nie może już spłynąć jej do gardła i wylewa się z warg; i znowu zaczyna się pogoń zabójców; wstaję, zaczynam biec; kiedy wracam na bagna, pytam ludzi o mamę, ale nikt już nie wie, kim była moja mama; wtedy się budzę.

W ostatni dzień ludobójstwa, gdy wyzwoliciele wołali nas, stojąc na skraju bagien, niektórzy spośród nas nie chcieli się ruszyć spod papirusów, myśląc, że to musi być kolejny podstęp *interahamwe*. Potem, wieczorem, zgromadzono nas na boisku w Nyamacie; najsilniejsi poszli szperać po domach w poszukiwaniu ubrań. Choć w końcu mogliśmy zjeść coś słonego, nie okazywaliśmy żadnej radości, bo myśleliśmy o tych, którzy tam zostali. Czuliśmy się jak na bagnach, tyle że już nikt za nami nie gonił. Śmierć już nam nie groziła, ale byliśmy ciągle przygnieceni

przez życie.

Zaczęłyśmy szukać jakiegoś schronienia, bo rany młodszych sióstr ciągle się jątrzyły. Przez trzy tygodnie zostały u pań lekarek, dopiero potem mogłyśmy wrócić na rodzinną parcelę. Dom był zburzony. W buszu spotkałyśmy Chantal Mukashemę i jej młodszego kuzyna Jeana-de-Dieu Murengerani, zwanego też Wallim. Zamieszkaliśmy razem w domu wuja, który ograbiono, nie było dachu, łóżek, ani skrawka tkaniny. Tam zaczęliśmy nowe życie.

Teraz gracujemy ziemię parceli. Przyrządzamy jedzenie, śmiejąc się, gdy możemy, by dać dzieciom trochę radości. Ale nie świętujemy już urodzin, bo zbyt nas to boli i za drogo kosztuje. Nigdy się nie kłócimy, ani razu, choćby przypadkiem, bo nie ma powodu i nie wiemy jak. Czasami śpiewamy piosenki ze szkoły. Dwie dziewczynki wróciły do szkolnej ławki. A Jean-de-Dieu, od kiedy dostał maczetą w głowę, ciągle jest nieobecny. Lubi siedzieć, opierając głowę na dłoni i nie licząc godzin. Któregoś dnia Chantal opuściła nasz dom, by wyjść za niejakiego François, ale nadal składamy sobie wizyty. Ja nie widzę ślubu przed sobą z powodu młodszych sióstr, ale też innych przeszkód. Za dużo jest we mnie wahania. Tak naprawdę nie czuję się zbyt dobrze w tym życiu. Nie potrafię już sięgać myślą poza teraźniejszość.

W zeszłym roku dom wuja zaczął się całkiem walić. Przeniesiono nas do Kanazi, do tego domu z cegły, z blaszanym dachem, gdzie był już stół, krzesła i łóżka z szufladami. Tutaj złe myśli mniej mi dokuczają. W poniedziałek, wtorek i czwartek uprawiam nasze pole albo pracuję u sąsiadów, którzy dają mi w zamian żywność lub trochę pieniędzy. W środy i soboty chodzę na targ w Nyamacie i szyję na maszynie Butterfly. Jedna z dziewczyn, Angélique, zrobiła mi miejsce obok siebie. Wykonuję drobne poprawki na zamówienie, jakoś daję sobie radę. Szkoda, że nie mogę dobrze nauczyć się krawiectwa, by móc zostawić pracę na parceli.

Dzieci wyrzuciły już z siebie bardzo wiele nieszczęść, jednak zostały im blizny, bóle głowy i uciążliwe myśli. Kiedy za bardzo cierpią, trzeba z nimi wspominać

tamte nieszczęsne dni. Dziewczynki mówią najwięcej, bo wszystko widziały, jeśli chodzi o mamę. Często opowiadają o tej samej scenie i zapominają o reszcie.

Z czasem nasza pamięć się zmienia. Zapominamy okoliczności, mieszają nam się daty, mylimy kolejne ataki, nie pamiętamy nazwisk, nie zgadzamy się nawet co do tego, w jaki sposób zginęła ta czy inna osoba lub ktoś ze znajomych. Jednak pamiętamy wszystkie straszne momenty, które przeżyliśmy sami, jakby wydarzyły się przed rokiem. Z czasem zachowujemy bardzo dokładną listę wspomnień; opowiadamy je sobie, gdy nie czujemy się dobrze; stają się coraz bardziej wyraziste, ale już prawie nie potrafimy ułożyć ich we właściwym porządku.

Gdy jestem sama na polu, czasem zdarza się, że znów to widzę, i czuję wielki smutek. Wtedy odkładam motykę i idę do sąsiadów, żeby porozmawiać. Śpiewamy, pijemy sok i robi mi się lepiej. W niedzielę chodzę do kościoła, śpiewam i modlę się. Myślę, że Szatan wybrał Hutu, by wypełnili wszystkie te okropieństwa, tylko dlatego, że było ich znacznie więcej i byli silniejsi, mogli wyrządzić więcej zła w zaledwie kilka miesięcy. Kiedy słyszę przez radio wiadomości o afrykańskich wojnach, czuję wielki niepokój. Myślę, że Szatan korzysta z tego, że Bóg zbyt długo był z dala od Afryki, i mnoży hekatomby. Mam tylko nadzieję, że dusze wszystkich tych Afrykanów, którzy tak cierpieli, przyjęto tam jak należy.

*

Historia Hutu i Tutsi przypomina historię Kaina i Abla, braci, którzy bez wyraźnego powodu przestali się rozumieć. Ale nie sądzę, by lud Tutsi przypominał żydowski, nawet jeśli oba narody dotknęło ludobójstwo. Lud Tutsi nigdy nie był ludem wybranym, by usłyszeć głos Boga, jak w pogańskich czasach usłyszał go lud hebrajski. Nie ukarano go za śmierć Jezusa Chrystusa. Tutsi to tylko lud żyjący na wzgórzach, nieszczęśliwy z powodu swej dumnej postawy.

Na bagnach Vanessa przez długą chwilę widziała oczy zabójców mamy. Dwa lata później rozpoznała twarz jednego z tych zbrodniarzy, gdy wracał sobie spokojnie z Konga z węzełkiem na ramieniu. Był to chłopak z Kayumby, najstarszy syn naszego

pastora. A przecież to dobrze wykształcony, przystojny młody człowiek. Odsiaduje teraz karę w więzieniu w Rilimie, nad jeziorem Kidogo.

Ci więźniowie to bardzo kłopotliwa sprawa. Jeśli zamknie się w więzieniu całą nienawiść morderców, nigdy nie będzie mogła wyschnąć na powietrzu. Ale jeśli pozwoli się jej wydostać na plantacje bananów, rzezie znowu się zaczną. Widziałam kobiety, które rzucały się do rzeki z małymi dziećmi w ramionach, żeby oszczędzić im krwi. Zwłaszcza kobiety, gdyż kobiety i dzieci musiały być bardziej przerażone od mężczyzn. Wiem, że jeśli sam Bóg nie dosięgnie zabójców i ich nie napomni, zawsze będą chcieli zacząć wszystko od nowa. Zdaję się na niego, bo jestem zbyt zalękniona.

*

Dobrze wiem, że kiedy widziało się swoją mamę tak strasznie okaleczoną, cierpiącą tak długo, traci się na zawsze część zaufania do innych, nie tylko do *interahamwe*. Chcę powiedzieć, że ktoś, kto tak długo patrzył na straszliwe męki, nie będzie mógł już nigdy żyć wśród ludzi jak kiedyś, bo będzie się miał na baczności. Nie będzie im ufał, nawet jeśli nic nie zrobili. Chcę powiedzieć, że śmierć mamy najbardziej mnie zasmuciła, ale jej zbyt długie cierpienie wyrządziło mi najwięcej szkody i to nigdy się nie zmieni.

Teraz już wiem, że człowiek może w jednej chwili stać się bardzo zły. Nie wierzę w koniec ludobójstw. Nie wierzę tym, którzy mówią, że po raz ostatni dotknęliśmy najgorszego z okrucieństw. Gdy doszło do ludobójstwa, może dojść do drugiego, w dowolnym czasie, w dowolnym miejscu, w Rwandzie czy gdzie indziej; jeżeli powód pozostał i nadal go nie znamy.

Droga do Bugesery

By wyruszyć z Kigali w stronę Bugesery, trzeba zjechać w dół krętą szeroką aleją, stale zatłoczoną i bardzo hałaśliwą, która dalej łączy się z drogą do Tanzanii. Za ostatnią stacją benzynową, opanowaną przez kierowców dalekobieżnych taksówek, handlarzy dewiz, ludzi grających w wari oraz sprzedawców papierosów, żegnamy się z asfaltem, by skręcić na południe drogą z ubitej, popękanej ziemi. Szlak biegnie przez dalekie przedmieścia, potem mija wioski, coraz bardziej od siebie odległe i coraz rzadsze; widać szkoły i kościoły wzniesione na pagórkach, które w miarę jak przybywa kilometrów, stają się coraz mniejsze.

Droga, z początku żółtoszara, z wolna zabarwia się ochrą, potem mijamy pejzaże szafranowe, w odcieniach różu, purpury, w zależności od natężenia słonecznego światła. Gdy mieniące się zielenią zbocza z plantacjami herbaty w Cyangugu, żywa zieleń lasów tropikalnych w Kibuye zostaną daleko w tyle, droga zaczyna się wić w pofałdowanym terenie, gdzie dominuje gliniasta gleba i krzewy pokryte pyłem. Widać na zmianę pola fasoli i batatów oraz zaniedbane plantacje bananowców; hamujemy, by przepuścić stado obojętnych krów, popędzanych przez dzieciaki nie sięgające im nawet do zadów; omijamy orszaki kobiet idących z miednicami pełnymi manioku na głowach, z niemowlętami przytroczonymi tkaniną do lędźwi. Mijamy nieliczne półciężarówki i minibusy zwane „Dubai” o amortyzatorach uginających się od nadmiaru pasażerów.

Na końcu drewnianego mostu nad mulistymi wodami rzeki Nyabarongo wielki krąg podróżnych rozpartych na tobołkach czeka na miejsce w którymś z przejeżdżających samochodów. Po jednej i drugiej stronie mostu, jak okiem sięgnąć, chmary świętych ibisów dziobią, szukając pożywienia, obok czarnych stepówek o zaokrąglonych ogonach i pływających pośród trzcin modrzyków. Dalej rozciąga się prowincja Bugesery i wjeżdżamy do powiatu Nyamata.

Granice powiatu wyznaczają trzy bagniste obszary. Na północy i wschodzie Nyabarongo i położone nad nią bagna Butanwa; na zachodzie rzeka Akanyaru z bagnami Nyamwiza; na południu jezioro Cyohoha z bagnami Murango. Te błotniste doliny, porośnięte papirusami i gigantycznymi nenufarami, rozciągają się między piętnastoma wzgórzami Nyamaty.

Przy wjeździe do gminy sznurek przeciągnięty przez drogę wskazuje, że mieści się tu wojskowy posterunek. Szlak biegnie teraz przez pejzaż z przewagą czerwieni i zieleni. Czerwona ochra laterytu, który będzie się kleił do ubrań, do skóry i pokryje ziemię; wyblakła zieleń bananowców, papirusów, krzewów i zarośli. Domy pierwszej wioski, Kanzenze, są budowane z gliny wymieszanej ze słomą i mają blaszane dachy. Trzy „kabarety" - które w Rwandzie są tym, czym na Wybrzeżu Kości Słoniowej „makia", a w Kongu „tarasy" - naprzeciwko dwóch magazynów, skupiają w większości tutejsze życie publiczne.

Na prawo ledwie przejezdna droga pnie się w stronę akacjowego lasu i wiedzie na wysokie zbocza góry Kibungo. Dalej wąska ścieżka schodzi ku szkole w Cyugaro, która często będzie pojawiać się w opowieściach, gdyż była miejscem schronienia; jeszcze dalej biegnie w kierunku bagien Nyamwiza, wspomnianych przez Jeannette. Wśród gałęzi rozlegają się głosy papużek i papug żako z haczykowatym dziobem.

Już od bardzo dawna w wiosce Kibungo nie widuje się samochodów. Zastępca prokuratora, radca gminy, szkolny wizytator udają się tam na służbowych motocyklach. Dyrektor szkoły i nauczyciele, kilku kupców i hodowców jeździ na rowerach, najczęściej obładowanych kanistrami i skrzynkami. Inni, kobiety wracające z targu, młodzież wychodząca z koledżu, parafialni chórzyści, rolnicy, którzy chcą sprzedać kozę albo worek fasoli, chodzą nieprzerwaną kolumną przez las. Przed ostatnim zakrętem piesi wybierają skrót przez kamieniste koryto górskiego potoku i spotykają się z rowerzystami przy pierwszych glinianych domach.

Na głównym placu wioski siedzi na ławce kobieta wsparta o ścianę domu. Nazywa się Francine Niyitegeka. Uśmiecha się i pokazuje niemowlę, które trzyma w ramionach, ma na imię Bonfils. Obok niej siedzi jej siostrzenica Clémentine. Ma na sobie zielony *pagne* w kwiaty, a na włosach zawinięty turban z podobnej tkaniny. Z daleka widać, że jest piękną kobietą; widziane z bliska, wszystkie jej ruchy cechuje niewysłowiony wdzięk. Zamierza udać się na piechotę do odległego o dwadzieścia kilometrów ambulatorium, gdyż jej małe dziecko zachorowało nagle na malarię. Na widok zagranicznego auta, niespodziewana gratka w upalne popołudnie, przełamuje nieśmiałość. Śmieje się i jak prawdziwa Afrykanka negocjuje swój pierwszy wywiad w zamian za podwiezienie samochodem tam i z powrotem. Pierwszego dnia przywołuje tylko strzępy wspomnień, ostrożnie; opisuje dramat, posługując się sztuką delikatnych przemilczeń. Przy kolejnych spotkaniach jej nieufność powoli się rozprasza. Bywa wręcz gadatliwa, a czasem wesoła.

Francine Niyitegeka, 25 lat, handlarka i chłopka Wzgórze Kibungo

Moich rodziców wypędzono z rodzinnej ziemi w roku odzyskania niepodległości i ciężarówką belgijskiej administracji przyjechali wykarczować parcelę w buszu na wzgórzu Kibungo. Tutaj nigdy naprawdę nie mieszaliśmy się z sąsiadami Hutu. Każdy żył w swojej grupie, nikt się nie kłócił. Między ludźmi były duże nierówności, ale jednak istniało jakieś porozumienie.

Na miesiąc czy dwa przed ludobójstwem po parcelach zaczęły krążyć przygnębiające pogłoski o masakrach. Sąsiedzi Hutu wołali za naszymi plecami: „Tutsi, Tutsi muszą absolutnie umrzeć!", i rzucali w naszą stronę inne podobne pogróżki. Między domami widywało się jakieś nowe twarze i słyszeliśmy słowa zachęty *interahamwe,* którzy ćwiczyli w lesie.

Interahamwe zaczęli polować na Tutsi z naszego wzgórza 10 kwietnia. Tego samego dnia opuściliśmy domy i razem poszliśmy w stronę kościoła w N'taramie; ponieważ nigdy nie odważyli się zabijać rodzin w kościołach. Czekaliśmy pięć dni. Przybywało coraz więcej kolegów, był tam już wielki tłum. Kiedy zaczął się atak, był za duży hałas, by się dokładnie rozeznać, co dzieje się podczas rzezi. Ale rozpoznałam wiele twarzy sąsiadów, którzy zabijali ludzi jak popadnie. Bardzo szybko poczułam uderzenie, w całym tym zamieszaniu upadłam między ławki. Gdy się ocknęłam, najpierw upewniłam się, czy nie umarłam. Przeczołgałam się między ciałami i uciekłam do buszu. Między drzewami spotkałam grupę uciekinierów i pobiegliśmy na bagna. Miałam tam zostać miesiąc.

Przeżywaliśmy tam dni gorsze niż najgorsze strapienie. Co rano chowaliśmy najmniejszych pod papirusami nad martwą odnogą rzeki, potem siadaliśmy na suchej trawie i próbowaliśmy wymieniać spokojne słowa. Kiedy słyszeliśmy, że *interahamwe* nadchodzą, rozpraszaliśmy się w milczeniu, zagłębiali w zarośla i

zanurzali w błocie. Wieczorem, kiedy zabójcy zakończyli pracę i odeszli, ci, którzy nie byli martwi, wychodzili z bagien. Ranni po prostu kładli się na wilgotnym brzegu albo w lesie. Cali szli przespać się w suchym miejscu do szkoły w Cyugaro.

A rano, bardzo wcześnie, wracaliśmy na dół, wchodzili na bagna; przykrywaliśmy liśćmi najsłabszych, by pomóc im się ukryć. Na bagnach widywało się wiele nagich kobiet, gdyż Hutu, kiedy zabili, zdzierali dobre *pagne*. Naprawdę ten widok wyciskał nam łzy wściekłości.

Odnalazłam mojego narzeczonego Théophile'a. Widywaliśmy się na ścieżkach, mijali ze sobą, ale nie było już między nami żadnej intymności. Byliśmy zbyt zagubieni, by znaleźć właściwe słowa albo czuły dotyk. Chcę powiedzieć, że gdyśmy się spotykali, nie miało to już większego znaczenia, dla niego ani dla mnie; gdyż przede wszystkim każde starało się ocalić samego siebie.

Któregoś dnia schwytano mnie w mojej kryjówce. Tego ranka uciekałam za pewną starszą kobietą, którą dobrze znałam. Przykucnęłyśmy cicho w wodzie. Zabójcy wykryli ją pierwszą, ścięli ją na moich oczach, nie zadając sobie trudu, żeby wyciągnąć ją z wody. Potem dokładnie przeszukali zarośla, bo wiedzieli, że kobieta nigdy nie ukrywa się sama, i tak mnie znaleźli. Trzymałam dziecko w ramionach, zabili je. Zapytałam, czy mogę wyjść na trawę i nie umierać w grząskim błocie, gdzie leżała już ta kobieta. Było ich dwóch, nie zapomnę żadnego rysu ich twarzy. Ciągnęli mnie przez papirusy, rozłożyli na ziemi jednym ciosem pałki w czoło, nie ucięli mi głowy. Często zostawiali rannych przez dzień czy dwa w błocie, po czym wracali ich dobić. Ale gdy o mnie chodzi, myślę, że po prostu zapomnieli tam wrócić, dlatego nie dokończyli pracy.

Długo leżałam nieprzytomna; potem Théophile i inni uciekinierzy znaleźli mnie konającą i napoili wodą. Byłam już na wpół martwa. Dokuczała mi wysoka gorączka i miałam czarne myśli. Nie bałam się już śmierci, jednak rany zlitowały się nad moją głową. Zdołałam wyzdrowieć, choć nikt ich nie leczył. Wieczorami zajmował się mną Théophile, przynosił z pól garście pożywienia. W końcu

wróciłam do życia, znowu starałam się przeżyć, dołączyłam do mojej ekipy. Na bagnach staraliśmy się trzymać w grupie znajomych, żeby nawzajem dodawać sobie otuchy. Ale jeśli zbyt wielu ludzi umierało, trzeba było dołączyć do jakiejś nowej grupy.

Podczas wieczornych zgromadzeń nie mieliśmy znikąd żadnych wiadomości, gdyż nie było już słychać radia, najwyżej w domach zabójców. Jednak z różnych pogłosek wiedzieliśmy, że ludobójstwo rozciąga się na cały kraj, że wszyscy Tutsi cierpią ten sam los, że nikt nas już nie ocali. Myśleliśmy, że wszyscy musimy umrzeć. Już się nie przejmowałam, kiedy umrę, gdyż mieliśmy umrzeć, a tylko w jaki sposób mnie zetną; jak wiele czasu to zajmie, bo przerażał mnie ból po uderzeniu maczetą.

Później słyszałam, że nieliczni popełniali samobójstwo. Zwłaszcza kobiety, które czuły, że siły je opuszczają, i wolały nurt rzeki od poćwiartowania. Ten wybór śmierci był czymś zupełnie szalonym, bo ryzyko natknięcia się na maczetę zwiększało się na drodze wiodącej nad Nyabarongo.

W dniu wyzwolenia, kiedy *inkotanyi* z FPR zeszli na skraj bagien i wołali, że możemy wyjść, nikt nie chciał ruszyć się spod papirusów. *Inkotanyi* zdzierali sobie gardła, wykrzykując uspokajające słowa; a my siedzieliśmy pod liśćmi w całkowitym milczeniu. Myślę, że w tamtej chwili my, ocalali, obawialiśmy się wszystkich istot ludzkich na ziemi.

Natomiast *inkotanyi*, gdy w końcu zobaczyli, jak wychodzimy podobni do ubłoconych włóczęgów, wyglądali na zażenowanych, a przede wszystkim na bardzo zdziwionych, jakby zadawali sobie pytanie, czy przez ten cały czas na bagnach pozostaliśmy jednak ludźmi. Wyraźnie krępował ich nasz wygląd, chude ciała i smród. Mimo obrzydzenia całą tą sytuacją starali się okazać nam wielki szacunek. Jedni postanowili stać na baczność w mundurach, w szeregu, patrząc na nas nieruchomym wzrokiem. Inni woleli podejść, blisko, by podtrzymać najsłabszych. Było widać, że trudno im w to uwierzyć. Starali się być mili, ale ledwie ośmielali

się wymówić słowo, jakbyśmy naprawdę nie mogli już niczego zrozumieć. A tylko słuchać cichych słów pociechy.

W cztery miesiące po ludobójstwie wyszłam za mąż za Théophile'a. Zachowywaliśmy się tak, jakby między nami nic się nie zmieniło, pomimo tego wszystkiego, co się stało. Tak wróciliśmy do życia, mówiąc sobie cicho, co powinno się mówić cicho, i głośno to, co można mówić głośno. Mieszkamy w glinianym domu z blaszanym dachem, w trzech izbach, z dwójką naszych małych dzieci i czwórką sierot. Sierotom nie ma już nawet potrzeby mówić niczego o ludobójstwie, widziały najgorszą część rzeczywistości. Dwójka moich dzieci później dowie się tego, co najważniejsze na temat ludobójstwa. Myślę jednak, że przepaść niezrozumienia będzie odtąd dzielić tych, którzy kładli się na bagnach, i tych, którzy nigdy tego nie robili; na przykład pana i mnie.

Prawie codziennie mówimy z sąsiadami o rzeziach, poza tym śnią się nam w nocy. Mówienie nie przynosi sercu ukojenia, ponieważ nie można wrócić słowami do wcześniejszych czasów. Ale milczenie przywołuje strach, uczucie osamotnienia i tę wielką nieufność. Czasem żartujemy sobie z tego wszystkiego, śmiejemy się, w końcu jednak zawsze wracamy do fatalnych chwil.

Nie chcę lamentować i wołać o zemstę, ale mam nadzieję, że sprawiedliwość przyniesie nam jakąś ulgę. To, co zrobili Hutu, jest niewiarygodne, zwłaszcza dla nas, sąsiadów. Hutu zawsze wyobrażali sobie, że Tutsi są wyniośli i bardziej cywilizowani, ale to bzdury. Tutsi reagują tylko bardziej powściągliwie, w szczęściu i w nieszczęściu. Po prostu zachowują się z większą rezerwą. Prawdą jest też, że Tutsi potrafią zapewnić sobie lepszą przyszłość, to leży w ich tradycji, ale przynajmniej w Bugeserze Tutsi nigdy nie wyrządzili zła Hutu; nigdy nawet nie mówili o nich w jakiś dwuznaczny sposób. Byli tak samo ubodzy na wzgórzach, nie mieli większych parceli i ani nie byli zdrowsi, ani bardziej wykształceni od Hutu.

Nie widzę wielkiego pożytku czy szkody z tego, co teraz mówię. Robię to ze zwątpienia, ponieważ zbyt wielu ludzi już nie ma i nie mogą wyrazić swego zdania,

a mnie los pozwolił wypowiadać słowa.

Hutu zawsze prześladowały złe myśli o Tutsi. To nasza fizjonomia leży u źródeł zła, oto cała prawda. Nasze mięśnie, które są dłuższe, nasze rysy, które są bardziej delikatne, nasza postawa, bardziej wyprostowana. Nasza wrodzona duma, nic innego nie widzę.

To, co zrobili Hutu, to coś więcej niż zło, więcej niż kara, więcej niż barbarzyństwo. Nie umiem tego określić dokładniej; bo nawet jeśli można rozmawiać o eksterminacji, nie da się jej wyjaśnić w żaden możliwy do przyjęcia sposób, nawet w rozmowach tych, którzy to przeżyli. Zawsze pojawia się jakieś nowe pytanie, o którym się nie myślało.

Moja rodzina nie żyje, a ja z powodu bólów głowy nie mogę już uprawiać pola w pełnym słońcu. Nie wiem, dlaczego Bóg wybrał mnie, żebym przeżyła, bo byłam gotowa skonać, i za to mu dziękuję. Ale myślę o tych wszystkich, którzy zostali zabici, o tych wszystkich, którzy zabijali. Mówię sobie, że skoro nie wierzyłam w pierwsze ludobójstwo, nie mogę nic powiedzieć o możliwości drugiego. Szczerze mówiąc, wierzę, że zagłada Tutsi skończyła się przynajmniej dla naszego pokolenia; nikt nie może przepowiedzieć, co będzie się działo w przyszłości. Wiem, że wielu Hutu potępiało te masakry, że czuli się przymuszeni. Widzę, że Hutu spuszczają oczy i czują się winni. Ale nie dostrzegam żadnych odruchów dobrego serca u ludzi, którzy wracają na wzgórza, i nie słyszę, by ktokolwiek prosił o przebaczenie. Tak czy owak, wiem, że niczego nie można wybaczyć.

Czasem, gdy siedzę sama na krześle na werandzie, wyobrażam sobie coś takiego - gdyby kiedyś w przyszłości ktoś z sąsiedztwa podszedł wolnym krokiem i powiedział: „Dzień dobry, Francine, pozdrowienia dla twojej rodziny. Przyszedłem porozmawiać. Tak, to ja ściąłem twoją mamę i młodsze siostry” albo „To ja próbowałem zabić cię na bagnach, chciałbym prosić o wybaczenie” - takiej osobie nie mogłabym powiedzieć niczego dobrego. Mężczyzna, który wypił o jednego primusa za dużo i bije swoją żonę, może prosić o wybaczenie. Ale jeśli przez cały

miesiąc trudził się, zabijając, nawet w niedzielę, jaką może mieć nadzieję na przebaczenie?

Musimy jedynie powrócić do życia, ponieważ ono tak zdecydowało. Trzeba pilnować, żeby parcele nie zarosły cierniami; trzeba żeby nauczyciele wrócili do szkolnych klas; żeby lekarze troszczyli się o chorych w ambulatoriach. Potrzebujemy nowych silnych krów, różnych gatunków tkanin, worków z fasolą na targach. Nie można stawiać zabójców w jednym rzędzie. Ci, których sytuacja przerosła, mogą pewnego dnia wrócić z Konga czy z więzienia na swoją parcelę. Znowu zaczniemy razem czerpać wodę, rozmawiać po sąsiedzku, sprzedawać sobie ziarno. Może za jakieś dwadzieścia, pięćdziesiąt lat młodzi chłopcy i dziewczęta będą się uczyć o ludobójstwie z książek. Jednak dla nas przebaczenie jest rzeczą niemożliwą.

Gdy się przeżyło prawdziwy koszmar na jawie, nie dzieli się już jak wcześniej myśli na dzienne i nocne. Od czasu ludobójstwa czuję się ciągle ścigana, w dzień i w nocy. W łóżku odwracam się, widząc cienie; na drodze odwracam się, gdy ktoś za mną idzie. Boję się o moje dziecko, gdy napotykam nieznane spojrzenie. Czasem widzę nad rzeką twarz jakiegoś *interahamwe* i mówię sobie: „Patrz, Francine, tego człowieka widziałaś już kiedyś we śnie”, a dopiero potem przypominam sobie, że ten sen wydarzył się wtedy, na jawie, na bagnach.

Myślę, że nigdy się to dla mnie nie skończy, że będę źle widziana, bo mam w żyłach krew Tutsi. Myślę o mych rodzicach, którzy zawsze czuli się ścigani w Ruhengeri. Odczuwam jakby wstyd, że właśnie tak się czuję, ścigana przez całe życie tylko za to, że jestem tym, kim jestem. Kiedy o tym pomyślę i zamknę powieki, moje serce zaczyna płakać z żalu i upokorzenia.

Wzgórze Kibungo

W Kibungo Francine wychodzi za pierwszego radcę gminy Théophile'a Mbilimbę, prowadzi jedyny w wiosce kabaret, w przybudówce przy swoim domu, tak skromny, że nie ma żadnego szyldu, Ściany są z gliny wymieszanej ze słomą, podłoga z ubitej ziemi, maleńkie okno. W głębi skrzynki z butelkami primusa stoją tuż obok worków z ziemniakami i fasolą oraz butelek oliwy. Gdy pada, klienci, siadają na ławach pod ścianami. Przy ładnej pogodzie czekają na nich stołki przed drzwiami. Na ogół piją *urwagwę*, kwaśne i mocne wino z bananów, albo *ikigage*, wino z sorgo - nie tak „smaczne" - przechowywane w pojemnikach za ladą.

Wino z bananów wytwarza się bez jakichkolwiek urządzeń do destylacji, zgodnie z odwieczną recepturą. Polega to na tym, że na trzy dni zakopuje się banany w dole, by je zmacerować, potem wyciska się z nich sok, miesza z mąką z sorgo, która przyspiesza fermentację, czeka cztery dni, by wino nabrało mocy i wydzielił się osad. Należy bezwzględnie wypić je w ciągu tygodnia, zanim nieuchronnie skwaśnieje. Niegdyś *urwagwa* z Kibungo słynęła w całym regionie. Niegdyś wzgórze Kibungo, w porównaniu z gliniastymi glebami nad rzeką, było jedną z najbardziej żyznych okolic. Było to przed ludobójstwem, na jednym zboczu stały domy należące do Tutsi, a hodowane przez nich stada widywało się na pastwiskach aż po samą dolinę, na drugim domostwa Hutu, którzy trudnili się głównie wyrobem alkoholu i zbierali fasolę. Dziś na tych ziemiach ubyło dwie trzecie ludności, w barze Francine często brakuje alkoholu, nieliczne sztuki bydła snują się wśród zarośli.

Wioska rozciąga się na płaskim szczycie wzniesienia. Przy wjeździe stoi kilka budynków z cegły: niewielki kościół, szkoły, merostwo otaczają majestatyczne *umuniyinya*, w których cieniu siadają ludzie podczas publicznych zgromadzeń czy zebrań informacyjnych. Wokół wioski rosną inne drzewa *umuniyinya*, o wiele

częściej wykorzystywane przez śpiących kręgiem ludzi.

Na głównym placu, pomiędzy domami, chmara małych piłkarzy spiera się o teren z kozami, kopiąc obwiązaną sznurkiem kulę z gąbki z materaca. Żaden pies nie szwenda się po ogródkach, wszystkie zdechły lub uciekły sforami podczas wojny, niewiele jest też kur, które padają ofiarą dzikich kotów. Przy wyjeździe z wioski droga schodzi ku rzece, mija zagrody dla krów z pni drzew związanych lianami, dociera do sadyb Hutu, których mieszkańcy, wyjąwszy dzieciarnię, nie zaglądają już teraz do wioski, co najwyżej po to, by sprzedać *urwagwę*.

Denise, młoda kobieta Hutu, osiemnaście lat, mieszka w domu niedaleko rzeki z siostrą Jacqueline, dwoma młodszymi braćmi, dwiema siostrami oraz swoim dzieckiem. Jej rodzice i czterej starsi bracia nigdy nie wrócili po ucieczce do Konga. Denise jest bardzo gościnna i wyjątkowo miła. Opowiada o swoich szczęśliwych młodych latach na wzgórzu, o chórze, szkolnych zabawach, o chłopcach. Mówi o swojej dzisiejszej melancholii, o tym, jak stała się „drugim biurem” dla bogatszego rolnika, ojca jej dziecka, który mieszka o dwieście metrów wyżej, bo nie ma już nadziei, że pozna prawdziwego męża. Wysyła dzieci do gminnej szkoły, ale nie odprowadza ich do wioski, co tydzień chodzi przez las na targ do Nyamaty, żeby sprzedawać ryby.

Z podwórza jej domu można podziwiać panoramę zalesionych szczytów, a w dole rozciągają się zielone bagna Nyamwiza, miejsce schronienia, o którym mówiły Jeannette i Francine. Mimo tego bliskiego sąsiedztwa twierdzi, że podczas masakry nic nie widziała i nic nie słyszała, że już nie pamięta, gdzie była jej rodzina w kwietniu 1994 roku, nie miała od niej żadnych wieści z wygnania. Gdy słyszy słowo ludobójstwo, od razu zamyka się w sobie. Wszystkie jej sąsiadki Hutu zachowują się tak samo.

Za jej polem manioku droga schodzi w dół i kończy się w miejscu zwanym Akonakamashyoza, przed wyspą z kępami mitycznych trzcin, gdzie spotykają się rzeki Nyabarongo i Akanyaru, po których suną wąskie czarne pirogi. To tu, jak

twierdzą rybacy, w miejscu spotkania dwóch świętych dopływów Białego Nilu, odbywały się za panowania królów Tutsi - po śmierci któregoś z nich - procesje Żywego Króla, następcy tronu, w świetle słońca; potem procesje z mumią zmarłego króla przy świetle księżyca.

W Kibungo w środku popołudnia, gdy wszyscy wracają z pól, kobiety siadają w ogródkach, łuskają fasolę, pilnują swych pociech i garnków. Mężczyźni pewnym krokiem zmierzają do kabaretu. U Francine okazje, żeby zamawiać piwo, są rzadkie, ponieważ piwo jest drogie. Nawet najbardziej majętni mężczyźni biorą butelkę *urwagwy*, w której Francine zanurza kawałek wydrążonej trzciny. Piją i podają butelkę dalej, tak samo jak podają w krąg papierosa. Najubożsi idą pociągnąć łyk z kanistra za barem, przez trochę dłuższą słomkę, pod pełnym życzliwości spojrzeniem Francine.

Później, gdy zaczyna się ściemniać, słychać ryczenie krów. Pasterze wracają i dołączają do grona pijących; wśród nich Janvier Munyaneza, młody chłopak. Janvier pilnuje krów starszego brata i jednego z sąsiadów, co nie pozwala mu wrócić do szkoły. Kiedy zapędzi już bydło do zagrody i oczyści je z kleszczy, on też przychodzi, by usiąść za barem. Nie pije jeszcze alkoholu i z łakomym uśmiechem na twarzy daje sobie postawić słodką fantę. Jest bardzo nieśmiały, jak większość Rwandyjczyków. Siedząc w grupie dzieci i nastolatków, patrzy na dorosłych, którzy piją i do późna w nocy opowiadają historie. W jego oczach widać melancholię, która nigdy go nie opuszcza, co potwierdza zgaszony ton jego pierwszych słów.

Janvier Munyaneza, 14 lat, pasterz Wzgórze Kiganna (Kibungo)

W szkole nigdy nie słyszałem docinków z powodu przynależności etnicznej. Gdy tylko czas pozwalał, kopaliśmy piłkę i nie było żadnych zatargów między nami. 10 kwietnia, po mszy, sąsiedzi Hutu przyszli do naszego domu nad rzeką i kazali nam odejść, bo chcieli go zająć, ale nas nie zabili. Od razu poszliśmy do Kibungo, zamieszkać u dziadka.

Nazajutrz przyszli żołnierze; wuj próbował uciec; zabili go przy drzwiach strzałem z karabinu. Wtedy pobiegliśmy w stronę kościoła w N'taramie: tata, mama, ośmioro moich braci i sióstr, dziadek i babcia. *Interahamwe* przez trzy czy cztery dni krążyli po niewielkim lasku przy kościele. Pewnego ranka weszli całą grupą za żołnierzami i policjantami z gminy. Zaczęli biegać i ścinać ludzi, na zewnątrz i w środku. Ci, których zabijali, umierali bez słowa. Słychać było tylko atakujących, całkiem sparaliżowały nas maczety i krzyki. Byliśmy prawie martwi, nim padł śmiertelny cios.

Moja najstarsza siostra poprosiła jakiegoś znajomego Hutu, żeby zabił ją bezboleśnie. Powiedział tak, wyciągnął ją za ramię na trawę i zadał cios pałką. Ale jeden z bliskich sąsiadów, którego nazywają Hakizma, zawołał, że ona jest w ciąży. Ten Hutu za jednym zamachem rozciął jej brzuch nożem i otworzył jak worek. Widziało to wiele oczu, na pewno.

Czołgałem się między trupami. Niestety jakiś chłopak trafił mnie prętem. Upadłem na trupy, już się nie ruszałem, udawałem martwego. W pewnej chwili poczułem, że ktoś mnie podnosi i rzuca, potem upadły na mnie inne osoby. Gdy usłyszałem, jak dowódcy *interahamwe* gwiżdżą, nakazując odwrót, byłem cały przykryty zmarłymi.

Wieczorem Tutsi z naszej okolicy, którzy przeżyli i rozproszyli się w buszu,

wrócili do kościoła. Tata ze starszym bratem wyciągnęli ze stosu mnie i najmłodszą siostrę, bardzo zakrwawioną, zmarła niedługo potem w Cyugaro. W szkole ludzie przykładali rannym lecznicze zioła. Rano podjęli decyzję, by schronić się na bagnach. Powtarzało się to codziennie, przez miesiąc.

Schodziliśmy bardzo wcześnie. Dzieci chowały się pierwsze, dorośli stali na czatach i rozmawiali o naszej ciężkiej sytuacji. Kiedy zjawiali się Hutu, ukrywali się jako ostatni. Potem przez cały dzień było zabijanie. Na początku Hutu próbowali nas zwodzić pośród papirusów, mówili na przykład: „Poznałem cię, możesz wyjść", a najbardziej naiwni wstawali i zabijano ich na stojąco. Albo Hutu mógł pomóc w orientacji płacz małych dzieci, które nie mogły wytrzymać dłużej w błocie.

Gdy znajdowali bogatych, zabierali ich, by pokazali, gdzie schowali pieniądze. Czasem zabójcy czekali, aż złapią większą grupę, by ściąć wszystkich razem. Albo aż zgromadzą rodzinę, żeby ściąć jednego po drugim, wtedy w korycie rzeki było dużo krwi. Ci, którzy przeżyli, szli rozpoznawać tych, którym się nie udało, patrzyli na ciała w kałużach.

Wieczorem ludzie zbierali się grupami w Cyugaro. Sąsiedzi razem, młodzi razem... Na początku ludzie gromadzili się, żeby się pomodlić. Zdawało się, że nawet ci, którzy wcześniej nie mieli tego nawyku, czują ulgę, wierzą, że jest tam jednak coś niewidzialnego. Ale później tracili siły czy wiarę albo po prostu zapominali i nikt już więcej się tym nie zajmował.

Starsi lubili siąść z boku, by podyskutować o tym, co się dzieje. Niektórzy młodzi ludzie przynosili im trochę jedzenia, by zaspokoili głód. Ale inni starsi nie mieli już dzieci, które by im pomogły. Co wieczór czuli się coraz gorzej, bo nie mieli dość sił, żeby grzebać w ziemi i jakoś sobie radzić. Z uwagi na wiek, zbyt się szanowali, by żebrać. Aż któregoś wieczoru mówili: „Cóż, do niczego się już nie nadaję, jutro nie pójdę na bagna". W ten sposób wielu umarło, siedząc rano pod drzewem, nie walcząc do kresu starości.

W niektóre wieczory, gdy złoczyńcy za dnia nie zabili zbyt wielu, gromadziliśmy

się wokół żaru ogniska, by zjeść coś gorącego; w inne wieczory byliśmy zbyt zatrwożeni. Na bagnach już nazajutrz o świcie odnajdywaliśmy tę samą krew w błocie. Trupy, które gniły, leżąc w tych samych miejscach. Złoczyńcy chcieli zabić jak najwięcej ludzi, nie trudząc się, by ich pochować; pewnie myśleli, że później cały czas będzie należał do nich albo że ta cuchnąca harówka to nie ich zadanie, bo dość się napracowali. Myśleli też, że te ubłocone trupy zniechęcą nas do ukrywania się. My próbowaliśmy czasem pochować bliskich zmarłych, ale bardzo rzadko było to możliwe, bo nie mieliśmy chwili spokoju. Nawet te zwierzęta, które mogłyby ich zjeść, uciekły przed hałasem podczas zabijania.

Te trupy tak bardzo raniły nasze myśli, że nawet między sobą nie śmieliśmy o nich mówić. Zbyt wyraźnie pokazywały nam, jak skończy się nasze życie. Próbuję wytłumaczyć, że ich zgnilizna sprawiała, że nasza śmierć była bardziej barbarzyńska. Dlatego rano naszą ostatnią wolą było po prostu raz jeszcze dotrwać do końca popołudnia.

Kiedy *inkotanyi* zeszli na bagna, by nam powiedzieć, że rzezie się skończyły, że będziemy żyli, nie mogliśmy im uwierzyć. Nawet najsłabsi nie chcieli wyjść spod papirusów. *Inkotanyi* odeszli bez słowa. Wrócili z jakimś chłopakiem z N'taramy. Zaczął krzyczeć: „To prawda. To są *inkotanyi,* to jest FPR. *Interahamwe* uciekają w popłochu. Wychodźcie, nikt was już nie zabije". Podnieśliśmy się. Zobaczyliśmy się wszyscy, jak stoimy, w środku popołudnia, po raz pierwszy od miesiąca.

Kiedy nas zgromadzili, jakiś żołnierz zwrócił się do nas w suahili: „Jesteście ocaleni, macie tu złożyć maczety i noże. Nie będą wam już potrzebne". Jeden z nas odpowiedział: „Nie mamy maczet od samego początku. Mamy tylko choroby i nie możemy ich złożyć. Nie mamy już nawet ubrań". Ja miałem na sobie tylko podarte majtki, te same, co pierwszego dnia.

Najsłabszych położono w cieniu, by później zabrać ich samochodami. Zaprowadzono nas do Nyamaty, czekaliśmy kilka dni, potem ze starszym bratem wróciliśmy na naszą parcelę w Kigannie. Ponieważ rodzinny dom był zburzony,

zamieszkaliśmy w Kibungo, w domu dziadka, który też został zabity. Tak czy owak, to był zbyt wielki ciężar, żyć nad brzegiem rzeki, gdzie byliśmy szczęśliwi z rodziną.

Tata miał dwadzieścia cztery krowy i pięć kóz. Złapaliśmy trzy krowy w buszu, poznaliśmy je po łatach. Teraz mieszkam ze starszym bratem Vincentem Yambabaliye. Rano i wieczorem szykuję mu miskę jedzenia, pilnuję w buszu naszych krów i trzech krów sąsiadów, a on uprawia parcelę. Nie lubię schodzić do doliny, bo boję się, żeby krowy nie wmieszały się w stada handlarzy z Nyamaty. Nie mamy już dość krów, by dołączyć je do większego stada i płacić pasterzowi. Właśnie dlatego nie mogę wrócić do szkoły i co dzień się tym martwię.

W Kibungo udało mi się jakoś powrócić do życia, ale żal, że straciłem rodzinę, nie daje mi spokoju. Wiodę zbyt smutne życie. Gdy jestem z krowami, boję się każdego szelestu w zaroślach. Chciałbym wrócić do ławki i znów uczyć się w szkole, tam mógłbym myśleć o przyszłości.

Teraz widzę, że w Kibungo życie urywa się, gdy zapada zmierzch. Wielu ludzi niecierpliwie czeka, żeby się napić *urwagwy* lub primusa. *Urwagwa* to nasze wino z bananów. Piją i nie myślą już o niczym więcej, mówią głupstwa lub milczą. Jakby chcieli już tylko pić zamiast tych, którzy zostali zabici, którzy nie mogą już się z nimi napić i o których nikt nie może zapomnieć.

W Kibungo nie zapomnimy nawet cząstki prawdy o ludobójstwie, bo dzielimy nasze wspomnienia. Wieczorem często o tym mówimy, powtarzamy sobie szczegóły i próbujemy wszystko dokładnie ustalić. W niektóre dni wspominamy najstraszniejsze chwile, groźnych *interahamwe*, w inne dni wspominamy chwile spokojniejsze, gdy zostawiali w spokoju naszą stronę bagien. Żartujemy sobie z paru śmiesznych sytuacji, a zaraz potem wracamy do najbardziej przykrych.

Jednak wiem, że wraz z czasem moja pamięć wybiera ze wspomnień, co chce, a ja nie mogę nic na to poradzić; tak samo jak koledzy. Niektóre epizody często się opowiada, więc nabierają znaczenia, także dzięki temu, co dorzucają jedni albo

drudzy. Są ciągle przezroczyste, że się tak wyrażę, jakby zdarzyły się wczoraj albo ledwie przed rokiem. Inne są pomijane i wpadają w mrok jak we śnie. Powiedziałbym, że niektóre wspomnienia są dopracowane, a inne zaniedbane. Ale wiem, że teraz lepiej niż kiedyś pamiętamy, co nam się przydarzyło. Nie zależy już nam, żeby coś wymyślać, przesadzać z czymś albo coś ukrywać, jak tuż po wyzwoleniu, ponieważ nie poraża nas już strach przed maczetami. Wiele osób nie lęka się już tak jak kiedyś i nie krępuje ich to, co przeżyły. Czasem mówimy sobie trochę za dużo i zaczynam się bać, kiedy leżę w łóżku.

Gdy przechodzę przed kościołem w N'taramie, odwracam wzrok od ogrodzenia, unikam widoku Miejsca Pamięci. Nie chcę patrzeć na rzędy bezimiennych czaszek, wśród których są może czaszki mojej rodziny. Czasami schodzę na skraj bagien, siadam na kępie trawy i patrzę na papirusy. Wtedy znów widzę *interahamwe,* którzy ścinają maczetami wszystko, co wpadnie im w ręce w ciągu dnia.

Żeby poczuć nienawiść, trzeba móc wskazać konkretne twarze i nazwiska; na przykład te osoby, które rozpoznaliśmy, kiedy zabijały, trzeba przekląć. Ale na bagnach zabójcy pracowali rzędami, prawie nigdy nie widzieliśmy ich twarzy spod liści. Ja w każdym razie nie potrafię już sobie przypomnieć żadnych znajomych twarzy. Zapomniałem nawet twarz mordercy mojej siostry. Myślę, że nienawiść słabnie, gdy mamy do czynienia z tłumem nieznanych ludzi, odwrotnie niż strach. Właśnie tak to czuję.

Kiedy próbuję znaleźć odpowiedź na te hekatomby, kiedy próbuję zrozumieć, dlaczego musieliśmy zostać ścięci, plącze mi się w głowie; i już nie wiem nic o tym, co mnie otacza. Nigdy nie zrozumiem, jak można współżyć z Hutu. Nawet z tymi, którzy sami nie zabijali, ale też nic nie mówili. Ci ludzie chcieli przyspieszyć naszą śmierć, by wszystko sobie przywłaszczyć. Nie widzę innego źródła tego zła niż chciwość i siła.

Nie rozumiem, dlaczego jesteśmy wyklętą grupą etniczną. Gdyby nie trzymała mnie tutaj bieda, pojechałbym gdzieś daleko. Do kraju, w którym przez cały tydzień

chodziłbym do szkoły, grał w piłkę na równej łące i gdzie nikt nie chciałby mnie oskarżać ani zabić.

Rogi w kształcie liry

W dystrykcie Bugesera jest nie do pomyślenia, by sfotografować krowę bez podjęcia poważnych rozmów z właścicielem i bez jakiegoś prezentu dla pasterza. A przecież krowy są tu wszechobecne, w zagajnikach, w lasach, na boiskach i trawnikach przy szkołach, w ogródkach warzywnych, na środku ulicy. Ale w Rwandzie krowa to coś więcej niż zwierzę hodowlane. „Krowa to największy dar”, jak brzmi jedno z niezliczonych powiedzeń.

Krowa jest darem serca, gestem przyjaźni lub pożyczką, rekompensatą, łapówką, wianem, dla wielu rodzin inwestycją w mleko dla ich dzieci. Dwie krowy tworzą stado. Gdy jest ich więcej, nie wymienia się już głośno liczby, gdyż to przynosi nieszczęście. Hodowcy często gromadzą razem pięć, dwadzieścia, trzydzieści zwierząt, zostawiając je pod pieczą jednego ubranego w łachmany pasterza, by strzegł ich przed czyimś zazdrosnym spojrzeniem.

Rwandyjska krowa należy do rasy ankole, od nazwy jednego z regionów Ugandy, gdzie hodowano ją od niepamiętnych czasów. Ponoć pochodzi z wysokiego Tybetu, przemierzyła Persję, Abisynię, skąd przewędrowała do regionu Wielkich Jezior, później do Senegalu i Afryki Południowej. Europejscy historycy datują jej pojawienie się w Rwandzie na koniec XII wieku. Koczownicze plemiona Hamitów, przodków Tutsi, miały przypędzić gigantyczne stada na wzgórza i osiedlić się na ich szczytach, dominując Hutu, uprawiających położone niżej pola, oraz Pigmejów Twa, zamieszkujących lasy. Tę tezę podjęli teoretycy ludobójstwa, by próbować usprawiedliwić eliminację ludu Tutsi i zdziesiątkowanie stad. Lecz pomijając kwestię ideologicznego skrzywienia, jest ona coraz częściej podważana przez afrykańskich i europejskich badaczy. Prehistoryczne rysunki naskalne znajdowane w wielu miejscach w rejonie Wielkich Jezior (współczesne freskom z Mezopotamii) poświadczają bowiem obecność krów i ich hodowców na tych

ziemiach na długo przed wielkimi migracjami ludów Bantu i ludów z Sudanu z początku naszej ery.

Ankole jest krową średniej wielkości, smukłą i muskularną. Niewielki garb na grzbiecie upodabnia ją do zebu. Najczęściej jest jednolicie płowa lub w szare, czarne lub brązowe i białe łaty. Wyróżniają ją wspaniałe rogi w kształcie liry, potężne i bardzo długie. Od wieków jedynym kryterium selekcji i krzyżowania tych zwierząt są zresztą piękne rogi. Nad czym ubolewają weterynarze, bez powodzenia próbując zachęcać do krzyżowania ankole z europejskimi gatunkami krów i zalecając metody bardziej intensywnego żywienia.

Na pół udomowiona, na pół dzika ankole nie jest ani dobrą mleczną, ani mięsną krową. W dystrykcie Bugesera rzadko zresztą je się wołowinę, a kiedy nadarzy się taka okazja, ludzie zaczynają żałować, gdyż kawałki mięsa są bardzo twarde i żylaste, bez porównania z wybornymi kozimi szaszłykami, które piecze się na ulicach. Rwandyjscy hodowcy niechętnie zabijają czy krzyżują swe bydło z innymi gatunkami. „Jedna krowa to taki sam obowiązek jak stado i znacznie większy obowiązek niż córka”, głosi inna sentencja. Hodowcy lubią się nimi chwalić, dawać je w prezencie, a zwłaszcza rozmnażać.

Hutu, w głębi duszy rolnicy, uważają hodowlę za niestosowny luksus w tym przeludnionym kraju pełnym jałowych zboczy. Bydłem gardzą tym bardziej, że w czasach sprzed republiki było atrybutem władzy królów Tutsi, którzy podczas uroczystych obrzędów nie wahali się urządzać trwających całe dnie parad niepoliczonych stad krów o rogach natartych tłuszczem, jak inni urządzają wojskowe defilady.

Dlatego w pierwszych dniach ludobójstwa w Bugeserze *interahamwe* zabili krowy swych ofiar. Żeby je zjeść i żeby się ich pozbyć. Wielu Hutu wspomina dziś sceny, kiedy to mordercy podrzynali gardła zwierzętom na oczach właścicieli Tutsi, by ich upokorzyć, po czym ich też zabijali. W opowieściach świadków wydarzeń często pojawiają się także gargantuiczne sceny pieczenia mięsa w wieczory po

przeprowadzonych na wielką skalę rzeziach. W Bugeserze, tak jak na całym terytorium Rwandy, w czasie masakr pogłowie bydła spadło o jedną trzecią, ale znów wróciło do normy. Ta energia ocalałych włożona w odszukiwanie zagubionych krów, sprowadzanie ich z Burundi i Ugandy, rozmnażanie, wypasanie na odludnych niedostępnych zboczach, ofiarowanie ich przyjaciołom, którzy są zbyt samotni po utracie rodzin, ilustruje żywotność tradycji.

Wielu etnologów, zagranicznych kooperantów, dziennikarzy próbuje w dobrej wierze pomniejszać różnice między ludami Hutu i Tutsi. Ale wieśniaków nic tak nie cieszy, jak naśladowanie karykaturalnego obrazu, który stworzyli sobie ludzie z zagranicy. Podobnie jest w przypadku argentyńskiego gaucho, sprzedawcy ryb z Prowansji czy tahitańskiej vahine; hodowca Tutsi nie stanowi wyjątku. Nigdy nie zobaczycie rolnika Hutu idącego z długim kijem w ręku, w filcowym kapeluszu na głowie; często będziecie oglądać Tutsi z tymi atrybutami pasterza, a wieczorem czy w weekendy nie zdziwi was widok dyrektora szkoły czy biura, kupca czy lekarza, który wchodzi do baru z kijem, w kapeluszu na znak, że posiada krowy.

Jean-Baptiste Munyankore, dostojny pan około sześćdziesiątki, od dwudziestu siedmiu lat nauczyciel w szkole w Cyugaro, jest przywiązany do tego zwyczaju. Ma na sobie białą koszulkę, gdy pokazuje mi klasę, krążąc między nieskazitelnie gładkimi ławkami i z dumą muskając dłonią drewno jak właściciel winnicy swoje pełne beczki. Przed radą pedagogiczną wkłada marynarkę i krawat, ale idąc do kabaretu czy schodząc w sobotę do miasta, bierze swój długi pasterski kij. Jean-Baptiste budzi należny jego wiekowi respekt, jako że pamięta pierwszą falę osadników, którzy uciekli tu przed masakrami pod koniec panowania królów Tutsi.

Jean-Baptiste Munyankore, 60 lat, nauczyciel Wzgórze Cyugaro (N’tarama)

Byłem młodym człowiekiem, kiedy musieliśmy wyjechać do Bugesery. Był rok 1959, *mwami* Mutara III wydał ostatnie tchnienie, po pierwszych wyborach powszechnych Hutu przejęli wszystkie ważne stanowiska w Rwandzie. Skończyłem studia w słynnej szkole pedagogicznej w mieście Zaza. Zacząłem nauczać w wulkanicznym regionie Birunga, ale wkrótce zostałem wyrzucony ze szkoły i słyszałem za plecami coraz więcej nieprzyjemnych komentarzy.

W grudniu tego strasznego roku ekstremiści Bahutu w środku dnia znaczyli farbą domy Batutsi i wracali w nocy, żeby je podpalić. Z tego powodu uciekliśmy z sąsiadami do katolickich misji, gdzie w owym czasie nikt nie ośmielał się nas atakować. Dzień po dniu było nas coraz więcej i w końcu siedzieliśmy tam ramię przy ramieniu. Belgowie próbowali nam pomóc, ale przede wszystkim bali się o higienę. Któregoś ranka zjawił się belgijski urzędnik; kazał nam wpisać na liście kraj, do którego chcielibyśmy udać się na wygnanie. Nie słyszałem niczego dobrego o zagranicy, nie miałem rodziny w Burundi ani w Tanzanii, więc wpisałem mój kraj, Rwandę. Spora grupa ludzi zrobiła tak samo. Urzędnik stwierdził: „Dobrze, pojedziecie do Bugesery, gdyż jest niezamieszkana”.

Region Bugesery znaliśmy tylko z nazwy. Sprowadzili wojskowe ciężarówki na podwórze misji. Wsiadłem do *rubaho* z drewnianą skrzynią ładunkową wraz z żoną, młodszym bratem i babcią. Pozwolono nam zabrać tylko to, co mieliśmy na sobie, nic więcej; żadnych narzędzi, koców ani książek. Tak jechaliśmy całą noc, bez przystanku, nie wiedząc, co nas czeka. Ani razu nie spojrzałem za siebie na drogę i nigdy więcej nie postawiłem stopy w prowincji, w której spędziłem dzieciństwo. Nad ranem przeszliśmy przez most na rzece Nyabarongo. W tamtych czasach były to tylko dwa pnie, które kładło się w poprzek rzeki, żeby po nich

przejść. Po drugiej stronie czekały na nas inne ciężarówki.

Gdy otworzyliśmy oczy, ujrzeliśmy kraj sawanny i bagien, byliśmy w Bugeserze. Pomyślałem: „Stłoczyli nas na ciężarówkach, by zostawić nas tu żywych w objęciach śmierci”. Nie przesadzam, muchy tse-tse przesłaniały słońce. Wciąż myślę, że władze z góry zakładały, że straszna tse-tse rozprawi się z nami. Na drodze nie widzieliśmy żadnej żywej istoty, potem pojawiły się pierwsze szałasy ze słomy. W Nyamacie tylko siedziba misji, miejscowy sąd i dom administratora były zbudowane z desek, a także garnizon wojskowy w lesie Gako.

Po tygodniu wyruszyliśmy grupką nauczycieli na rozpoznanie terenu. Gdy szliśmy przez ogromną sawannę, nagle zobaczyliśmy przed sobą stado słoni. Zawróciliśmy biegiem, bo do tej pory widywaliśmy tylko kury i kozy.

Później na całe szczęście dowiedzieliśmy się, że w tej okolicy hodowcy Batutsi i rolnicy Bahutu bez problemów sąsiadują ze sobą na oddalonych wzgórzach przy granicy z Burundi. Przez rok koczowaliśmy w obozie, w chatkach z kartonu i blachy. Tak naprawdę żywiliśmy jednak nadzieję, że sytuacja w końcu się uspokoi i będziemy mogli wrócić na rodzinne ziemie. Niestety uciekinierzy Batutsi i złe wieści coraz częściej napływały ze wszystkich prowincji.

Ponieważ mimo nędzy udało nam się przeżyć, w roku 1961, w związku z pierwszą rocznicą powstania Republiki, lokalna administracja pozwoliła nam się rozejść i zająć parcele w buszu. Wpisywaliśmy się więc do rejestru, a gdy odczytywano nasz numer, szliśmy wytyczyć sobie dwa hektary, które mogliśmy wykarczować.

Żyło się bardzo ciężko. Trzeba było wyrywać krzaki w pyle, drewnianymi narzędziami zedrzeć grubą warstwę ziemi, zasiać sorgo i posadzić bananowce, wnosić skrzyniami błoto i drzewka palmowe. Musieliśmy bronić się przed dzikimi zwierzętami za pomocą dzid, łuków, a czasami kijów. Przy mojej parceli widziałem na własne oczy lwa, leoparda, cętkowaną hienę i bawołu. W okolicy nie było źródła, a nasze żołądki nie przywykły do stojącej wody z mokradeł. Więc wielu z

nas umierało na tyfus, czerwonkę, malarię. Ręce twardniały od trzonka motyki, trzeba było pracować bez chwili wytchnienia, czy słońce, czy deszcz, i wydawać na świat coraz więcej dzieci, żeby jakoś przeżyć. Potem zaczęliśmy zarabiać trochę na handlu. Sprzedawaliśmy nasze marne zbiory do sklepów w Kigali; z drobnych oszczędności można było kupić małe stadko kóz. Miejscowi Batutsi zaczęli dawać nam krowy, z odruchu serca albo żeby poślubić najładniejsze dziewczęta.

Od zawsze staraliśmy się trzymać w gronie znajomych. Na wzgórzu N’tarama mieszkali przybysze z Ruhengeri, na przeciwległym stoku wygnańcy z Nyumby, niżej z Gitaramy. Na wzgórzach osiedlaliśmy się wielkimi rodzinami, to znaczy, używając waszego słownictwa, plemionami. Gdy później coraz częściej przybywali Bahutu, przez lata osiedlali się w ten sam sposób na kolejnych wzgórzach; i nie mieszaliśmy się zbytnio ze sobą z powodu odległości. Bahutu przyjeżdżali tu zwłaszcza po wydaniu rozporządzenia ministra rolnictwa, gdy wysocy rangą urzędnicy uznali, że busz w Bugeserze zaludnia się i nadaje do uprawy. W 1973 roku Bahutu byli tu już równie liczni co Batutsi. Ci Bahutu byli silni, bardzo pracowici, niektórzy przyjeżdżali tu z oszczędnościami; szybko porozumieliśmy się z nimi, gdyż potrzebowaliśmy ich pieniędzy albo ich rąk do pracy.

Nie piliśmy ze sobą piwa, ale rozmawialiśmy bez oporów. Mieliśmy te same rolnicze tradycje: fasola, maniok, banany, ignamy, uprawiane za pomocą motyk i maczet. Bahutu lepiej sadzili. A Batutsi hodowali krowy; Bahutu zawsze trochę to przeszkadzało.

Jako że z powodu limitów przyznanych przez gminę nie było zbyt wielu szkół dla Batutsi, my, nauczyciele, sadzaliśmy uczniów kręgiem w cieniu liściastych drzew i urządzaliśmy lekcje na zapylonej ziemi. W Bugeserze władze i administracja były w rękach Bahutu; żołnierze, burmistrzowie, księgowi i dyrektorzy także byli Bahutu. Więc kiedy jakiś Batutsi zdobył wykształcenie, zostawał nauczycielem i uczył dzieci Batutsi.

My, nauczyciele, byliśmy więc bardzo źle widziani przez władze, które zaczynały

być o to zazdrosne. Nie ośmielały się wprost zamykać nam ust, ale gdy dochodziło do rzezi, nauczyciele znajdowali się na początku listy pod pretekstem, że zadają się z *inkotanyi*. *Inkotanyi* to byli rebelianci Batutsi, którzy ukrywali się na terenie Burundi i robili wypady do Rwandy. Kiedy tylko doszło do ataku *inkotanyich* na Bahutu, żołnierze w odwecie zabijali Batutsi.

Tak to właśnie było. Zabijali w określonym porządku, najpierw rodziny z których mężczyźni przeszli do Burundi; następnie nauczycieli z powodów, które wyjaśniłem. W końcu zamożnych rolników, by rozdać ich parcele i ziarno ostatnio przybyłym Bahutu. Jeden rok był gorący, inny bardzo spokojny. Na przykład 1963 był rokiem tysięcy zamordowanych w odwecie za liczne ekspedycje rebeliantów. 1964 był rokiem spokojnym, 1967 był katastrofalny, jeśli chodzi o liczbę zabitych - tego roku żołnierze wrzucali setkami żywych Tutsi do Urwabaynangi, mulistego stawu przy granicy z Burundi, skąd do dziś łatwo można wyłowić dowody. W 1973 roku zabijali nawet uczniów w klasach... Masakry były nie do przewidzenia. Dlatego nawet kiedy sytuacja zdawała się spokojna, zawsze spaliśmy tylko na jedno oko.

Jednak my, Batutsi, przepędziliśmy stąd dzikie zwierzęta, pokonaliśmy tse-tse i nauczyliśmy się słuchać władz. Mimo wszystkich tych przejść, wioski się mnożyły, Batutsi było wciąż tyle samo co Bahutu i posiadali coraz więcej krów. Niektórzy Batutsi trochę się dorabiali, wtedy Bahutu pracowali dla nich. Nyamata szybko rosła, sklepy miały różnych właścicieli, ale najbardziej wzięte należały do Batutsi. Pojawiły się kabarety, do których ludzie chętnie zaglądali. Życie było ciężkie, ale wydawało się znośne.

Wśród Bahutu było wielu wspaniałych ludzi. Pamiętam, jak któregoś dnia stałem już przywiązany do drzewa i widziałem przed sobą cały rząd karabinów, gdyż nosiłem to samo rodowe nazwisko, co jeden z partyzanckich dowódców. Byłem o krok od śmierci, ale wciąż zapewniałem o mojej niewinności. Pewien kapitan, który przyjechał tu na inspekcję, zobaczył mnie u wrót śmierci i krzyknął do żołnierzy: „Poznaję głos tego człowieka. Nazywa się Jean-Baptiste, pochodzi z Cyugaro, to

dobry nauczyciel, nie ma nic wspólnego z oddziałem rebeliantów" i przeciął sznury. Jednak wielu Bahutu z coraz większą niechęcią odnosiło się do Batutsi z powodu *inkotanyich*. A także dlatego, że było coraz mniej dobrych parcel nadających się pod uprawę.

Wzajemna nieufność nasiliła się w 1991 roku, kiedy władze zezwoliły na istnienie wielu partii politycznych. Organizowano wiece, a publiczne dyskusje stały się niebezpieczne. Szybko dochodziło do ostrej wymiany zdań i zawsze istniało ryzyko pobicia. *Interahamwe* paradowali po drogach i ścieżkach, przesiadywali rozparci w kabaretach. Przez radio wyzywano Batutsi od karaluchów, politycy Bahutu zapowiadali śmierć wszystkich Batutsi na swoich wiecach. Panicznie bali się *inkotanyich* i wojskowej inwazji z zagranicy. Myślę, że w tym czasie zaczęli zastanawiać się nad ludobójstwem.

W 1992 roku doliczono się po lasach czterystu trupów Batutsi, bez żadnej reakcji ze strony prefekta. Kiedy dwa lata później zaczęła się wojna, byliśmy już przyzwyczajeni do masakr. Przeczuwałem, że dojdzie do kolejnej tragedii. Myślałem: „Jest za gorąco, by chodzić główną ulicą, ale jeżeli zostaniemy na wzgórzu, może się wszystko ułoży". Po masakrze w kościele zrozumiałem, że to staje się naprawdę zbyt groźne. Tego dnia ja także uciekłem z innymi na bagna Nyamwiza i kucnąłem w mule.

Z początku siedząc w papirusach, mieliśmy nadzieję, że nadejdzie pomoc. Ale sam Bóg pokazywał, że o nas zapomniał, więc tym bardziej biali. Później każdego dnia liczyliśmy tylko na to, że dotrwamy do następnego świtu. Na bagnach widziałem kobiety bez słowa skargi czołgające się w błocie. Widziałem noworodka, który spał zapomniany na swojej ściętej matce. Słyszałem, jak ludzie, którzy nie mieli już siły iść, mówili, że chcą po raz ostatni zjeść trochę kukurydzy. Gdyż wiedzieli, że zostaną ścięci następnego dnia. Widziałem, jak ludziom skóra marszczy się na kościach, tydzień po tygodniu. Słyszałem ciche nucenie, które miało złagodzić agonalne jęki.

W lesie dotarła do mnie wieść o śmierci obojga dzieci mojego brata, które wygrały narodowy konkurs i mogły pójść na studia. Na bagnach dowiedziałem się o śmierci mojej żony Domine Kabanyany i syna Jean-Sauveura. Mój drugi syn zginął za moimi plecami, gdy biegliśmy przez bagna. Niespodziewanie wpadliśmy w zasadzkę, próbowaliśmy jednak uciec napastnikom. Potknął się o kolczasty krzak, krzyknął, usłyszałem pierwsze uderzenia, byłem już daleko. Chodził do czwartej klasy szkoły podstawowej.

Trzeba zrozumieć, że my, uciekinierzy, choć wieczorem w swym gronie wyznawaliśmy zasadę „każdy za każdego” podczas ucieczki na bagnach musieliśmy wrócić do zasady „każdy dba o siebie”. Rzecz jasna oprócz mam niosących małe dzieci.

Wieczorem spotykaliśmy się czterema rodzinami w moim domu w Cyugaro. Nie rozciągaliśmy już mat i materaców na ziemi, bo ukradli je *interahamwe*. Trochę rozmawialiśmy, zwłaszcza o szczegółach minionego dnia, albo wymienialiśmy słowa otuchy. Nie sprzeczaliśmy się. Nie droczyli z nikim; nie drwiliśmy z kobiet, które zostały zgwałcone, ponieważ wszystkie kobiety spodziewały się, że zostaną zgwałcone. Uciekaliśmy przed tą samą śmiercią, cierpieliśmy ten sam los. Nawet wczorajsi wrogowie nie znajdowali pretekstu, by się ze sobą kłócić, bo tak czy owak to już niczemu nie służyło.

W tym czasie mówiło się też trochę o powodach tej okropnej sytuacji i ciągle padały te same odpowiedzi. Bugesera, kiedyś prawie opustoszała, stała się przeludniona. Władze bały się, że przepędzą je „Ugandyjczycy” z FPR, Bahutu łakomie zerkali na nasze parcele… Ale te uwagi nie wyjaśniały eksterminacji, dzisiaj także nie.

Ja wolę wskazać na pewną historyczną anomalię. Książki historyczne o belgijskiej kolonizacji mówią nam, że jako pierwsi zamieszkiwali Rwandę Pigmeje Batwa z łukami; potem osiedlili się tu Bahutu z motykami; później przybyli Batutsi z krowami i zagarnęli zbyt wiele ziem, gdyż mieli ogromne stada. Ale tu, w naszym

regionie Bugesera, kolejność była dokładnie odwrotna, ponieważ Batutsi zjawili się jako pierwsi, żeby karczować pola prawie gołymi rękami. A jednak ludobójstwo w Bugeserze było równie skuteczne jak wszędzie. Toteż odrzucam historyczne wyjaśnienia. Myślę, że historia dyktowana przez kolonizatorów zakładała zdominowanie Batutsi przez Bahutu; program, który dziwnym zrządzeniem losu, jeśli można tak powiedzieć, przekształcił się w ludobójstwo.

*

Dzisiaj naprawdę jestem biednym człowiekiem. Moja żona nie żyje, straciłem całą rodzinę, oprócz dwójki dzieci. Miałem sześć krów, dziesięć kóz, trzydzieści kur, a teraz moja zagroda jest pusta. Mój najbliższy sąsiad nie żyje, nie żyje też ten, który ofiarował mi pierwszą krowę. Na dziewięciu nauczycieli ze szkoły sześciu zostało zabitych, dwóch siedzi w więzieniu. Po tak wielu latach trudno jest naprawdę zaprzyjaźnić się z nowymi kolegami, kiedy straciło się ludzi, których tak dobrze się znało. Ożeniłem się z młodszą siostrą mojej żony; ale w tym nowym życiu nic mnie już nie cieszy. Nocą widzę zbyt wielu zabitych członków mojej rodziny, którzy mówią tylko ze sobą i nie zwracają na mnie uwagi, nawet już na mnie nie patrzą. W dzień cierpię z innego powodu, z powodu samotności.

To, co stało się w Nyamacie, w kościołach, na bagnach i wzgórzach, to były nieprawdopodobne wyczyny bardzo zwykłych ludzi. Oto dlaczego to mówię. Dyrektor szkoły i szkolny inspektor z mojego sektora brali udział w rzeziach, zabijając nabitymi gwoździami pałkami. Dwaj koledzy nauczyciele, z którymi kiedyś piłem piwo i wymieniałem uwagi na temat uczniów, też maczali w tym palce, że się tak wyrażę. Pewien ksiądz, burmistrz, zastępca prefekta, lekarz zabijali własnymi rękami.

Ci wykształceni ludzie nie żyli w czasach królów Batutsi. Nikt ich nie okradł ani nie szykanował, nikt niczego od nich nie żądał. Nosili bawełniane spodnie z kantem, odpoczywali po pracy, jeździli samochodami lub na motorowerach. Ich żony nosiły biżuterię i znały miejskie zwyczaje, ich dzieci chodziły do szkół

białych.

Ci światli ludzie byli całkiem spokojni i nagle zakasali rękawy, by chwycić maczetę. Więc dla kogoś takiego jak ja, kto przez całe swoje życie uczył przedmiotów humanistycznych, ci zbrodniarze pozostają straszliwą tajemnicą.

Zakątek Wdów

Szkoła w Cyugaro, odbudowana z cegły, liczy dziś dwadzieścia pięć klas, w których uczniowie Hutu i Tutsi dzielą ze sobą ławki. Ściany większości domów z gliny kruszą się lub walą, ogrody zarastają chwastami. Pięć kilometrów dzieli szkołę od bagien. Jedyna droga biegnie przez pola manioku, mija mury dwóch spalonych domostw. *Iwuwa*, drzewa o żółtych kwiatach, i *umuko* o kwiatach czerwonych rozweselają sawannę, którą przemierzają gromady dzieci szukających dzikiej kapusty. Potem ścieżka zagłębia się w las eukaliptusów, pełen światła, gdyż drzewa są bardzo wysokie.

Na drugim skraju lasu znów widać ogromną przestrzeń zieleni. Zjeżdżamy po stromym stoku i mijając rząd dzikich bananowców, docieramy do bagien. Pierwsze wrażenie to chaotyczny gąszcz papirusów i gnijących w wodzie trzcin. Jednak można tam wejść, podnosząc ciężkie naręcza łodyg. Grunt, gąbczasty w porze suchej, błotnisty w porze deszczowej, cuchnie gnijącym mułem. Przy każdym kroku zapadamy się aż po łydki. Brzęczenie much, komarów i ważek stanowi dźwiękowy podkład do dźwięcznego śmiechu ibisów i przenikliwych wrzasków makaków oraz czarnych małp talapoin, których akrobacji możemy się domyślać. Kiedy się zatrzymamy i uzbroimy w cierpliwość, usłyszymy też chrząkanie niewidocznych dzikich świń, czy szelest wysokich traw, o które ocierają się smukłe sitatungi, antylopy z bagien.

Po wyjściu z mokradeł spotykamy chłopca w wieku piętnastu lat, który dźwiga na plecach porcję torfu na opał. Każdego popołudnia godzinami brodzi po bagnach, polując na wodne ptactwo czy zbierając torf. Zaprasza nas do swojego domu o glinianych ścianach, otoczonego palmami, na pagórku wysoko ponad morzem papirusów. Nazywa się Jean-Claude Khadafi. Podaje nam drewniane miski z *urwagwą*, zagląda do dołu pełnego bananów, siada na skraju, opowiada o

ludobójstwie. W tamtych czasach jego dom służył za schronienie starszym osobom, które nie miały już sił, by pokonać zbocze i dojść do szkoły w Cyugaro, które czasami nie chciały już chować się w mule i spędzały ostatni dzień pod dachem, czekając na zabójców, bo ci musieli tu przyjść i ich dobić. We wspomnieniach Jean-Claude'a żyje więc wielu ludzi.

Dziś mieszka tutaj z ojcem, drugim ocalałym z całej ich rodziny, który o świcie wybrał się do lasu i wróci wieczorem, bez słowa, jak co dzień. Jean-Claude woli pozostać w tym domu na uboczu, pomiędzy eukaliptusami i papirusami, niż zamieszkać w nowym pawilonie na osiedlu imienia Nelsona Mandeli, przy drodze, bliżej szkół i kolegów. Wyjaśnia, że nie ma dnia, by nie poszedł na bagna, że ani skwar lata, ani atak malarii nie mogłyby go powstrzymać. Wydaje się zresztą, że nigdy na zbyt długo nie spuszcza z oczu zielonej równiny pełnej dziwnych odgłosów.

Z jego domu ścieżka przez busz wiedzie do drogi do Kanzenze. Kiedyś w tej targowej wiosce panowało wielkie ożywienie. Dziś jest tam tylko przystanek minibusów. W pewnym oddaleniu od drogi znajduje się kabaret Marie Mukarulindy, dawne miejsce spotkań handlarzy. Ściany są tu w kolorze afrykańskiej zieleni, złuszczona i wyblakła farba jak we wszystkich miejscach publicznych. Ławy są sfatygowane, skrzynki primusa i fanty stoją rzędem pod ścianą.

Marie wyróżnia się wysmukłą sylwetką. Rano pracuje w polu. Po południu prowadzi bar nieżyjącego męża, gdzie rządzą uproszczone do maksimum zasady rachunkowości, gdyż jeśli od czasu do czasu dostaje od klienta pieniądze za piwo, zaraz ofiarowuje butelkę znajomemu, którego na to nie stać. Teren za budynkiem to zadymione królestwo Petronille, postawnej kobiety, również wdowy, nieodłącznej towarzyszki Marie, która na ruszcie z węglem drzewnym pichci najbardziej smakowite kozie szaszłyki w całej Bugeserze.

Kabaret Marie nosi nazwę Zakątek Wdów, gdyż wiele kobiet z okolicy, w większości wdów od czasów ludobójstwa, lubi się tu spotykać i dzielić jedną czy

kilka butelek primusa, co jest okazją do niekończącej się paplaniny, śmiechu z byle powodu, a zwłaszcza z siebie samych. Na przykład dziś przyjechał weterynarz z Kigali, by przeprowadzić sztuczną inseminację w jednej z hodowli kóz. Po wizycie zaproszono go do kabaretu, gdzie wzięły go w obroty koleżanki Marie, żądając, by tu wrócił i zajął się nimi. Jest skrępowany i trochę zszokowany... Aż wybuch szalonego śmiechu wyrywa go z osłupienia i czuje się w obowiązku usprawiedliwić jakoś swoje zmieszanie, stawiając wszystkim kolejkę.

W kącie werandy, nieco na uboczu, siedzi na stołku mężczyzna, prosta, chuda sylwetka, nienagannie ogolona twarz, wymuskany siwy wąsik, czarny garnitur z dwurzędową marynarką, znoszony i wielokrotnie łatany. To pan Gaspard. Patriarcha dzielnicy, którego dostojnej postawie dorównuje tylko precyzja jego wspomnień z ostatnich osiemdziesięciu lat. Gaspard, jedyny ocalały z dwunastoosobowej rodziny, z godnością znosi samotność. Bez cienia skargi czeka już tylko na koniec swoich dni, z całą swą biedą i melancholią, na krześle przed swoją ruderą naprzeciwko albo na stołku w kabarecie Marie, przed butelką piwa, którą niepostrzeżenie stawiają przed nim sąsiedzi i którą delektuje się bardzo powoli. Zamiast powiedzieć „do widzenia”, cytuje rwandyjskie przysłowie w języku kinyarwanda: *„Amarira y’umugabo atemba ajya mu unda”, co* znaczy: „Łzy mężczyzny płyną w jego brzuchu”.

Kilka kilometrów dalej, przy drodze do Nyamaty, stoją w leśnej przesiece trzy domy o ścianach z gliny wymieszanej ze słomą. W jednym z nich, własności rolnika Hutu na wygnaniu, ulokowano Angélique Mukamazni w oczekiwaniu na koniec naprawy jej domostwa na rodzinnej parceli. Angélique jest dziewczyną, która stawia sobie za punkt honoru, by nigdy nie nosić *pagne* czy sukienek, a tylko czarne spodnie, dżinsowe kurtki i „europejskie” koszule bez względu na okoliczności. Po powrocie z pola czy targu pospiesznie maluje paznokcie u rąk, wkłada na stopy rzemienne sandały lub płócienne czółenka, by spędzić koniec popołudnia wsparta plecami o ścianę domu, w towarzystwie sąsiadów, jakby

czekała na romantyczną randkę. Niedawno poznała ukochanego, przystojnego, czułego i obdarzonego poczuciem humoru mężczyznę, z zawodu agronoma. Ale, jak opowiada z ironicznym uśmieszkiem, była zmuszona z nim zerwać, gdy dowiedziała się, że jest Hutu.

Podczas ludobójstwa, dni spędzonych na bagnach, przygarnęła grupkę sierot, dla których, chcąc nie chcąc, stała się starszą siostrą czy zastępczą matką, w każdym razie głową rodziny.

Angélique Mukamanzi, 25 lat, chłopka Wzgórze Rwankeli (Musenyi)

Wraz z siostrą Laetitią zajmujemy się teraz ośmiorgiem dzieci bez rodzin. To stało się całkiem zwyczajnie. Na bagnach, kiedy rodzice szli na spotkanie ze śmiercią, nie zabierając dzieci, ci, którzy jak my ich nie mieli, natychmiast je przygarniali. Później czas powierzył je nam na zawsze.

Przed wojną bardzo dużo się uczyłam, bo chciałam zdać egzamin państwowy w Kigali i zdobyć dobry zawód. Chłopcy na mnie patrzyli, zdawało się, że życie mi sprzyja. W szkole miałam różnych przyjaciół, Tutsi i Hutu. Ci ostatni nigdy nie złorzeczyli. Po raz pierwszy poczułam strach, gdy ludzie zaczęli opuszczać Bugeserę po starciach w 1992 roku. Wtedy na drogach coraz częściej słychać było nieprzyjemne słowa. Także z tego powodu pragnęłam przenieść się do stolicy.

W trzy dni po upadku samolotu poszliśmy niewielką grupą do kościoła w N'taramie: moja rodzina i sąsiedzi, zabierając niezbędne rzeczy w tobołkach. Podczas dnia najodważniejsi wychodzili na okoliczne pola i przynosili żywność. Nocą spaliśmy w środku lub na zewnątrz, w zależności od tego, czy ktoś był słaby, czy silny. Kiedy *interahamwe* stanęli za ogrodzeniem, mężczyźni zaczęli rzucać kamieniami, żeby opóźnić atak. Kobiety zbierały kamienie, bo nie chciały umierać byle jak. Ale to była bardzo słaba odpowiedź. Przed głównym wejściem wybuchły granaty. Byłam niedaleko, potoczyłam się po zboczu, biegłam przez godzinę do utraty tchu, by zaszyć się w *urunfunzo* na bagnach, o których wiele słyszałam. *Urunfunzo* to wielkie papirusy. W tym momencie nie wiedziałam, rzecz jasna, że przez miesiąc będę spędzała dnie w błocie, zanurzona od stóp do głowy, pod rojem komarów.

Zabójcy pracowali na bagnach od godziny dziewiątej do szesnastej lub szesnastej trzydzieści, ze względu na słońce. Czasem, kiedy za mocno padało, przychodzili

później. Szli w szeregu, zapowiadali swoje przybycie śpiewem i gwizdami. Walili w bębny, wydawali się bardzo uradowani, że idą na cały dzień zabijać. Jednego ranka przychodzili tą ścieżką, nazajutrz inną. Kiedy słyszeliśmy pierwsze gwizdy, uciekaliśmy w przeciwną stronę. Czasem rano oszukiwali, nadchodzili ze wszystkich stron i urządzali zasadzki, by schwytać nas w pułapkę; to były najgorsze dni, bo wiedzieliśmy, że wieczorem będzie więcej zabitych niż zwykle.

Po południu już nie śpiewali, gdyż byli zmęczeni, i gawędząc, wracali do swoich domów. Pokrzepiali się trunkami i jedli krowy, bo zabijali je tak samo jak ludzi. To były naprawdę spokojne i dobrze zorganizowane masakry. Gdyby wyzwoliciele z FPR spóźnili się o tydzień, ani jeden Tutsi z Bugesery nie zostałby przy życiu, mówię to, by zaprzeczyć kłamstwom, na przykład o rzekomym pijaństwie zbrodniarzy.

Wieczorem po rzezi rozchodziliśmy się nocą po polach, by wygrzebywać z ziemi maniok i zrywać fasolę. Był to też sezon na banany. Przez miesiąc jedliśmy surową żywność, ubrudzonymi ziemią rękami, jak włóczędzy. Tak samo dorośli, jak i małe dzieci, które nie mogły już pić matczynego mleka czy zjeść czegoś pożywnego. Toteż wielu ludzi, którzy uniknęli maczety, zapadało na śmiertelne choroby. Wstawaliśmy rano i widzieliśmy, jak leżą obok nas sztywni w swoim śnie. Bez słowa pożegnania, bez ostatniego podarunku od losu, który pozwoliłby nam po ludzku ich pożegnać.

W deszczowe noce korzystaliśmy z okazji, by przecierać ciało palmowymi liśćmi, i tak pozbywaliśmy się z grubsza nieczystości i błota. Potem siadaliśmy na ziemi. Opowiadaliśmy sobie o minionym dniu, zastanawiali się, kto tego dnia zginął, zadawali sobie pytanie, kto umrze nazajutrz. Dyskutowaliśmy o złym losie, który nam się przytrafił. Niewiele było radosnych słów, dużo przykrych.

Rano nie zwlekaliśmy ani chwili, by wyschnąć w świetle wschodzącego słońca, ruszaliśmy, cali mokrzy, by ukryć dzieci grupkami pod liśćmi papirusów. Mówiliśmy im, by siedziały cicho jak rybki w sadzawkach. To znaczy nie

wychylały głowy ani nie płakały. Poiliśmy je mulistą wodą, nawet jeśli czasami była zabarwiona krwią. Potem z kolei my zagrzebywaliśmy się w błocie. Czasem czuło się, że ktoś inny siedzi pod pobliską kępą. Pytaliśmy się, dlaczego Bóg nas tu zostawił, pośród węży, które na szczęście nikogo nie kąsały.

Pewnej nocy moje serce zaczęło krwawić i ta rana nigdy się nie zagoi. Wieczorem, wychodząc z kryjówki, zobaczyłam, że schwytali mamę. Leżała w zamulonej wodzie. Nazywała się Marthe Nyirababji. Tata i matka chrzestna, tak jak cała rodzina, zostali zabici niedługo potem, w straszliwy dzień 30 kwietnia. Tata nazywał się Ferdinand Mudelevu. Przebił go sąsiad Hutu, który nad nim tańczył i śpiewał. Potem musiałam dołączyć do grupy innych ocalałych z naszego wzgórza. Między łodygami papirusów moje oczy napotkały oczy *interahamwe,* którzy zabijali w pobliżu. Widziałam wokół siebie wielu ściętych ludzi, przez cały ten czas walczyłam z okropnym strachem, naprawdę ponad siły. Pokonałam go, ale nie mówię, że mnie opuścił na zawsze.

Po ludobójstwie umieszczono mnie na trzy miesiące w Nyamacie, w dolnej części miasteczka, w opuszczonej lepiance. Powinnam się była cieszyć, ale byłam jeszcze zbyt zalękniona i bardzo zmęczona. Nie czuliśmy się dobrze we własnej skórze, że tak powiem; byliśmy zgnębieni, było nam wstyd z powodu tego, co się z nami stało. Myślę, że nie wierzyliśmy naprawdę w ocalenie.

W głębi ducha myśleliśmy, że nigdy nie uwolnimy się od zagrożenia, i czekaliśmy długie tygodnie, by pozwolić sobie wreszcie na odruch radości. Co dzień szłam przez godzinę na rodzinną parcelę. Kopałam motyką, żeby wykarmić dzieci. Lepiłam brykiety z ziemi, żeby postawić nowy dom z pomocą murarza przysłanego przez gminę.

Teraz mieszkam w domu Hutu, który nie wrócił z Konga, póki nie skończą układać dachu. Zaproponowano mi, bym prowadziła sklepik z ryżem, cukrem i solą przy głównej ulicy, niedaleko apteki, i wiążę z tym nadzieję. Z pracą dam sobie radę, trudniej będzie z żalem.

Przed wojną postanowiłam skończyć z wiejskim życiem, za bardzo lubiłam szkołę. Gdyby ludobójstwo tak nas nie rozbiło, może zdałabym państwowy egzamin, zdobyła dyplom prawnika i założyła togę adwokata w jakiejś prywatnej kancelarii w Kigali. Ale dziś mam dwadzieścia pięć lat. Wokół siebie widzę same przeszkody, bagna we wspomnieniach i motykę, która garnie mi się do ręki. Już nie wiem, gdzie się obrócić, żeby znaleźć męża. Nie mogłabym już zaufać żadnemu mężczyźnie Hutu i niekoniecznie marzę o mężczyźnie Tutsi. Miłosne mrzonki wyleciały mi z głowy. Czekam tylko na dobre spojrzenie mężczyzny, który co dzień będzie widział mnie taką, jaka jestem. Wielu kandydatów puka do moich drzwi i paraduje w wyszczotkowanych butach, ale nie widzę żadnego, ni z prawej, ni z lewej, który mógłby naprawdę obdarzyć mnie czułością.

Wiele rodzin Hutu wróciło na wzgórza, chociaż ich mężczyźni trafili do więzienia. Prefektura szeroko otwiera przed nimi drzwi ich domów. Jedni nie zgadzali się z tym, co się tu działo, inni w pełni to popierali. Te rodziny uprawiają sobie swoje parcele, nie rozmawiają z nami, nie oddają, co zagrabiły, nie proszą o przebaczenie. Ich milczenie bardzo mnie boli. Jestem pewna, że wśród tych rodzin rozpoznałam twarze kilku zbrodniarzy, kiedy pracowali daleko na polu. Wciąż mają muskularne barki i mogą uprawiać ziemię. My z siostrą mamy słabe ramiona i musimy wyżywić opuszczone dzieci. Sądzę, że to niewłaściwe powierzać trudną misję pojednania tylko czasowi i ciszy.

W N’taramie ludzie, którzy przeżyli, stają się źli albo rozgoryczeni. Mówią: „Miałam silnego męża, miałam murowany dom, miałam piękne dzieci, miałam dorodne krowy, pracowałam dzień w dzień i wszystko to na nic”. Wiele osób już się nawet nie trudzi. Piją primusa, gdy tylko wpadnie im coś do kieszeni, i mają wszystko gdzieś; odurzają się alkoholem i złymi wspomnieniami. Inni wciąż z upodobaniem opowiadają o fatalnych chwilach. Jakby nie mogli się bez tego obejść.

*

Gdy ich słucham, uświadamiam sobie, że z czasem ludzie nie wspominają już

ludobójstwa tak samo. Na przykład pewna sąsiadka opowiada, jak jej mama zginęła w kościele; potem, dwa lata później, wyjaśnia, że jej mama umarła na bagnach. Dla mnie to nie jest kłamstwo. Dziewczyna musiała najpierw mieć jakiś wyraźny powód i chciała, by jej mama zginęła w kościele. Może dlatego, że opuściła ją podczas ucieczki przez bagna i to ją krępowało. Może pozwalało jej to złagodzić zbyt wielki smutek, przekonać samą siebie, że w ten sposób jej mama mniej cierpiała, zginęła od jednego śmiertelnego ciosu pierwszego dnia w kościele. Potem czas dał tej dziewczynie trochę więcej spokoju, by mogła przypomnieć sobie prawdę i się z tym pogodzić.

Inna dziewczyna zaprzecza, że była ranna, choć na jej ramionach widać wyraźne blizny. Ale któregoś dnia słyszy, jak inna opowiada o pościgu i gwałcie; i ona z kolei ośmiela się opowiedzieć o swojej ucieczce i o tym, czemu zawdzięcza cud życia. Ona też nie kłamała, czekała, aż usłyszy towarzyszkę niedoli, by wyjawić bolesną prawdę.

Są też ludzie, którzy opowiadając o fatalnym dniu, bez przerwy zmieniają szczegóły, ponieważ myślą, że tego dnia ich życie odebrało szansę jakiemuś innemu życiu, które tak samo na nią zasługiwało. Lecz mimo tych uników osobiste wspomnienia nie znikają z pamięci dzięki rozmowom w małym gronie znajomych. Ludzie wybierają niektóre wspomnienia, zależnie od charakteru, i przeżywają je na nowo, jakby zdarzyło się to w zeszłym roku, tak będzie jeszcze przez sto lat.

Ludzie twierdzą, że różnica między Hutu i Tutsi to wymysł. Nie rozumiem tych bzdurnych opinii, bo kiedy w Bugeserze zaczęła się masakra, to żaden Tutsi nie zostałby ani przez chwilę przy życiu, gdyby nagle spróbował wstać i się wyprostować. Ale nie chcę nic mówić na temat tej różnicy i rzekomych nieporozumień między naszymi grupami. Uważam, że należy wymierzyć sprawiedliwe kary, ale nie twierdzę, by trzeba było rozstrzeliwać więźniów. Nie chcę się też wypowiadać o tym, dlaczego biali patrzyli na te rzezie z założonymi rękami. Myślę, że kiedy czarni szarpią się między sobą, biali korzystają z okazji, by

potem narzucić swoją wolę, to wszystko. Nie chcę mówić, co dostrzegam w głębi serca Hutu.

Uważam po prostu, że sąsiedzi Hutu zgodzili się likwidować sąsiadów Tutsi na bagnach, by plądrować ich domy, wsiąść na ich rowery, zjeść krowy.

Odtąd patrzę na gorzki czas, który przede mną płynie, jak na wroga. Boli mnie, że jestem związana z tym życiem, które nie było mi pisane. Kiedy w rozmowach z sąsiadami zastanawiamy się, dlaczego ludobójstwo wybrało małą plamkę Rwandy na mapie Afryki, nasza dyskusja się plącze i nigdy nie dochodzimy do sensownych wniosków.

Taxi-rowery pod akacją

Stacja benzynowa, gdzie krzątają się naprawiacze opon, wyznacza początek głównej ulicy Nyamaty. Jest bardziej czerwona, o wiele szersza niż droga, której jest przedłużeniem. Nierówna, kamienista część po jednej stronie jest używana przez samochody, część piaszczysta po drugiej to domena pieszych. Pusty teren naprzeciwko stacji służy za dworzec minibusom „Dubai” oraz ciężarówkom, które zatrzymują się tu, by zabrać pasażerów, załadować na platformę kozy i tobołki.

Na początku głównej ulicy widzimy kolejno religijną księgarnię, ruiny dawnego ośrodka drużyny piłkarskiej Bugesera Club, bar U Clémentine, pierwszy lokal, gdzie można napić się wina z bananów. Jeśli skręcimy w pierwszą lepszą uliczkę po prawej, miniemy parę domków i podwórek, gdzie roi się od dzieci, by zaraz potem znaleźć się na polach. Jeśli skręcimy w ulicę po lewej, dojdziemy do kościoła zielonoświątkowców, gdzie chóralne śpiewy pod gołym niebem, wspaniałe, żywiołowe, czasem histeryczne, są prawdziwą rozkoszą dla ucha. Idąc wprost przed siebie, docieramy do centrum miasta, do placu targowego.

Pierwsza dwupiętrowa willa w Nyamacie, budowana przez kupca z Burundi, nie przekroczyła jeszcze poziomu fundamentów. Po ulicach jeździ już tylko jeden osobowy samochód, białe suzuki należące do innego kupca. Auta, które kiedyś tłoczyły się w miasteczku, uległy zniszczeniu lub trafiły wraz z tłumem uciekinierów za granicę i nie zastąpiły ich żadne inne. Nieliczne pojazdy, które wzniecają pył na głównej ulicy, to półciężarówki handlarzy - wykorzystywane zresztą także podczas pogrzebów, ślubów, a czasem do przewożenia kibiców piłkarskich - oraz terenowe samochody administracji i organizacji humanitarnych. Ludzie poruszają się więc wozami ciągniętymi przez woły w dziwacznych aluminiowych chomątach lub na jednocylindrowych japońskich motocyklach, a najczęściej, rzecz jasna, na rowerach lub pieszo.

Główna stacja taxi-rowerów znajduje się przy targu, w cieniu rozłożystej mimozy, trzydziestu cyklistów słucha tam radia i czeka na klientelę. Obok stoi barak, służący za warsztat specom od rowerów, często niewyrośniętym, którzy naprawiają koła i pedały, wykazując przy tym wręcz kuglarską zręczność.

Rowery, czarne, to w większości boda-boda o wielkich obręczach, szerokich oponach i mniej czy bardziej wyżłobionym bieżniku, w zależności od stopnia zużycia. Są czasem wyposażone w przedni amortyzator, zawsze w hamulce szczękowe, sterowane dźwignią umieszczoną w dolnej części ramy. Wygodne skórzane siodełka wspierają się na trzech wielkich sprężynach, to żyroskopowe zawieszenie idealnie amortyzuje nierówności drogi. Na kierownicach widnieją dzwonki wygrywające melodie, na szprychach zamontowane są światła odblaskowe. Kolory i akcesoria zależą od modelu. Niektóre są ozdobione złotym szlaczkiem, inne chroni parasol, jeszcze inne mają z przodu dodatkowe siodełko. Czasem wyposażone są w blokady chroniące przed kradzieżą, lusterko, w którym można się przejrzeć czy święty obrazek. Na bagażnikach taxi-rowerów leżą skórzane poduszki, które zakłada się lub zdejmuje w zależności od tego, czy przewozi się klienta, czy towar.

Inne przystanki taxi-rowerów znajdują się obok szpitala, we wtorki przy krowim targu, przy angielskim liceum po zakończeniu lekcji. Cena kursu w mieście waha się od trzech do pięciu franków. Cenę dalszej trasy przez las można negocjować.

Gońcy i dostawcy także używają rowerów. Pilne wieści czy worki z mąką, skrzynie, meble, kozy, kanistry, wszystko przewozi się na boda-boda. Kiedy zapadnie zmierzch, w porze pierwszego primusa, dostawcy przemierzają ulice od składów do kabaretów, wioząc na bagażnikach - dzięki niezawodnemu systemowi pasów ściągających - spiętrzone jedne na drugich skrzynki z butelkami.

Nieopodal głównej ulicy, na podwórzach, gdzie dymią rondle z *foufou,* w dwóch salach - co obwieszczają afisze - odbywają się w godziny parzyste seanse wideo na śnieżących ekranach. Filmy z Jean-Paul Van Dammem konkurują z serią *Rambo* z

Sylvestrem Stallonem. Od czasu gdy zdewastowano dancingi, młodzi ludzie słuchają muzyki skupieni wokół salonów fryzjerskich One Love, U Sportowców i Texas. Przy głównej ulicy jest jeszcze dziesięć aptek, trzy czy cztery zakłady fotograficzne, ambulatorium, piekarnia o nazwie Nasz Chleb Powszedni, sklep rzeźniczy Butcher, ale żadnego sklepu ze sprzętem hi-fi, żadnej witryny z modą i, co jeszcze bardziej dziwi w afrykańskim mieście: żadnej biżuterii.

Na głównej ulicy ruch nigdy nie ustaje. Podczas południowej przerwy w pracy zjawiają się tu urzędnicy. Po zakończeniu lekcji ulicę wypełniają gromady uczennic w błękitnych sukienkach, uczniów w mundurkach koloru khaki i gimnazjalistów w białych koszulach; w dni targowe zabarwiają ją niezliczone parasole, czerwone, żółte, zielone i niebieskie. Wyludnia się po gwizdku rozpoczynającym mecz na stadionie znajdującym się na jej końcu, a w przerwie meczu znów roi się tu od ludzi. To na główną ulicę, z braku telefonów, wychodzi się, by poznać nowiny o tym czy o tamtym.

Innocent Rwililiza, który obawia się konfrontacji ze zbyt wielką liczbą cieni w swoim własnym domu, jest jedną z najczęściej widywanych osób na głównej ulicy. Dziesięć lat nauczania w różnych szkołach na wzgórzach i piętnaście lat pracy w szkole w mieście sprawiły, że zna tu każdego. Jest szkolnym wizytatorem i inicjatorem wielu stowarzyszeń wzajemnej pomocy. Jest jedną z dwudziestu bohaterskich osób, które przeżyły w lesie na wzgórzu Kayumba. Nie wiąże się z żadnym klanem i zawsze jest skory do pomocy, uprzedzająco miły, nawet gdy posługuje się drwiną, niezwykle uprzejmy, gdy się wypowiada. Innocent robi się nerwowy tylko wtedy, gdy mowa o kościele, w którym zginęła jego pierwsza żona. Druga żona, Épiphanie, dała mu już czworo dzieci.

Pije wyłącznie primusa - jedną, dwie, pięć butelek, gdy spotyka się z ludźmi - który zawsze musi być letni. Każde inne piwo albo piwo o innej temperaturze, co gładząc butelkę, od razu wyczuwa, podobnie jak inne napoje, napawa go instynktownym wstrętem. Wszystko go ciekawi, ludzie i inne kraje, lecz skupia się

na jednym, próbuje zrozumieć, co właściwie przeżył, choć wie, że jest to z góry skazane na porażkę. Jego marzeniem jest napisać książkę o ludobójstwie, ale twierdzi, że jeszcze nie jest na to gotowy lub że brak mu zapału. Na razie o tym mówi, dyskutuje, żartuje, często i ze wszystkimi; nie tylko po to, by lepiej pojąć, czy też nie zapomnieć, ale także dlatego, że mówienie przynosi mu ulgę.

Innocent Rwililiza, 38 lat, nauczyciel Centrum Nyamaty

Mój ojciec był pomocnikiem weterynarza w Ruhengeri. Tak jak wielu innych, wysłano go, by wykarczował sobie parcelę na wzgórzu Kanombe. Co uczynił własnymi rękami. W Rwandzie nikt nie uczy się uprawy ziemi; to przychodzi samo. Jeśli chwilowo nie masz nic lepszego do roboty, bierzesz motykę i idziesz kopać w polu.

Kiedy moi rodzice przebyli rzekę Nyabarongo, w buszu mieszkały już gdzieniegdzie miejscowe rodziny Hutu, które wcale nie były złe. Ci ludzie nie wiedzieli nic o zamęcie, jaki panował wszędzie indziej w kraju, i patrzyli na uchodźców w sposób bardzo przyjazny.

Na wzgórzu Kanombe była nas tylko czwórka, dwóch braci i dwie siostry. Mieszkaliśmy w chacie o słomianym dachu. Żeby dojść do szkoły, musieliśmy iść pieszo dwadzieścia kilometrów przez busz. W niedzielę trzeba było karczować pole. Skończyłem szkołę podstawową, potem liceum i tak zostałem nauczycielem. Ożeniłem się i wraz z żoną osiedliliśmy się w centrum Nyamaty, gdyż parcele na wzgórzach były przepełnione.

W owym czasie Nyamata była już czymś więcej niż wioską, był tu bardzo przyzwoity targ i murowany kościół. Ulice bardzo się zmieniły, domy szybko rosły. Spotykało się najrozmaitszych handlarzy, był dworzec minibusów jeżdżących do Kigali, kabarety z miejscowymi trunkami i eksportowym piwem, koledż, bardzo skromny hotel, centrum kulturalne z ładnie utrzymanym gazonem. Wszystko wskazywało na to, że Nyamata wkrótce stanie się miastem, mówiło się nawet, że będzie tu prefektura, pomimo szkód, jakie wyrządzała susza. Żyło tu trochę więcej Tutsi niż Hutu, ludzie czuli się dobrze.

Dopiero później, od 1992 roku, polityka zaczęła wszystko psuć. Bojówkarze i

politycy przybyli tu z Kigali i to była zła wróżba. Zabito nawet burmistrza Hutu, ponieważ nie chciał urządzić polowania na Tutsi. Przestaliśmy spotykać się w kabarecie z obawy przed pobiciem, ale na polu czy na drodze rozmawialiśmy ze sobą. W 1994 roku, jak wszyscy, czułem, że coś wisi w powietrzu. Ludzie nie ośmielali się już wejść do tego czy innego baru, jeśli nie należeli do takiej czy innej partii. My, Tutsi, chodziliśmy tylko do lokali innych Tutsi, żeby w spokoju wypić sobie primusa.

*

Pamiętam, jak pewnego wieczoru, na kilka tygodni przed rozpoczęciem ataków, wracałem z pracy z pewnym kolegą i sąsiadem Hutu. Mówiliśmy o negocjacjach na szczycie w Arushy między władzami i rebeliantami i wyrażaliśmy zaniepokojenie sytuacją polityczną. W połowie wzgórza przystanął, spojrzał na mnie i powiedział: „Innocencie, będą chcieli was zgładzić”. Odparłem: „Nie, nie sądzę. Będziemy cierpieć raz jeszcze, ale na pewno uda nam się przeżyć”. On powtarzał: „Innocencie, posłuchaj mnie, muszę ci powiedzieć, że wszyscy umrzecie”. Później widziałem tego kolegę w dzielnicy, jeździł ciężarówką z żołnierzami z garnizonu Gako i wskazywał palcem drzwi tych, których należało zabić. Zobaczył mnie, potem wrócił do swojego zajęcia.

Nazajutrz po upadku samolotu Habyarimany nadal nauczaliśmy zgodnie z rozkładem zajęć; ale nocą spaliśmy w buszu, z dala od domów, z obawy przed napaścią. 11 kwietnia rano w mieście zaczął się wielki zamęt. Żołnierze zaczęli strzelać do ludzi na ulicach. Ale ci żołnierze szybko zdali sobie sprawę, że ludzie im nie zagrażają, przestali używać kul, pomagali tylko *interahamwe*, którzy już rzucili się, by zabijać. Zaczęli od dobrze prosperujących handlarzy, bo już wtedy myśleli zwłaszcza o tym, żeby się wzbogacić.

Tłum ruszył w panice do urzędu gminy. Przez jakieś dwie godziny staliśmy na dziedzińcu, czekając na słowa otuchy. Wyszedł burmistrz, miał na sobie niebieski uniform, który zakładał podczas ceremonii. Oznajmił nam: „Jeśli wrócicie do

domów, zostaniecie zabici. Jeśli uciekniecie do buszu, zostaniecie zabici. Jeśli zostaniecie tutaj, zostaniecie zabici. Jednak musicie stąd odejść, bo nie chcę krwi przed urzędem”. Kobiety, dzieci i najsłabsi poszli w stronę kościoła. Ja pomyślałem sobie: „Zasady się zmieniły. Tam też będą zabijać, to pewne, w każdym razie nie chcę umierać w kościele”. Dlatego przez cały dzień biegałem w różne strony. Spędziłem noc w zaroślach, a następnego dnia dotarłem na szczyt Kayumby. Tam w górze zgromadziło się jakieś sześć tysięcy zdrowych i silnych osób, o dwa czy trzy kilometry od miasta, czekając w eukaliptusowym lesie na rozwój wypadków.

W dniu masakry w kościele słyszeliśmy na Kayumbie wybuchy granatów i widzieliśmy dym. Moja żona wraz z dzieckiem schroniła się w środku. Cztery dni później spotkałem w lesie kobietę, która uniknęła rzezi, powiedziała: „Innocencie, przynoszę ci złe wieści, widziałam twoją żonę podczas masakry w kościele. Była w takim stanie, że wierz mi, na pewno odeszła już z tego świata”. Byłem w szoku, ale jeszcze miałem nadzieję. Mówiłem sobie: „Skoro nikt nie widział jej zwłok, być może jej też udało się wymknąć”.

Jeszcze dziś, po latach, gdy widzę w dali sylwetkę, która ją przypomina, wybiegam na ulicę. To okropne żyć z fałszywą nadzieją. Dzisiaj mogę powiedzieć, że życie ze wspomnieniem żony i dziecka, kiedy się nie wie, jak zostali zabici, gdy nie widziało się ich martwych ciał i ich nie pochowało, to coś, co najtrudniej udźwignąć.

Nie mogłem zabrać żony i syna na wzgórze Kayumba, gdyż nie biegali zbyt szybko. Nie poszedłem z nimi do kościoła, bo zwykły tak robić tylko słabe osoby. Myślałem: „Skoro masz umrzeć, musisz spróbować przeżyć choć dwa czy trzy dni dłużej”. Właśnie dlatego się rozłączyliśmy.

Lecz jest też inny powód naszego rozstania, trudniejszy do wyjaśnienia; muszę o tym powiedzieć. Tak. Kiedy w jakiejś rodzinie wszyscy mają umrzeć, kiedy nie możesz nic zrobić, żeby ocalić żonę czy ulżyć jej cierpieniom, tak samo jak ona, lepiej jest pójść i dać się zabić gdzie indziej. Powiem to trochę jaśniej. Jeśli nie

umrzesz pierwszy, jeśli będziesz słyszał krzyki twojego ojca, matki, żony albo dziecka i nie będziesz mógł ruszyć ręką, żeby ich ocalić czy choćby sprawić, by mieli lżejszą śmierć, umrzesz sam, w poplątaniu uczuć, które łączyły was w dobrych czasach, ponieważ będziesz czuł się zbyt winny w sytuacji, która cię przerasta. W ostatniej chwili ogarnie cię straszne uczucie wstydu i przeważy nad miłością, wiernością i wszystkimi tego typu uczuciami. Na granicy istnienia odbiorą ci nawet wspomnienia dobrych chwil, które przecież życie ci dało. Oto dlaczego pomyślałem: może to lepiej, że zostaniemy ścięci z dala od swoich oczu.

*

Na wzgórzu Kayumba sytuacja od razu stała się groźna. Jak wspomniałem, jest tam eukaliptusowy las. Eukaliptusy to wysokie drzewa, które rosną zbyt rzadko, by znaleźć wśród nich schronienie, inaczej niż gęste papirusy na bagnach. Jednak całe wzgórze było otoczone przez *interahamwe*. Rano wspinali się rzędami ze śpiewem i zaczynali gonitwę, głośno wykrzykując. Trzeba było osiągać poniżej dziewięciu sekund na setkę, żeby się im wymknąć. Musiałeś pędzić między drzewami, uciekać przez cały dzień, nigdy nie zwalniając.

Często urządzali pułapki. Kryli się gdzieś po cichu, ich koledzy zjawiali się później, by pędzić nas jak antylopy do miejsca zasadzki. W ten sposób mogli zabić większą liczbę ludzi. Coś w rodzaju safari na Kilimandżaro, tyle że bez aparatów fotograficznych. Tak więc musiałeś pędzić, nigdy nie tracąc czujności, i opanować technikę, o której zaraz powiem.

Jak wspomniałem, *interahamwe* byli przebiegli. Trzeba więc było wymyślić jeszcze sprytniejszą taktykę. Gdy słyszeliśmy, jak wchodzą na górę, krzycząc i śpiewając, pozwalaliśmy im podejść na jakieś dwieście metrów. Strzała wystrzelona z tej odległości nie zrobi ci krzywdy. Wtedy udawałeś, że zaczynasz uciekać, i w wielkim pędzie omijałeś ich łukiem. Oni zaczynali ścigać tych, którzy nie biegali dość szybko i uciekali przed siebie; w ten sposób, za plecami zabójców, mogłeś trochę odpocząć. Po dwóch czy trzech godzinach na wzgórze wchodziła druga linia

ataku, by dobijać rannych; i znów trzeba było obiec ich dookoła. Tak właśnie próbowali ratować życie ludzie młodzi o mocnych nogach, którzy gnali jak strzała. Jeśli chodzi o innych, nie mieli innego wyjścia, jak tylko biec prosto przed siebie, resztką tchu, by nie dać się zmasakrować przed końcem gonitwy.

Około szesnastej złoczyńcy wracali do miasta, bo bali się ciemności. Wieczorem z góry słyszeliśmy, jak świętują, śpiewając i pijąc. Widzieliśmy, że mieszkają teraz w najlepszych domach. Czasem niosła się z wiatrem woń smażonego mięsa. A my chodziliśmy grzebać na polach i spaliśmy na deszczu, chroniąc się pod gałęziami.

Nazajutrz znów ze śpiewem wchodzili na wzgórze i polowanie trwało cały dzień. Staraliśmy się biegać małymi grupkami, by dodawać sobie otuchy. Jeśli ktoś wpadł w pułapkę, ginął; jeśli ktoś skręcił kostkę, ginął; jeśli ktoś dostał gorączki lub rozstroju żołądka, ginął. Co wieczór las był usiany dziesiątkami martwych i konających ludzi.

Na domiar złego, choć była to pora deszczowa, na wzgórzu brakowało nam wody do picia, bo nie mieliśmy naczyń. Na początku udawało nam się zaspokoić pragnienie, pijąc deszczówkę ściekającą z dachów. Ale potem ściągnęli blachę, by wzmocnić dachy swoich domów w mieście, i nie wiedzieliśmy już, jak zdobyć wodę. Mogliśmy tylko lizać mokre liście. Nie mieliśmy dostępu do wody z sadzawek jak rodacy na bagnach. Toteż po dniu gonitwy ten, kto przeżył i mógł wreszcie cieszyć się chwilą wolności, był całkiem odwodniony. Zresztą coraz więcej ludzi umierało po prostu z pragnienia, w środku pory deszczowej. W lesie skupialiśmy się w grupie ze znajomymi lub na zasadzie przypadku. Byliśmy utytłani błotem, bo nie było się jak umyć. Niektóre kobiety straciły swoje *pagne,* dziewczęta owijały głowę bielizną, by chronić się przed słońcem. Niektórzy cierpieli z powodu ropiejących ran. Kiedy powracał spokój, wieczorem, siadaliśmy obok siebie, by nawzajem szukać sobie wszy i drapać się po skórze. Ale nigdy nie czuliśmy się z tego powodu upokorzeni. Wszyscy nosiliśmy to samo brzemię i wszyscy byliśmy tak samo brudni. Czasem zdarzało się nam nawet droczyć. Jakaś kobieta siadała

koło ciebie, iskała cię i mówiła: „Ach, ach, jaki ty jesteś brudny, już sama nie wiem, czy jesteś naprawdę czarny” czy coś w tym rodzaju. Jedyną rzeczą, która się liczyła, było jeszcze przez jakiś czas pozostać przy życiu.

Czasem patrzyliśmy ze wzgórza, jak Hutu świętują w Nyamacie, jak podczas wesela. I zdarzało się, że ktoś mówił głośno: „Gdyby pozwolili nam tu żyć, jak zwierzętom, do końca naszych dni, lecz nas nie zabijali, byłoby całkiem znośnie. Niech biorą nasze domy, zabijają krowy, to nic. Byleby tylko przestali nas zabijać”.

Człowiek kryje w sobie tajemnicze powody, dla których chce przeżyć. Im więcej nas umierało, im bardziej byliśmy gotowi na śmierć, tym szybciej biegaliśmy, by zyskać choć chwilę życia. Nawet ci, którzy mieli obcięte nogi i ręce, prosili o wodę, żeby przetrwać choć godzinę dłużej. Nie potrafię wyjaśnić tego fenomenu. To nie jest zwierzęcy odruch; ponieważ zwierzę chce żyć dlatego, że nigdy nie jest pewne, że umiera, nie wie, co znaczy śmierć. W naszym przypadku było to straszliwe, pierwotne pragnienie, jeśli mogę się tak niezręcznie wyrazić.

*

Ale jeśli chodzi o Hutu, myślę, że nasz widok, ludzi żyjących jak jakieś dzikusy, musiał ułatwiać im pracę. Zwłaszcza tym, których nie ożywiała nienawiść i chęć zabijania.

Pewnego dnia szliśmy grupą i zaskoczyliśmy trzech Hutu. Zapomnieli się i zostali sami. Otoczyliśmy ich, siedli pośrodku, na liściach. Jeden z nas biegł, trzymając w ręku strzały, które znalazł na ziemi. Powiedzieliśmy im: „Cóż, sytuacja się odwróciła; tym razem to my zabijemy was tymi strzałami”. Jeden z nich, stary mężczyzna, zaczął błagać: „Nie, nie, wybaczcie, nie zabijajcie nas”. Powiedziałem: „Tak, a to dlaczego? Przez cały dzień nas ścinacie, a teraz płaczecie, żeby was nie kaleczyć?”. Powiedział: „To nie moja wina. To gmina zdecydowała. Tam w dole każą nam to wszystko robić”. Spytałem go: „Jeśli to prawda, czemu nie przychodzisz tu poleżeć sobie w cieniu, nie zabijając ludzi do wieczora, a potem nie zejdziesz do Nyamaty wypoczęty, nie narażając się władzom?”. Odpowiedział: „To

dobry pomysł, nie pomyślałem o tym”. Rozgniewałem się i zacząłem krzyczeć: „Nie pomyślałeś, że mógłbyś nas nie zabijać?”. Odparł: „Nie, tak wielu z was zabijamy, że zapomnieliśmy o tym, żeby was szanować”.

Teraz myślę, że w sercach tych Hutu nie było okrucieństwa. My gnaliśmy bez wytchnienia, słysząc najmniejszy szelest. Z brzuchem przy ziemi grzebaliśmy, szukając manioku, zżerały nas wszy, umieraliśmy ścięci maczetą jak kozy na targu. Byliśmy podobni do zwierząt, ponieważ nie przypominaliśmy już ludzi, którymi byliśmy wcześniej, a oni przywykli patrzeć na nas jak na zwierzęta. I na nas polowali. Tak naprawdę to oni stali się zwierzętami. Zabrali Tutsi człowieczeństwo, by łatwiej ich zabijać, ale sami stali się czymś gorszym niż dzikie zwierzęta z buszu, bo nie wiedzieli, dlaczego zabijają, i robili to jak maniacy. Gdy jakiś *interahamwe* złapał ciężarną Tutsi, najpierw rozcinał jej klingą brzuch. Nawet cętkowana hiena nie pozwala sobie na taki wybryk względem pobratymców.

W lesie Kayumby żyliśmy zjednoczeni. Nie można było niczego nikomu ukraść, o cokolwiek się sprzeczać. Ludzie, którzy wcześniej z jakichś powodów żyli ze sobą w zwadzie, zapominali o waśniach. Pamiętam dwie ostre sprzeczki. Jedną z powodu osiłka, który burczał, gdy ktoś zbliżył się do jego pożywienia. Drugą z winy młodego człowieka, który lżył swoją siostrę i nie chciał jej dłużej żywić, bo nie umiała niczego znaleźć na polu. Dwóch złośliwych gburów na tysiące ludzi, to nie mogło zakłócić naszego porozumienia.

Gdy spaliśmy tuż obok siebie, nawet wtedy, gdy rozbieraliśmy się do naga, żeby uprać majtki, nie mieliśmy chęci się dotykać; nie myśleliśmy o seksie i jego urokach, gdyż w ciągu dnia widzieliśmy za dużo krwi. Cierpieliśmy ten sam los, groziło nam to samo niebezpieczeństwo, a ponieważ mieliśmy umrzeć, staraliśmy się być dla siebie dobrymi przyjaciółmi jak długo się da. Są dni, gdy mówię sobie, że gdyby mężczyźni i kobiety żyjący na ziemi byli dla siebie tak dobrzy, jak my na Kayumbie, świat byłby bardziej przyjazny niż jest. Lecz wszyscy ci solidarni ludzie nie żyją i nie zostali nawet pochowani.

Dziś w naszej gminie spotyka się Hutu, którzy byli zmuszeni zabić Tutsi, członka własnej rodziny, żeby uniknąć śmierci. Ale jest tylko jeden przypadek, by jakiś Tutsi zabił innych Tutsi, próbując ocalić siebie, jedna osoba na dziesiątki tysięcy ludzi. Ten typ był kiedyś oklaskiwanym zawodnikiem lokalnej drużyny Bugesera Sport; chciał zostać *interahamwe;* doniósł na sąsiadów, pomagał zabijać, by ocalić skórę dzięki dawnym kolegom, z którymi kopał piłkę. *Interahamwe* posłużyli się nim, a w końcu zabili go na drodze.

Wiedzieliśmy, że proponowanie im współpracy niczemu nie służy, bo jej nie potrzebowali, nie dopuszczali wyjątków. Tylko zwyczajni Hutu oszczędzali czasem dziewczyny, by je zgwałcić albo żeby pracowały w ich domu, ale gdy tylko *interahamwe* się dowiadywali, ścinali je od razu, nie pytając właścicieli o zdanie. W Nyamacie znam tylko dwie, które przeżyły w domach rodzin zabójców. Nie mówię o takich, które mogły być dobrze ukryte.

Hutu byli w pełni zdecydowani, by doprowadzić naszą eksterminację do końca. Kiedy kogoś chwytano, nie wydawał nikogo, bo wiedział, że i tak to go nie ocali. Ktoś, kto mówił, że zdradzi kryjówkę kolegi, mógł zostać ścięty w najbardziej okrutny sposób w ramach podziękowania, żeby mogli się pośmiać. Więc umieraliśmy często bez słowa, nie protestując, choć nieuniknione były krzyki bólu. Tak, jakbyśmy oswoili się ze śmiercią, zanim nas zabiją.

Któregoś dnia, pamiętam, ukryłem się za jakimś zrujnowanym domem. *Interahamwe* weszli do środka i znaleźli całą rodzinę. Słyszałem uderzenia maczety o kości, słyszałem tylko ciche skargi. Potem znaleźli dziecko za studnią. To była dziewczynka. Zaczęli ją kaleczyć. Słyszałem wszystko, siedząc w mojej kryjówce. Nawet nie błagała o litość, żeby ocalić życie; tylko coś szepnęła przed śmiercią; „Jezu”, jak mi się zdaje, czy coś takiego, potem tylko krzyki.

Więc dlaczego ranili ludzi, zamiast od razu ich zabić? Nie myślę, by chodziło o karę za próbę ucieczki. Ani o to, by zniechęcić żywych do biegania, wymykania się zabójcom przez cały dzień, szukania ocalenia na wszelkie możliwe sposoby. Lub

może robili tak, ale tylko w minimalnym procencie przypadków. Te kanalie myślały, że tak czy owak wybiją nas wszystkich.

Okaleczali nas, bo zasmakowali w dzikim okrucieństwie, nic więcej. Byli wśród nich zwykli Hutu, którzy zabijali zwyczajnie, źli Hutu, którzy zabijali ze złością, najczęściej *interahamwe*, i w końcu ekstremiści zła, którzy zabijali z ekstremalną złością.

Codziennie rano, nawet w niedzielę, łowcy wchodzili na górę różnymi ścieżkami, w kapeluszach na głowie, z klingami na ramieniu, ze śpiewem. Wieczorem, około szesnastej, zawracali, gawędzili ze sobą i zostawiali sto, dwieście trupów pod eukaliptusami. Najpierw starców i dzieci, potem chorych i osłabionych, później kobiety i tych, którym zabrakło szczęścia. Wiele ekip próbowało nocą uciec do Burundi. Tylko dwóch ocalało. Silny pasterz, który zabił tego, który chciał go zabić, i biegnąc dotarł do Burundi, nawet o tym nie wiedząc. I Théoneste, który przedarł się przez busz, stosując setki znanych pasterzom wybiegów.

Na Kayumbie w niektóre wieczory zdarzały się samobójstwa. Starsi ludzie, którzy od 1959 roku przeżyli zbyt wiele groźnych sytuacji, uważali, że to im wystarczy. Młodzi, którzy chcieli uniknąć maczety, woleli umrzeć w głębokiej wodzie, nie musząc błagać zabójców w cierpieniu. Ale zdarzało się to znacznie rzadziej niż na bagnach. Z jednej strony dlatego, że w ciągu dnia widziało się dość zmarłych, by powiększać tę liczbę. Z drugiej dlatego, że nie było czym i jak zadać sobie śmierci. Tylko raz, w dniu wyjątkowo smutnym, chciałem ze sobą skończyć i rzucić się do rzeki Nyabarongo. Idąc tam, natknąłem się na ekipę *interahamwe* i musiałem zawrócić; w pewnym sensie zawdzięczam im życie.

Na Kayumbie samobójstwo wymagało wielkiej odwagi, energii i szczęścia. Ale były kobiety i mężczyźni, którzy któregoś dnia nie chcieli już uciekać. Pewnego ranka siedziałem za głazem z jeszcze młodą i silną kobietą. Usłyszeliśmy głosy morderców, wstałem, ona się nie podniosła. Powiedziałem jej: „Pospiesz się, bo nas

dopadną”. Odpowiedziała spokojnie: „Idź, Innocencie. Ja tym razem nie będę się już trudzić” Pobiegłem; kiedy wieczorem wróciłem do tej skały, leżała z obciętą głową.

Pod koniec zostaliśmy już tylko my, sprinterzy. Na początku było nas pięć czy sześć tysięcy; w miesiąc później, kiedy zjawili się *inkotanyi*, tylko dwudziestka została przy życiu. Oto prosta arytmetyka. Gdyby *inkotanyi* dotarli tu tydzień później, zostałoby zero. I cała Bugesera byłaby pustynią, ponieważ Hutu tak przywykli do zabijania, że zabijaliby się nadal między sobą.

Chcę po prostu zwrócić uwagę tym, którzy nie chcą przyjąć całej prawdy o ludobójstwie w Rwandzie, że gdyby Hutu tak bardzo nie chcieli się od razu wzbogacić, zdołaliby zgładzić wszystkich Tutsi w kraju. Na nasze szczęście marnowali dużo czasu, ściągając blachę z dachów, przeszukując domy i spierając się o podział łupów. Poza tym, gdy jakaś grupa *interahamwe* nieźle się obłowiła, urządzali ucztę; jedli, żeby nabrać sił, pili i palili, by poprawić trawienie, a nazajutrz robili sobie wolne.

Wielu zagranicznych dziennikarzy pisało, że piwo i inne trunki odegrały decydującą rolę podczas masakr. To prawda, ale w sensie dokładnie odwrotnym, niż to sobie wyobrażają. Można powiedzieć, że wielu z nas zawdzięcza życie primusowi i możemy mu podziękować.

Spróbuję to wyjaśnić. Zabójcy przychodzili rano trzeźwi, by mordować. Ale wieczorem opróżniali więcej butelek primusa niż zwykle, niejako w nagrodę, i nazajutrz byli trochę osłabieni. Im więcej zabijali, im więcej kradli, tym więcej pili. Być może po to, żeby się rozluźnić, być może po to, żeby zapomnieć czy sobie powinszować. W każdym razie, im więcej ludzi ścinali, tym więcej pili wieczorem i tym bardziej opóźniała się realizacja planu. To bez wątpienia takie rzeczy jak grabieże i pijaństwo ocaliły nam życie.

My, ludzie ocalali ze wzgórza Kayumba, zajmujemy się dzisiaj różnymi rzeczami. Czas nas rozdzielił, ale nadal się odwiedzamy, staramy zachęcać do życia,

wspominamy brawurę, jaką wykazaliśmy tam w górze. Ci, którzy chodzą do kabaretów, dzielą butelkę primusa i o tym gawędzą. Wciąż nie potrafimy sobie wyjaśnić, co nam się przydarzyło.

Powiedziałbym, że w Afryce, im więcej jest grup etnicznych, im więcej się o nich mówi, tym mniejszy stanowią problem. Na całym świecie, czy jesteś biały, czy czarny, z Bieguna Północnego czy z dżungli, nie wywołujesz zaraźliwego uczucia zażenowania. Tu, w Rwandzie, być Hutu czy Tutsi to cała historia. Na targu Hutu rozpoznaje ludzi Tutsi z odległości pięćdziesięciu metrów i vice versa, ale stwierdzenie, że istnieje różnica, jest tematem tabu, nawet między nami. Ludobójstwo zmieni życie wielu pokoleń Rwandyjczyków, a jednak wciąż nie wspomina się o nim w szkolnych podręcznikach. Nigdy nie czujemy się swobodnie, mówiąc o tych niuansach. Przynależność etniczna do pewnego stopnia przypomina aids, im mniej się o niej mówi, tym więcej czyni spustoszeń.

*

Czytałem, że po każdym ludobójstwie historycy wyjaśniają, iż będzie ostatnie. Ponieważ nikt już nie będzie mógł się zgodzić na coś podobnego. To kpina. Ludzie odpowiedzialni za ludobójstwo w Rwandzie to nie jacyś biedni i ciemni rolnicy ani okrutni alkoholicy z *interahamwe;* to ludzie wykształceni. To profesorowie, politycy, dziennikarze, którzy wyjechali do Europy, by studiować historię Rewolucji Francuskiej i nauki humanistyczne. To ci, którzy podróżowali, których zapraszano na konferencje i którzy przyjmowali białych na kolacji w swych willach. Intelektualiści, którzy mieli biblioteki sięgające sufitu. Oni bynajmniej nie zabijali własnymi rękami, ale wysyłali ludzi, by wykonali swoją pracę na wzgórzach.

W Nyamacie przywódca *interahamwe* nazywał się Jean-Désire. Był dobrym nauczycielem. Czasem po przyjacielsku dzieliliśmy się primusem. Mówił: „Cóż, jeśli *inkotanyi* wkroczą do Rwandy, będziemy zmuszeni was zabić” i tego typu rzeczy. Ale że był miły, śmialiśmy się z tego i stawiali mu kolejne piwo. Ten

człowiek, z którym żartowaliśmy w barze, okazał się potem jednym z trzech czy czterech głównych inicjatorów ludobójstwa w regionie.

Ludobójstwo nie jest naprawdę kwestią biedy czy braku wykształcenia, zaraz to wyjaśnię. Jestem nauczycielem, więc sądzę, że wykształcenie jest niezbędne, by zorientować się w otaczającym nas świecie. Ale nie czyni człowieka lepszym, czyni go bardziej skutecznym. Jeśli ktoś chce nakłonić do zła, będzie mu łatwiej, jeśli zna ludzkie skłonności, jeśli zgłębi ludzką moralność, zbada socjologię. Człowiek wykształcony, jeśli ma skazę na sercu, jeśli przepełnia go nienawiść, będzie gotowy wyrządzić więcej zła. W 1959 roku Hutu zabijali, wypędzali, łupili bez opamiętania Tutsi, ale ani przez chwilę nie zaświtała im myśl, by ich całkiem zgładzić. To intelektualiści, że tak powiem, ich wyemancypowali, wpajając ideę ludobójstwa i uwalniając od wahań. Nie neguję krzywd wyrządzonych Hutu pod panowaniem królów Tutsi, faktu zbyt wielkich różnic, gdy chodzi o posiadanie bogactw czy władzę. Lecz było to tak dawno temu, że państwowy uniwersytet w Butare nie mógł nigdy wydać dyplomu żadnemu historykowi z Rwandy, który by napisał jakąś sensowną książkę na temat tych królów.

W każdym razie Tutsi nie zrobili nic złego po 1959 roku, ponieważ po wyborach do armii poszli Hutu, burmistrzami, prefektami, policjantami także zostali Hutu; nawet dyrektorami urzędów pocztowych byli Hutu. Natomiast Tutsi pomnażali stada, nauczali w szkołach, rozwijali swoje sklepy i przywykali do znoszenia szykan przy tradycyjnych okazjach. Zatem to pozbawieni skrupułów intelektualiści Hutu zaplanowali likwidację Tutsi.

Zresztą Francuzi wiedzieli, że szykuje się ludobójstwo, bowiem wspierali naszą armię. Podobno w to nie wierzyli; a jednak wielu białych znało program i charakter Habyarimany, tak jak znali zamiary Hitlera. Któregoś dnia do Nyamaty wjechały białe wozy pancerne, by zabrać białych księży. *Interahamwe* myśleli, że chcą ich ukarać, i uciekli, krzycząc jedni do drugich, że biali ich zabiją. Pojazdy nie zostały tu nawet przez chwilę, żołnierze nie siedli przy primusie, by pośmiać się z całego

tego nieporozumienia. A w kilka tygodni później biali przysłali tu profesjonalnych fotografów, by pokazać światu, jak się nas masakruje. Więc może pan zrozumieć, że w serca ocalałych wkradło się uczucie porzucenia, które nigdy się nie rozwieje. Ale nie chcę urazić pana tą historią.

*

Dziś widzę, że mówienie o ocalałych, nawet w gronie Rwandyjczyków, nawet w gronie Tutsi, zawsze jest kłopotliwe. Myślę, że tak naprawdę wszyscy woleliby, by ocalali przestali zajmować się ludobójstwem. By zostawili roztrząsanie tej kwestii innym, tym, którzy nie byli wprost narażeni na poćwiartowanie maczetą. Jakbyśmy teraz stali się trochę zbędni. Ale trzeba powiedzieć, że my także ponosimy część winy. Po ludobójstwie żyliśmy jak zamroczeni i całkiem straciliśmy głowę.

W lesie jakiemuś chłopakowi udało się zachować radio na baterie. W pierwszym tygodniu, wieczorem, słuchaliśmy czasem wieści o ludobójstwie; słyszeliśmy przemówienie tymczasowego premiera, który wymyślał Hutu z Butare, bo trzeba ich było ciągnąć za uszy, by zechcieli zabijać. Później wypowiedź ministra rolnictwa, który radził pracować na polu zawsze z maczetą pod ręką, na wypadek gdyby przez parcelę przebiegał uciekinier Tutsi. Słuchaliśmy o strasznych masakrach na północy i południu kraju. Mówiliśmy sobie, że tu w górze, pośród eukaliptusów, jesteśmy jednymi z ostatnich żyjących.

Toteż gdy stamtąd zeszliśmy, powiedzieliśmy sobie: „Mieliśmy umrzeć, ale wciąż żyjemy, to nam wystarczy. Po co się trudzić, próbować zmagać z życiem czy prosić o wysłuchanie?”. Mnie samego ten wieczny pościg na Kayumbie zupełnie wycieńczył, byłem osłabiony malarią, byłem przybity śmiercią mojej rodziny. Jakby wszystkich tych nieszczęść było jeszcze za mało, nastąpiłem na minę na ulicy i straciłem nogę. Nie szukałem już okazji, by spotykać się z ludźmi z zewnątrz, fotografami i resztą. Kpiłem sobie tak samo z nich, jak z samego siebie, z nas, z tego, co możemy sobie nawzajem sensownego powiedzieć.

W dodatku byli tacy, do których trudno się było zbliżyć z powodu cuchnących

ran, inni, którzy zostali ogołoceni ze wszystkiego, jeszcze inni nie mieli już dachu nad głową, by móc kogoś przyjąć. Woleliśmy zostać w domach, piliśmy primusa, gdy tylko wpadło nam trochę gotówki. Reporterzy przechodzili przed naszymi drzwiami i nawet nie pukali, bo byli zbyt zajęci, by tracić czas z ludźmi, którzy nie mają ochoty na rozmowę. Uchodźcy Tutsi wracający z Burundi byli w lepszej formie niż my, wykazywali znacznie większą aktywność, byli bardziej otwarci i skorzy do rozmowy, toteż ich bardziej zauważono.

Dziś zdumiewa mnie, że wielu inicjatorów ludobójstwa wróciło do normalnego życia, że nieniepokojeni mogli stąd wyjechać, że przechadzają się po ulicach we Francji, w Europie, w Kenii. Wykładają na uniwersytetach, głoszą kazania w kościołach czy leczą ludzi w szpitalach, a wieczorem słuchają muzyki i zaganiają dzieci do nauki. Mówi się: „Ludobójstwo to przejaw ludzkiego szaleństwa", ale policja nawet nie przesłuchuje prowodyrów w ich willach w Brukseli czy Nairobi. Kiedy pan widzi któregoś z nich w Paryżu w modnym garniturze i okrągłych okularach, mówi pan sobie: „Proszę, oto cywilizowany Afrykanin". Wcale pan nie myśli: „Oto sadysta, który zgromadził, a potem rozdał dwa tysiące maczet chłopom ze swego rodzinnego wzgórza". I z powodu tego lekceważenia rzezie mogą znów się rozpocząć, tutaj albo gdzie indziej.

Wojna jest skutkiem inteligencji i głupoty. Ludobójstwo jest wynikiem zwyrodnienia inteligencji. Gdy mówię o tej epoce, jedna rzecz mnie przerasta, barbarzyństwo tych rzezi. Jeśli trzeba było zabijać, należało zabijać, ale po co obcinać ramiona i nogi?

Ci, którzy to zrobili, nie są demonami ani nafaszerowanymi narkotykami *interahamwe*, jak powtarzają biali. To byli sąsiedzi, z którymi kiedyś rozmawialiśmy w drodze na targ. Jest pewne miejsce, gdzie wbili pięciu czy sześciu Tutsi na długie zaostrzone pale, by umarli jak nadziani na szaszłyk. Teraz twierdzą podobno w więzieniu w Rilinie, że nie pamiętają, jak mogli robić tak niewiarygodne rzeczy. Ale pamiętają wszystko, w najdrobniejszych szczegółach.

Moim zdaniem, powtarzam, ścinali i okaleczali, by odebrać Tutsi człowieczeństwo i dzięki temu łatwiej ich zabijać. I ostatecznie się pomylili. Słyszałem o pewnym zabójcy, który zakopał kolegę Tutsi w rowie za swoim domem. Osiem miesięcy później usłyszał podczas snu, że jego ofiara go woła. Wrócił do ogrodu, zaczął kopać, wyciągnął trupa, wtedy go aresztowano. Odtąd dzień i noc chodzi po więzieniu z czaszką tego kolegi w plastikowej torbie. Nie może wypuścić tej torby z ręki, nawet kiedy je. Cierpi na skrajną manię prześladowczą. Kiedy paliło się żywcem dzieci przed kościołem w Nyamacie, urządzało w lasach polowania na starców i wyciągało na bagnach płody z brzuchów ciężarnych dziewcząt, nie można twierdzić, że się nie pamięta, jak można to było robić, ani że było się do tego zmuszonym.

Lecz myślę też, że Rwanda je skromne dwa posiłki dziennie dzięki swojemu rolnictwu; że trzeba wielu ramion i silnych dłoni, by busz nie skorzystał z okazji, i że ta prawda o ziemi jest dopełnieniem wymogów sprawiedliwości.

Dostrzegam też, że powstaje przepaść między tymi, którzy przeżyli ludobójstwo, i resztą. Ktoś z zewnątrz, nawet jeśli jest Rwandyjczykiem, nawet jeśli jest Tutsi i stracił w rzeziach rodzinę, nie może do końca zrozumieć ludobójstwa. Nawet jeśli widział wszystkie te trupy, które gniły w buszu po wyzwoleniu; nawet jeśli widział stosy trupów w kościołach, nie może dzielić naszego sposobu widzenia.

*

Repatrianci i cudzoziemcy mówią, że ci, którym udało się ocaleć, stają się zgorzkniali, zamykają się w sobie, są wręcz agresywni. Ale to nieprawda, jesteśmy po prostu trochę zniechęceni, gdyż z wolna daliśmy się izolować. My, ocalali, czujemy się bardziej obcy w naszym własnym kraju, którego nigdy nie opuściliśmy, niż cudzoziemcy i uchodźcy, którzy patrzą na nas z takim niepokojem.

Rwandyjczyk, którego tu nie było podczas ludobójstwa, myśli, że wszystko, co mówi ocalały, jest prawdą; ale że jednak jest w tym lekka przesada. Wierzy we wszystko, co opowiada ocalały, a już chwilę później o tym zapomina. Zgadza się, że

doszło do ludobójstwa, ale ma wątpliwości, gdy chodzi o jego przebieg. Ten, kto nie przeżył ludobójstwa, chce, by życie toczyło się jak dawniej, chce bez zbyt wielu przystanków zmierzać ku przyszłości. Radzi przybyszom z zagranicy: „Cóż, dobrze jest słuchać tych, którzy przeżyli, ale trzeba też słuchać innych, by rozeznać się w sytuacji". Tutsi z zewnątrz, który w czasie ludobójstwa był w Bujumburze, Kampali czy Brukseli, nie rozumie tych komemoracji, ceremonii żałobnych, wszystkich tych miejsc pamięci. Męczy go to ciągłe celebrowanie rocznic, nie chce stale zaprzątać sumienia dawnymi ranami. Nie chce oglądać życia w negatywie i jest to zrozumiałe. Radzi ocalałemu: „Przyjacielu, przestań to przeżuwać, postaraj się zapomnieć, pomyśl teraz o sobie". Niektórzy mówią nawet: „Zrób to przynajmniej dla tych, którzy zostali zabici" albo coś podobnego, by puścić wszystko w niepamięć. Ale ocalały nie chce zapominać.

Z czasem pamięć ocalałego się zmienia, lecz nie zawsze tak samo, zależy od osoby. Zapominamy pewne szczegóły i mylą nam się inne. Mieszamy daty i miejsca. Ktoś może panu powiedzieć, że dostał cios maczetą, następnym razem, że został uderzony pałką. To tylko inny sposób pamiętania, opowiadania. Z jednej strony coś zapominamy, z drugiej dowiadujemy się od innych jakichś nowych rzeczy.

Z jednej strony nie interesuje już nas opowiadanie niektórych wydarzeń, z drugiej ośmielamy się z wolna opowiadać o zdarzeniach, które kryliśmy w sobie, na przykład gdy kobieta została zgwałcona czy podczas ucieczki porzuciła dziecko. Twarze przyjaciół czy rodziców zacierają się, ale to nie znaczy, że zaczynamy ich zaniedbywać. Nie zapominamy niczego. Mnie samemu zdarza się przeżyć wiele tygodni i nie widzieć twarzy mojej zmarłej żony i dzieci, choć śniłem o nich przez wszystkie poprzednie noce. Ale nie ma dnia, bym zapomniał, że już ich tu nie ma, że zostali ścięci, że chciano nas zgładzić, że sąsiadujący z nami od wielu lat ludzie w kilka godzin stali się zwierzętami. Codziennie wymawiam słowo „ludobójstwo".

*

Ocalały nie może się powstrzymać, by stale nie wracać do kwestii ludobójstwa.

Dla kogoś, kto tego nie przeżył, jest jakieś przed, podczas i po ludobójstwie. I życie na każdym etapie toczy się inaczej. Dla nas jest jakieś przed, podczas i po, lecz są to trzy różne życia, które zostały na zawsze rozdzielone.

Nawet jeśli ocalały okazuje radość, że może wreszcie wrócić do działania, i chwyta dłoń kolegi albo sąsiadki, żeby ponaglić przyszłość, wie, że w głębi duszy oszukuje. Tym bardziej ten, kto mówi tylko o przebaczeniu, zapomnieniu i tego typu rzeczach.

Sądzę, że podczas ludobójstwa głęboko w sercu ocalałego coś się zablokowało. Wie, że nigdy nie zrozumie, co to takiego. Dlatego stale chce o tym mówić. Zawsze jest coś nowego do powiedzenia albo wysłuchania. Na przykład ktoś był w Kibuye i mówi, jak to było w Kibuye, a drugi odpowiada mu, jak to było w Cyangugu, i to się nigdy nie skończy.

Ocalały ma skłonność nie wierzyć, że naprawdę żyje, że naprawdę jest tym, kim był przedtem, i w pewien sposób tym właśnie jest jego życie.

Sklepik przy głównej ulicy

Najsympatyczniejszy kabaret w Nyamacie nie jest naprawdę kabaretem. To sklepik Marie-Louise’y naprzeciwko targu. Można go rozpoznać po napisie na ścianie: „Ostrożnie” a sąsiaduje z prawdziwym kabaretem La Fraternité, gdzie klienci mogą wprawdzie cieszyć się dużą werandą, egzotycznymi freskami i rozgwieżdżonym niebem, ale zachodzą tu równie rzadko jak do innych barów w mieście. Sklepik Marie-Louise’y, przeciwnie, jest ciasny, ma wyblakłe zielone ściany, wieczorem oświetla go jeden skromny neon i zawsze jest tu tłoczno.

W głębi izby wiszą wspaniałe rwandyjskie tkaniny w różnych odcieniach błękitu i pstrokate tkaniny z Konga. Na półkach stoją termosy, plecaki, torby, leżą woreczki z ryżem, zeszyty, kłódki, bielizna... Za szybą na wysokiej ladzie widnieją długopisy, baterie, szampony. Pod ścianą mruczy lodówka. W spokojne popołudniowe godziny można ujrzeć właścicielkę lokalu na ławeczce na zewnątrz, ze spojrzeniem utkwionym w placu naprzeciwko; wieczorem siedzi w wygodnym fotelu za ladą. Jest życzliwa dla ludzi. Nosi się z tradycyjną rwandyjską elegancją, mówi powoli melodyjnym głosem.

Zaraz za drzwiami sklepu, wokół niskiego stolika, stoi kanapa, ława i kilka taboretów. Od południowej przerwy w pracy do późnego wieczora jest tu pełno popijających ludzi.

To miejsce spotkań miejscowej inteligencji, a także grupy ocalałych z Kayumby, handlarzy i bywalców głównej ulicy. Można tu spotkać najwierniejszych klientów, tych, którzy nie wyobrażają sobie dnia bez szklaneczki w lokalu Marie-Louise’y: Innocenta, rzecz jasna; Sylvère’a i Gonzalve’a, dyrektorów szkół; Benoit, hodowcę, w butach z cholewami i filcowym kapeluszu z szerokim rondem jak z westernu; André, zastępcę prokuratora, człowieka dyskretnego, choć o ciętym języku; Tite’a, gwiazdę wielkiej drużyny piłkarskiej, która awansowała niegdyś do pierwszej ligi,

a dzisiaj trenera... Do tej listy trzeba dorzucić Jeana, prawą rękę Marie-Louise'y oraz niestrudzonego kierowcę, i Engelberta, którego nie sposób opisać i którego, gdyby nie istniał, należałoby stworzyć. Engelbert, potomek wielkiej rodziny - królewskiej, jak ogłasza czasem po trzecim piwie - na trzeźwo wysoki urzędnik, erudyta oraz poliglota, z obawy przed masakrami uciekł ze stolicy i schronił się na bagnach. Odtąd nic i nikt nie jest w stanie przekonać go do powrotu do miasta i biura. Połowę czasu spędza jak pustelnik, sam w zagubionej w lesie ruderze. Gdy w zamian za primusa nie pomaga w redagowaniu jakichś pism urzędowych, spędza czas w sklepiku Marie-Louise'y (kiedy mu się wiedzie) lub w podrzędnych barach z *urwagwą*, rozpaczliwie poszukując przeszłości, która się oddala, cytując Szekspira i Baudelaire'a, odgrywając, nie bez ironii, rolę barowego błazna czy wioskowego głupka.

Marie-Louise zna nawyki każdego: letni primus dla Innocenta, zimny amstel dla Sylvère'a, duży mutzig dla Dominique'a, mały dla Benoit... Wymienia puste butelki, a równocześnie obsługuje klientki, które przyszły do sklepu, szepcze coś do ucha jakiemuś biednemu dziecku. Włącza się do dyskusji, popija coca-colę. W jej lokalu komentuje się wiadomości radiowe, ostatnie plotki z miasta, dowcipkuje. Ludzie piją piwo za piwem i w końcu zaczynają opowiadać historie z czasów ludobójstwa, przywołują wspomnienia wspomnień, śmieją się z czyjegoś wyczynu czy przykrego trafu. Poczucie bliskości, często cierpki humor, niezwykła tolerancja jednych wobec drugich tworzą atmosferę, bez której bywalcy nie mogą się obyć. Sklepik Marie-Louise'y to miejsce, gdzie można napić się po pogrzebie czy chrzcinach, można też zostawić tu komuś wiadomość.

Dlaczego Marie-Louise a nie La Fraternité? Czy zawsze pusty wspaniały ogród baru L'Intzinsi albo Podium, w których kiedyś było tak tłoczno? Pierwsza odpowiedź wiąże się z reakcją na bezpośrednie skutki ludobójstwa. W owym czasie miasteczko wyglądało tak, jakby przeszedł przez nie huragan. Ocalali zmagali się z nędzą, powracający z Burundi wygnańcy czuli się nieswojo i bali się tego

wyludnionego, zalęknionego miasta. Natomiast Hutu wracający z Konga nie ośmielali się schodzić do centrum miasta z obawy przed zemstą albo denuncjacją i nie opuszczali swych wzgórz. W kabaretach panowała cisza, opustoszałe tarasy zbyt ostentacyjnie podkreślały fakt nieobecności tych, którzy zginęli, oraz uwięzionych. Ci, którzy chcieli się napić, instynktownie gromadzili się więc w sklepikach, hurtowniach trunków, warsztatach, miejscach oficjalnych bardziej intymnych, rzadziej nawiedzanych przez cienie, gdzie w dodatku piwo kosztuje trochę mniej. W ten sposób wielu z nich zaczęło spotykać się u Marie-Louise'y, niegdyś żony najlepiej prosperującego w regionie przewoźnika.

Ten pierwszy odruch stał się potem zwyczajem. L'Intzinsi i bar w ośrodku kultury, kiedyś ulubione lokale ekstremistów, są omijane, pomimo zmiany właścicieli. Podium nie przetrwało. Club czy La Fraternité „straciły atmosferę". Tylko ponure bistra w kilku bocznych uliczkach, gdzie sprzedaje się za niewysoką cenę kwaśne wino z bananów, zdołały odzyskać wierną klientelę.

Drugi powód sukcesu sklepiku Marie-Louise'y wiąże się oczywiście z taktownym podejściem szefowej do ludzi: jest zawsze uśmiechnięta, życzliwa dla gości, dyskretna, gdy anuluje długi najbardziej spłukanym, gdy odsyła do domu drzemiącego klienta czy żartem rozładowuje zaciętą dysputę. Jak zgrabnie określa to Innocent: po ludobójstwie nie zostało dość wyrazów uznania, żeby jakoś opisać postać Marie-Louise, której nikt nie zdradzi na rzecz innego kabaretu.

Marie-Louise Kagoyire, 45 lat, sklepikarka Główna ulica Nyamaty

Moi rodzice byli skromnymi rolnikami i hodowcami. Zgodzili się, bym ukończyła pierwszą klasę liceum, nim zacznę szukać męża. U nas dziewczęta wcześnie wychodziły za mąż, kiedy ich rodzice nie byli bogaci.

Któregoś dnia odwiedziłam ciocię ze strony mamy w Nyamacie. Na głównym placu dostrzegł mnie jakiś pan i spodobałam mu się. Nazywał się Léonard Rwerekana, był już znanym handlarzem. Gdy nadarzyła się okazja, puszczaliśmy do siebie oczko. Jednak w tamtych czasach młoda dziewczyna nie mogła godzić się wprost na cokolwiek. Poprosił więc moją ciocię, by pośredniczyła. Ciocia zwróciła się z tym do moich rodziców; ten pan szedł przez cały dzień w słońcu, by odwiedzić rodziców; powiedzieli, że nie należy dłużej męczyć człowieka, który przyszedł pieszo. Wyszłam za mąż w wieku dziewiętnastu lat.

W tym czasie Nyamata była wioską z domami z gliny i blachy. Dopiero w 1974 roku zaczęto budować z cegły. Léonard postawił swój pierwszy dom na naszej parceli, potem skład przy głównej ulicy, później kolejne sklepy. W 1976 roku kupił ciężarówkę; była sfatygowana, ale tutaj był to pierwszy prywatny samochód. Potem otworzył kabaret La Fraternité, kilka restauracji, handlował fasolą i napojami, kupił ziemię i krowy. W 1980 roku miał dwie nowe ciężarówki, był największym przewoźnikiem w regionie. Już wtedy rosła zazdrość między kupcami Tutsi i Hutu, ponieważ Tutsi bogacili się szybciej od Hutu. Jednym z powodów było to, że ci ostatni przybyli z Gitaramy i nie znali klientów w Nyamacie. Drugi powód był taki, że Tutsi zatrudniali pracowników przez pięć czy sześć lat, do czasu, gdy ci mogli otworzyć coś na własne konto, inaczej niż Hutu, którzy stale ich wymieniali. Ale najważniejsze było to, że Tutsi pracowali dzięki własnym zasobom i nigdy od nikogo nie pożyczali pieniędzy.

W dniu upadku samolotu Tutsi, którzy mieszkali w centrum, woleli nie wychodzić. Wielu ludzi przyszło się schronić za murem otaczającym nasz dom. Léonard w młodości widział wiele masakr, rozumiał, że tym razem sytuacja całkiem się zmieniła, i radził młodym ludziom uciec na Kayumbę. Ale sam nie chciał uciekać, mówił, że jego nogi dość już się nabiegały.

Rano 11 kwietnia, w pierwszy dzień masakry, *interahamwe*, głośno krzycząc, stanęli przed naszą bramą. Léonard wziął klucze, żeby im otworzyć i nie kazać czekać, bo myślał, że będzie mógł ocalić dzieci i kobiety. Jakiś żołnierz zabił go strzałem z karabinu, nim zdążył powiedzieć słowo. Tłum *interahamwe* wszedł na podwórze, złapali wszystkie dzieci, jakie tylko mogli, ustawili rzędami, położyli na ziemi, zaczęli je ścinać. Zabili nawet jednego chłopca Hutu, syna pułkownika, który zaplątał się tu z kolegami. Mnie i teściowej udało się obejść dom i położyłyśmy się za stosami opon. Zabójcy nie dokończyli dzieła, bo zbyt pilno im było rabować. Słyszałyśmy ich. Wsiadali do samochodów, ciężarówek, ładowali skrzynki primusa, spierali się o meble i o całą resztę; szperali pod łóżkami, szukając pieniędzy.

Wieczorem teściowa wyszła z kryjówki i siadła przed stosem opon. Jacyś młodzi ludzie ją zauważyli i spytali: „Co tu robisz, mamo?”. Odparła: „Już nic, bo teraz zostałam sama”. Ścięli ją, zabrali wszystko, co zostało w pokojach i salonie. Podłożyli ogień i tak o mnie zapomnieli.

Na podwórzu zobaczyłam dziecko, którego nie zabito, więc oparłam drabinę o graniczny mur, wdrapałam się z dzieciakiem, żeby przeskoczyć na podwórze sąsiada Florienta. Nie było tam nikogo. Ukryłam dziecko w składziku na drewno, a sama skuliłam się w psiej budzie. Trzeciego ranka usłyszałam jakieś głosy i kroki i ujrzałam sąsiada, wyszłam. Sąsiad zawołał: „Marie-Louise, w mieście zabijają wszystkich, twój dom spłonął, a ty siedzisz tutaj?” Powiedziałam mu: „Florient, zrób to dla mnie, zabij mnie. Ale nie wydawaj mnie *interahamwe*, którzy rozbiorą mnie i zetną”.

Pan Florient był Hutu. Był szefem wywiadu wojskowego w Bugeserze, ale zbudował dom na naszej parceli i przed wojną rozmawialiśmy ze sobą życzliwie, dzieliliśmy miłe chwile, nasze dzieci bawiły się na jednym czy drugim podwórzu bez najmniejszych przeszkód. Więc zamknął nas w swoim domu, dziecko i mnie, dał nam jeść i wyszedł. Nazajutrz uprzedził mnie: „Marie-Louise, szukają cię, przyglądają się twarzom wszystkich trupów w mieście. Musisz stąd odejść, bo jeśli cię u mnie złapią, ja też zapłacę życiem”.

Nocą zaprowadził nas do pewnej znajomej Hutu, która ukrywała u siebie grupkę Tutsi. Któregoś dnia *interahamwe* zapukali do jej drzwi, żeby przeszukać dom. Ta pani wyszła z nimi porozmawiać, wróciła i spytała: „Czy ktoś ma przy sobie pieniądze?” Dałam jej plik banknotów, które zawinęłam w *pagne*. Zachowała niewielką sumę dla siebie, wróciła do *interahamwe*, którzy potem odeszli. Codziennie trzeba było toczyć negocjacje i ta kobieta robiła się bardzo nerwowa. Któregoś dnia pan Florient mnie ostrzegł: „Marie-Louise, młodzi z miasta wszędzie cię szukają, musisz odejść”. Odpowiedziałam mu: „Florient, zabij mnie, masz czym, chcę umrzeć w tym domu. Nie zostawiaj mnie w rękach *interahamwe”*. Powiedział: „Nie mogę zabić przyjaciółki żony. Jeśli znajdę samochód, czy miałabyś czym zapłacić?”. Dałam mu kolejny plik banknotów, przeliczył i powiedział: „To już coś, powinni się zgodzić”. Wrócił i zaproponował: „Wsadzimy cię do worka i zawieziemy do lasu, potem musisz radzić sobie sama”. Zaraz potem zapytał: „*Interahamwe* splądrowali twój dom, żołnierze odejdą z pieniędzmi, a ja ratuję ci życie i zostanę z niczym, czy to w porządku?" Wtedy mu powiedziałam: „Florient, mam dwie wille w Kigali, weź je. Zostawiam ci sklep przy ulicy. Podpiszę ci na papierze pełnomocnictwo na wszystko. Ale chcę, żebyś zawiózł mnie do Burundi”.

Wyruszyliśmy. Leżałam na podłodze w wojskowej ciężarówce, między kierowcą i Florientem. Najpierw umieścili mnie w pawilonie garnizonu w Gako. Siedziałam zamknięta na klucz w pokoju. Gdy wszyscy spali, ktoś przynosił mi jedzenie. Miałam na sobie tylko *pagne*. To trwało tygodniami, już nie wiem jak długo.

Którejś nocy wszedł do mnie jakiś przyjaciel Florienta. Wyjaśnił: „Zbliżają się tu *inkotanyi*, musimy ewakuować garnizon. To zbyt ryzykowne, żeby cię tutaj trzymać, muszę cię stąd zabrać". Wsadził mnie do ciężarówki, która dowoziła worki z żywnością na front. Jechaliśmy: przepuszczały nas wszystkie blokady; dotarliśmy do jakiegoś ciemnego lasu, kierowca zatrzymał się pod drzewami. Cała drżałam i powiedziałam mu: „Tak, nic już nie mam. Teraz przyjdzie mi umrzeć. Byle tylko nie trwało to długo". Odpowiedział: „Marie-Louise, ja cię tu nie zabiję, bo pracuję dla Florienta. Biegnij prosto przed siebie, tylko się nie zatrzymuj. Za lasem ujrzysz szlaban na granicy z Burundi i swoje wyzwolenie". Szłam, upadłam, czołgałam się. Kiedy dotarłam do szlabanu, usłyszałam jakieś głosy wołające w ciemnościach, zasnęłam. Później pewien wspólnik mojego męża z Burundi przyjechał po mnie ciężarówką do obozu uchodźców. Gdy na mnie spojrzał, wcale mnie nie rozpoznał. Nie chciał nawet wierzyć, że jestem żoną Léonarda. Straciłam dwadzieścia kilo, miałam na sobie *pagne* z worka, spuchnięte stopy, pełno wszy na głowie.

Teraz pan Florient czeka na proces w więzieniu w Rilimie. Był oficerem. Wychodził rano i wracał wieczorem, opowiadając historie o masakrze w mieście. Widziałam na korytarzu stosy nowych siekier i maczet. Wydał moje pieniądze, ogołocił składy. Mimo to nigdy nie oskarżę go o nic przed sądem, bo kiedy wszyscy myśleli tylko o tym, żeby zabijać, on ocalił życie.

Po ludobójstwie, w lipcu, wróciłam do Nyamaty. Nikt nie został przy życiu z rodziny w Mugeserze, nikt z rodziny w Nyamacie, sąsiedzi zginęli, magazyn był spustoszony, ciężarówki skradzione. Straciłam wszystko, życie było mi obojętne. Nyamata robiła bardzo przykre wrażenie, gdyż wszystkie dachy zniknęły, wszystkie drzwi i okna wyjęto. Przede wszystkim jednak wydawało się, że w mieście czas się załamał. Jakby zatrzymał się tu na zawsze lub, przeciwnie, jakby podczas naszej nieobecności biegł tutaj zbyt szybko. Chcę przez to powiedzieć, że już nie wiedzieliśmy, kiedy się to zaczęło, jak wiele nocy i dni trwało, jaka jest pora roku i koniec końców mieliśmy to naprawdę gdzieś. Dzieci próbowały łapać kury w

zaroślach; znowu jedliśmy mięso, naprawiali domy, próbowaliśmy odnaleźć przynajmniej kilka nawyków. Teraz zajmował nas tylko dzień dzisiejszy, spędzaliśmy go, szukając towarzystwa przyjaciół, by zostać z nimi przez noc i nie narażać się na samotną śmierć w jakimś koszmarze.

Pewnego ranka przyszli do mnie moi przyjaciele, przynosząc pieniądze i mówiąc: „Marie-Louise, weź to. Ty miałaś do czynienia z handlem, my nie; powinnaś znowu otworzyć sklep”. Założyłam drzwi do sklepiku; praca powróciła, ale nadzieja odeszła. Kiedyś szczęście uśmiechało się do mnie. Z Léonardem mieliśmy tyle planów, było nam dobrze, ludzie lubili nas i poważali. Teraz całe życie wydaje mi się ponure, wszędzie widzę mniejsze czy większe zagrożenia. Nie mam już tego, który mnie kochał, nie mam już nikogo, kto mógłby mnie wesprzeć.

*

W sklepiku klienci opowiadają mi, w jaki sposób przeżyli. Wieczorami słyszę, jak znajomi dyskutują o rzeziach. I nadal nic z tego nie rozumiem. Dzieliliśmy się z Hutu, podawaliśmy nawzajem nasze dzieci do chrztu, pobieraliśmy się między sobą i oto nagle zaczęli na nas polować jak dzikie zwierzęta. Nie wierzę, gdy mówią, że to zazdrość, bo nikt nigdy nie zabijał dzieci pałką, kładąc je rzędem na podwórzu, z zazdrości. Nie wierzę w te historie o naszej urodzie i ich poczuciu niższości. Na wzgórzach kobiety Tutsi i Hutu były tak samo umorusane i zmordowane ciężką pracą w polu; w mieście dzieci Hutu i Tutsi były tak samo ładne i uśmiechnięte.

Hutu mieli monopol na wszystkie dobre stanowiska w państwie, mieli dobre zbiory, gdyż bardzo dobrze uprawiali ziemię, otwierali przynoszące zyski interesy, przynajmniej w detalu. W dobrej atmosferze dobijaliśmy targu, pożyczaliśmy im pieniądze; i postanowili ścinać nas maczetą.

Tak bardzo chcieli nas wyeliminować, że podczas grabieży mieli obsesję na punkcie palenia albumów ze zdjęciami, tak by zmarli nie mieli już nawet prawa do wcześniejszego istnienia. Dla swego bezpieczeństwa chcieli zabić ludzi i ich pamięć, a w każdym razie zabić wspomnienia, kiedy nie udawało im się złapać

ludzi. Trudzili się, by nas zgładzić i zniszczyć ślady tej pracy, można by powiedzieć. Dziś wielu ocalałych nie ma już nawet jednej fotografii. Mamy, dzieci, zdjęcia z chrztu czy ślubu, by móc dzięki obrazowi złagodzić nieco tęsknotę.

Uważam, że nienawiść ludobójstwa wiąże się wyłącznie z przynależnością etniczną. Z niczym innym, z żadnym uczuciem strachu, frustracji i tak dalej. Lecz źródło tej nienawiści wciąż jest mi nieznane. Nie należy pytać ocalałych o powody nienawiści i przyczyny ludobójstwa, to pytanie jest dla nich za trudne. A nawet zbyt delikatne. Trzeba im pozwolić mówić o tym ze sobą. Należy pytać Hutu.

Czasami kobiety Hutu wracają do mnie, szukając pracy w polu. Rozmawiam z nimi, próbuję je pytać, czemu chcieli nas zabić, choć wcześniej nigdy na nic się nie skarżyli. Ale nie chcą o tym słyszeć. Powtarzają, że nic nie zrobiły, niczego nie widziały, że ich mężowie nie byli *interahamwe*, że to władze są winne wszystkiemu, co się stało. Mówią, że *interahamwe* zmuszali sąsiadów do zabijania, inaczej zginęliby sami; i to im wystarcza. Mówię sobie: „Ci Hutu zabijali bez zmrużenia oka, a teraz unikają prawdziwej dyskusji, to nie jest w porządku". Dlatego nie jestem pewna, czy kiedyś się to nie powtórzy.

Wszyscy bardzo stracili na ludobójstwie: Tutsi, Hutu, ocalali, *interahamwe*, handlarze, rolnicy, rodziny, dzieci, wszyscy Rwandyjczycy. Być może także cudzoziemcy i biali, którzy nie chcieli nic wiedzieć o tym, co się działo, by potem, po czasie, okazywać litość.

Myślę też, że cudzoziemcy okazują zwykle bardzo podobną litość ludziom, których dotknęło nieszczęście nieporównywalne z naszym, jak gdyby litość była ważniejsza od nieszczęścia. Sądzę też, że cudzoziemcy nie mogliby zasłaniać się litością, gdyby przyjrzeli się z bliska temu, co wycierpieliśmy podczas ludobójstwa. Może właśnie dlatego patrzą na to z daleka. Ale zdaje się, że to wszystko przeszłość.

Ważniejsze jest to, że tu życie się zapadło, że zmarnowano zasoby, że już nikt nie zwraca uwagi na sąsiada, że ludzi bez powodu ogarnia smutek lub złość, że nie starają się już być tak uprzejmi jak kiedyś, że mężczyźni są przygaszeni, kobiety

zniechęcone. I to budzi mój wielki niepokój.

W rozmowach między sobą stale wracamy do sytuacji po ludobójstwie. Opowiadamy historie, dzielimy się opiniami, przekomarzamy się ze sobą, a gdy ktoś się pogniewa, śmiejemy się z niego życzliwie, by się nie obraził. Ale otwierać nasze serce przed obcym, mówić, co czujemy, obnażać uczucia ludzi ocalałych, to dla nas zbyt wielki szok. Kiedy wymiana zdań staje się zbyt wysilona, jak teraz w rozmowie z panem, trzeba postawić kropkę.

Więzienie w Rilimie

Sznurek przeciągnięty między dwiema akacjami, którego pilnuje strażnik siedzący okrakiem na krześle, to znak, że wchodzimy na teren więzienia w Rilimie. Ta nonszalancja nie powinna mylić, żaden kandydat do ucieczki nigdy nie zdołał przedrzeć się przez las ani nie pokonał pobliskiego jeziora Kidogo.

Niegdyś centralny zakład karny, dziś miejsce pobytu ponad ośmiu tysięcy więźniów podejrzanych czy skazanych za udział w ludobójstwie w prowincji Bugesery, a zwłaszcza w gminie Nyamata. Baraki strażników i administracji stoją w cieniu drzew. Po schodzącej do jeziora ścieżce bez przerwy krążą szeregi więźniów w różowych uniformach, którzy noszą wodę w kanistrach. Na brzegu jeziora grupa uprzywilejowanych myje się lub pierze bieliznę.

Mury więzienia, bez budki strażniczej i zwojów drutu kolczastego, stoją na wzniesieniu. Pomalowana na pomarańczowo żelazna brama jest uchylona i upoważnieni więźniowie mogą przez nią przechodzić. Pięćdziesiąt metrów za bramą słyszymy ogłuszający zgiełk orkiestr, które rywalizują ze sobą, grając różne rytmy i różne melodie, i czujemy duszny odór potu, pewnie także garkuchni oraz nieczystości. Jedno spojrzenie za drzwi pozwala się domyślić, jak nieopisany ścisk panuje wewnątrz tych murów.

Trzy budynki zajmują więźniowie, czwarty więźniarki. Ponieważ jednak liczba osadzonych zwiększyła się wielokrotnie od czasu, gdy więzienie pełni nową funkcję, więźniów umieszcza się, gdzie tylko się da. Niektórzy tłoczą się w barakach i izolatkach. Większość siedzi na podwórzu, gęsto, ramię przy ramieniu, jedni w pełnym słońcu, inni osłaniają się kawałkiem blachy czy plastikowej folii. W całym tym rozgardiaszu więźniowie, wszyscy w różowych uniformach, gotują strawę w wielkich kotłach, rozwieszają pranie, walą w bębny, organizują polityczne i religijne wiece z udziałem byłych dowódców, a także polityków i księży. W

zamieszaniu dochodzi do zażartych sporów o przestrzeń, by móc knuć, kombinować, grać w karty czy warcaby, zakładać się i czasem bić albo zapaść w letarg. Widać twarze poważne, smutne, zrozpaczone, pełne nienawiści, zrezygnowane, ale też jowialne i serdeczne.

Choć wszyscy cierpią z powodu zagęszczenia - a sytuację pogarsza jeszcze żar słońca czy ulewy - wobec więźniów stosuje się różne środki dyscyplinarne. Ci, którzy zdecydowali się przyznać do winy - ponad dwa tysiące - i ci podejrzewani o mniejsze wykroczenia, trzymani są w osobnym budynku i mogą swobodniej się poruszać. Pielęgnują ogródki przy pawilonach administracji, naprawiają samochody, grają w piłkę na placu za murami więzienia, dyskutują w cieniu drzew. Większość tych, którzy czekają na proces, snuje się w tłumie na dziedzińcu. Niektórzy wyjeżdżają o świcie ciężarówką, by uprawiać siedemdziesiąt dwa hektary pól należących do zakładu karnego. Skazani na śmierć lub na długoletnie więzienie czekają za kratami. Ci opisują zakład jako „piekło na ziemi”, by przytoczyć określenie jednego z nich.

Podobnie jak wszystkie więzienia zabójców z czasów masakry, zakład w Rilimie podlega dwóm ośrodkom władzy. Władzy strażników, nieobecnych na więziennym podwórzu, którzy krążą na zewnątrz. Oraz władzy miejscowej mafii, będącej w rękach byłych szefów *interahamwe* czy ideologów, którzy nie odcięli się od ludobójstwa, którzy odtworzyli wewnątrz hierarchię panującą w bojówkach oraz partiach ekstremistów i rządzą w budynkach, organizują treningi i uroczystości, nadzorują rozdział darów, rozstrzygają spory, doradzają linię obrony przed procesem.

Krewni więźniów mają prawo do dwu-, trzyminutowej wizyty bez uprzedniej zgody sądu czy więziennej administracji. Wchodzą wielkimi grupami, po dwieście czy trzysta osób, zostawiają jedzenie lub ubrania, wymieniają parę słów i wychodzą. Międzynarodowy Czerwony Krzyż nadzoruje całe terytorium zakładu. W zamian za to na czas określony zapewnia większość dostaw (kanistry, miednice, materace),

dostarcza lekarstwa i żywność, bez czego to więzienie stałoby się „piekłem na ziemi" dla wszystkich osadzonych. To dziwne, ale Hutu, ze wsi czy z miasta, bez względu na to, czy przyznają się do winy, czy wypierają zbrodni, są ponoć bardziej skłonni do mówienia o rzeziach w więzieniu niż u siebie w domach. Pewnie dlatego, że nie czują się już bezpiecznie na wzgórzach, gdzie grozi im denuncjacja, a czasem aresztowanie. Na terenie gminy Nyamata dwóch na trzech mieszkańców Hutu wróciło na parcele. Ci, których brakuje, głównie mężczyźni, zginęli podczas wojny lub nie wrócili z Konga, bądź też woleli przenieść się w swoje rodzime strony, z dala od spojrzeń ocalałych sąsiadów, jeśli nie siedzą akurat w więzieniu w Rilimie.

Pomijając szkoły, gdzie dzieci dzielą ze sobą ławki, pomijając targ, bo przecież trzeba tam chodzić, kościół w niedzielę czy podczas czyjegoś pogrzebu, Hutu i Tutsi starają się teraz siebie unikać. Na wzgórzach rodziny Hutu przyjmują cudzoziemca z życzliwą gościnnością, ale nieśmiało i z pewnym niepokojem. A gdy tylko w trakcie rozmowy zagadniemy o czas ludobójstwa, nad ich wspomnieniami zapada kurtyna milczenia, nawet w przypadku tych, którzy zostali oczyszczeni z winy dzięki zeznaniom ich sąsiadów Tutsi.

Któregoś dnia na wzgórzu Maranyundo, na zboczu zasiedlonym przez rodziny Hutu, pewna spotkana przypadkiem młoda kobieta decyduje się przełamać tę zasadę ciszy. Już za pierwszym razem okazuje się ufna i bardzo rozmowna. Godzi się mówić o swojej rodzinie, o swojej wiosce zamieszkałej przez Hutu, o młodości, o swoim życiu chłopki. Co ciekawe, potem na wspomnienie ludobójstwa, wcale nie zamyka się w sobie i nie próbuje zmienić tematu rozmowy. Przeciwnie, bez wahania opisuje zdarzenia z perspektywy widza, którego wciąż szokuje to, co wtedy zobaczył, opisuje reakcje sąsiadów, opowiada o swoim strachu przed *interahamwe*, później o instynktownej ucieczce, o wielkim exodusie Hutu, o długiej drodze przez kraj pogrążony w wojnie, o obozach w Kongu, o powrocie, o swojej przyszłości.

Nazywa się Christine Nyiransabimana. Wraz z matką i dwoma braćmi uprawia

rodzinną parcelę. Samotnie wychowuje syna, którego nie pragnęła, lecz, jak sama powiada, bardzo się o niego troszczy, oraz córki bliźniaczki, których bardzo chciała. Na jej twarzy stale gości szczery i bardzo sympatyczny uśmiech. Bez złudzeń patrzy na swoich współbraci. Podczas pierwszej wizyty tylko przelotnie wspomniała o zabójcy ojca, niczego nie dodając. Dopiero przy drugim spotkaniu wyjawiła z tajemniczą rezerwą, dlaczego jej ojciec został zamordowany.

Christine Nyiransabimana, 22 lata, chłopka Wzgórze Maranyundo

Przybyłam do tego regionu w 1980 roku wraz z wieloma Hutu, gdyż moi rodzice cierpieli niedostatek na zbyt wyschniętej ziemi w Kibuye. Wielu Tutsi zajmowało już parcele w Bugeserze, ale wciąż rozdawano parcele nowo przybyłym Hutu.

W chwili wybuchu wojny byłam w piątej klasie. W tym czasie na wzgórzu widywało się coraz więcej młodych ludzi o nieprzyjaznych twarzach i nie wszyscy z nich byli z tego regionu. Nie przedstawiając się, wchodzili do domów Hutu, żeby pożywić się z naszych garnków. Kiedy ci *interahamwe* zaatakowali kościół w Nyamacie, wokół zgromadził się niewielki tłum ludzi, którzy patrzyli na rzeź. Słyszeliśmy odgłosy uderzeń, słowa zachęty, słyszeliśmy strach tych, których mieli ściąć; widzieliśmy młodych ludzi, którzy przepychali się, żeby zabrać zabitym dobytek czy splądrować pokoje księży.

Patrzyliśmy, jak spychaczami zrzucali nieszczęśników do wielkiego rowu, jak śmieci. Stojąc tam, mówiliśmy sobie, że niektórzy zabici nie wydali jeszcze ostatniego tchnienia; ale wydawało się, że zbrodniarze chcą zakopać ich jeszcze tego popołudnia. Wieczorem poszli jeść, ale kościół otaczały nadal czujne straże. W środku ludzie czekali przez całą noc; ci, którzy mieli umrzeć z powodu ran, czekali na śmierć.

Interahamwe wrócili około dziewiątej rano i znów zaczęli ścinać i przebijać ludzi, którzy jeszcze żyli. Ten spektakl trwał dwa dni. Wielu widzów cieszyło się, że widzą śmierć Tutsi, krzyczeli: „Koniec z wami, Tutsi! Pozbądźmy się karaluchów!”. Mogę też powiedzieć, że wielu było bardzo wzburzonych, że morduje się ich i pali w tak okrutny sposób. Ale lepiej było protestować szeptem, bo *interahamwe* bezwzględnie zabijali Hutu, którzy mieli dobre stosunki z sąsiadami Tutsi. To także jest prawda: w tłumie wokół kościoła jedni byli podekscytowani, inni wystraszeni.

Drugiego wieczora *interahamwe*, wracając z kościoła, przyszli do naszego domu, ścięli tatę maczetą na oczach mamy i sąsiadów. Tata nazywał się François Sayinzoga, był Tutsi.

W mojej okolicy i w centrum Nyamaty widziałam wielu Hutu, znajomych i sąsiadów, którzy zabijali Tutsi w każdym dniu ludobójstwa, idąc za *interahamwe* albo żołnierzami. Wieczorem, wracając do domów, ci rolnicy przechwalali się, mówiąc o swojej pracy na bagnach czy w lesie. Siadali na krzesłach przed swoimi domami; kobiety smażyły mięso, bo zabijali równocześnie Tutsi i ich krowy. Kupowali trunki, gdyż ograbiali zmarłych. A kiedy już napełnili brzuchy, opowiadali sobie, jak minął dzień, to znaczy ilu ludzi zabili. Urządzali konkursy. Jedni mówili, że zabili dwóch, inni, że dziesięciu. Ci, którzy nie zabijali, udawali, że zabijali, by im też nie zaczęto grozić. Mogę powiedzieć, że wszyscy mieli obowiązek zabijać. To była bardzo dobrze zorganizowana polityczna akcja.

Co rano ludzie musieli stawiać się u dowódcy grupy. W Maranyundo szef o imieniu Vincent kazał mówić na siebie Goliat. To on wydawał ludziom rozkazy, wskazywał trasę, dawał wskazówki na każdy dzień. Musieli iść albo ich zabijano. Mogli udawać, ociągać się i wrócić wieczorem, nie plamiąc maczety, ale musieli pokazać, że idą za grupą. Gdy ktoś szedł i nic nie robił w ciągu całego dnia, nie mógł niczego ukraść. Gdy ktoś twierdził, że ma za dużo ziemi do obsiania i szukał usprawiedliwień, mógł zostać w każdej chwili rozstrzelany.

Także z tego powodu rolnicy nie zakopywali swych ofiar. Kiedy mówili o Tutsi, których w danym dniu zabili, i podejrzewano ich o oszustwo, musieli zaprowadzić *interahamwe* i pokazać im trupy. Myślę, że ten, kogo zmuszono do zabijania, chciał, żeby nazajutrz zmuszono też jego sąsiada, tak by patrzono na nich w ten sam sposób.

My czuliśmy się winni, że żyjemy wśród ludzi tak bardzo żądnych krwi; i naprawdę przeraziła nas śmierć taty. Więc w milczeniu nadal uprawialiśmy pole.

Mężczyźni zaczęli dyskutować o rzeziach w kabaretach w 1992 roku. Po

pierwszych wiecach partii pojawiły się w gminach komitety *interahamwe* i nie było już porozumienia między nami. Przewodniczący gminy w Nyamacie nazywał się Joseph-Désire. Odwiedzał domostwa Hutu, mówił im o groźbach *inkotanyich* z Ugandy, sprawdzał, czy narzędzia ukryte za workami z fasolą są dobrze naostrzone. Kiedy po politycznych dyskusjach Hutu popijali razem, nazywali Tutsi „robakami" albo „karaluchami". Przez radio padały bardzo groźne słowa. Tata i moi bracia nie mieszali się do rozmów, które podsycały wzajemną niechęć, bo obawiali się jadowitych spojrzeń. Unikaliśmy *interahamwe*, zadawaliśmy się tylko z bliskimi sąsiadami, znanymi nam od zawsze. Razem czerpaliśmy wodę, podawali sobie nawzajem ogień, czasem piliśmy razem piwo, nigdy nie mówiliśmy o polityce.

Do naszego regionu ludzie zjeżdżali grupami i tak się osiedlali. Ci, którzy przybyli w danym roku, brali sobie wzgórze; ci, którzy zjawili się po nich, szli na następne. Nie sprzyjało to mieszaniu się grup etnicznych. Gdy ludzie się nie widują, nie szukają u siebie nawzajem kandydatów do małżeństwa. Dlatego nie chodziliśmy do nich w tym celu. Tata i mama poznali się w Kibuye, zanim tu przybyli.

To inna ważna prawda: *interahamwe* chcieli zabić wszystkich Tutsi ożenionych z Hutu, a nawet Hutu, którzy po prostu związali się z Tutsi. Po śmierci taty sąsiedzi grozili mi, bo mam w sobie krew Tutsi. Ja podawałam się za Hutu, żeby mnie nie zabili, ale się bałam. Toteż uciekłam z pewnym Hutu do Kigali, zostawiając w domu moją mamę i braci.

Kiedy pod koniec pory deszczowej na przedmieściach Kigali rozległy się karabiny FPR, poczuliśmy, że zagraża nam wojna. Zabójcy *interahamwe*, którzy uciekali w popłochu, przyszli splądrować nasz dom, zabrali wszystkie sprzęty i meble. Jacyś pijani złoczyńcy zgwałcili mnie na łóżku i zostawili z dzieckiem w brzuchu. To było w maju, tak mi się wydaje. Wszędzie panował zamęt. Wszędzie widać było uciekających ludzi, krzyczeli, że ich zabiją i siali panikę. Przez całe to zamieszanie byłam otumaniona. Zawinęłam na biodrach dwa *pagne,* włożyłam sweter i bez zastanowienia dołączyłam do grupy uciekinierów. Szliśmy przez co

najmniej półtora miesiąca, bez postojów z powodu alarmujących wieści.

Przez całą drogę ludzie mówili, że grozi nam śmiertelne niebezpieczeństwo, że jest tuż-tuż i nie powinniśmy dać się złapać. Ci, którzy ukryli pieniądze, wsiadali na samochody, inni uciekali pieszo. Byliśmy wyczerpani, puchły nam nogi i stopy, najsłabsi padali na poboczu drogi i konali, inni szli dalej, bojąc się groźnie brzmiących pogłosek. Wiele słyszało się o tym, że żołnierze z Ugandy zamierzają pomścić swych rwandyjskich braci i że los przestał nam sprzyjać. Jedliśmy kradzione z pól banany i maniok, próbowaliśmy gotować zupę z liści. Spaliśmy na ziemi. Ogarniał nas strach i było nam po prostu wstyd.

Wszędzie panował taki sam chaos. W czerwcu zatrzymaliśmy się na dłużej w Gisenyi, potem uciekaliśmy dalej do Konga. Na drogach było wielu białych, ale tylko na nas patrzyli. Byliśmy uciekinierami, byliśmy sponiewierani i to im wystarczało. Skierowano mnie do obozu w Mugundze, o jakieś dziesięć kilometrów od Gomy, spędziłam tam dwa lata.

W obozie jedni chodzili zbierać drewno, inni gotowali strawę; kto uratował oszczędności, zajmował się handlem. Ja chodziłam pieszo do Gomy, żeby prać w domach Kongijczyków lub kopać ziemię w ogródkach i w zamian dostawałam banany i maniok. Na początku Kongijczycy patrzyli na nas życzliwie, ale z wolna zaczęli robić się nieprzyjemni. Życie stało się bardzo przykre.

Urodziłam sama, w cudzym namiocie, żadna starsza kobieta nie trzymała mnie za rękę, nie miałam nikogo, kto mógłby przyrządzić mi coś do zjedzenia. Po urodzeniu dziecka jakoś doszłam do siebie, ale nie mogłam jeść. Bardzo mnie przygnębiało to, co mi się zdarzyło. Wieczorem przy ognisku bardzo tęskniłam za rodzinną parcelą w Maranyundo. Marzyłam o powrocie, ale *interahamwe* rozpuszczali w obozie niepokojące plotki. Ciągle zdawało nam się, że w każdej chwili ktoś może nas zaatakować z powodu zła, jakie wyrządzili *interahamwe* i wojsko.

W listopadzie 1997 roku karabiny *banyamulinge* przepędziły nas z obozu.

Nazywamy tak Tutsi z Konga. Był wczesny ranek i mgła; zaczęła się paniczna ucieczka. Szłam przez dwa dni w kolumnie ludzi przez góry Masisi. Uciekaliśmy coraz bardziej przerażeni, nie znając się nawzajem i nie wiedząc, dokąd zmierzamy. Potem otoczyli nas uzbrojeni *banyamulinge*. Jakiś żołnierz przekonał mnie, że w Rwandzie odnajdę spokój, gdyż nie zabijałam, i spotkam życzliwych ludzi jak kiedyś, jeśli wrócę do domu, na moje pole.

Zaczęłam więc iść z powrotem z jakimś napotkanym po drodze mężczyzną. Nie rozmawialiśmy ze sobą, bez słowa szłam przez nasz kraj. Przesłuchano mnie w gminie. Gdy zobaczyłam żyjącą mamę i braci, ujrzałam wreszcie iskierkę nadziei. Wrócili tu dużo wcześniej, bo nawet nie dotarli do Konga. Z wielką radością zaprowadzili mnie do domu.

Nikt nie zastąpił jeszcze zmarłych na opuszczonych parcelach. Było mi bardzo wstyd, że patrzą na mnie jak na Hutu, jakbym była podobna do tych, którzy masakrowali ludzi. Jeszcze dziś prześladuje mnie ten sam sen. Uciekamy do Konga, idziemy przez pole pełne trupów na północ od Kigali, przechodzę przez trupy, ale ciągle mam przed sobą następne, dalej przestępuję przez trupy i nie ma temu końca, ciągle idę przez trupy i nie mogę wydostać się z tego pola. Wtedy się budzę i rozmawiam z mamą, mówi do mnie, nie budząc dzieci. Wspominamy nasze losy, gdy byliśmy rozdzieleni, potem ogarnia nas zbawienny sen.

Na początku kiedy chodziłam na targ, widziałam nieprzyjazne spojrzenia i słyszałam przygany. Kobiety Tutsi opłakiwały swoje rodziny, a kobiety Hutu bały się, by ktoś nie wyjawił zbrodni ich mężów. To z czasem się uspokoiło, ale wciąż ciągnie się za nami zła sława i to mnie bardzo boli. A także niepokoi, bo wiele kobiet Hutu ma ręce splamione krwią ludobójstwa. Mężczyźni są bardziej niż kobiety skłonni zabijać, a potem się godzić. Szybciej zapominają, łatwiej dzielą zabójstwa i trunki. A kobieta tak łatwo nie ustępuje, bardziej trzyma się wspomnień.

Ale znam też dobre kobiety Hutu, które nie ośmielają się okazywać współczucia ofiarom swych sąsiadów z obawy, by ich też nie oskarżono. Wiem, że życie nie

będzie już tak spokojne jak kiedyś; jednak gdy jest co jeść, gdy dzieci śpią spokojnie, przychodzi wytchnienie, zapominamy na chwilę o melancholii.

Gdy jedne władze chcą obalić inne, żeby zająć ich miejsce, jest wojna, w czasie ludobójstwa jedna grupa etniczna chce pogrzebać drugą. Ludobójstwo to coś więcej niż wojna, ponieważ zamiar zawsze pozostanie, nawet jeśli tym razem to się nie powiodło. W Rwandzie były tylko dwie grupy. Hutu pomyśleli więc sobie, że lepiej będzie zostać tu samemu, samemu uprawiać pola i prowadzić handel. Przyszłość we własnym gronie zdawała im się lepsza. Sądzę, że niewiedza i chciwość są źródłem tej katastrofy. Nie tylko biali podsycali w Hutu zazdrość i strach przed ludem Tutsi, także prezydent Habyarimana i jego żona Agathe nigdy nie mieli dość bogactw.

W Rwandzie wszyscy mamy tak samo ciemną skórę, jemy czerwoną fasolę z tego samego ziarna i sorgo o tej samej porze roku, razem śpiewamy kantyczki w kościołach. Hutu i Tutsi nie są bardzo różni. Jednak Hutu z łatwością rozpoznaje Tutsi, jeśli chce ich znaleźć. Zaczynasz od wzrostu, ale możesz się mylić, bo Tutsi nie są już tak wysocy jak kiedyś. Patrzysz więc na twarz. Tutsi wydaje się jakby milszy, wypowiada się w uprzejmy sposób. Nawet jeśli haruje na nędznej parceli, ma pusty brzuch, chodzi w łachmanach, Tutsi czuje się zawsze bardziej uprzywilejowany, gdyż pochodzi z ludu hodowców.

Tutsi dość często trzymają się sztywno, że tak to określę, kiedy idą, a nawet kiedy się pozdrawiają. Lubią podpierać się kijem.

Hutu nie rozumie krów, nie lubi trudzić się przy krowach. Nie świętuje w taki sam sposób. Hutu lubi pracować, dobrze się najeść i bawić. Hutu nie myśli, by wyrządzać zło, jeżeli nie jest do tego zmuszony. Szybko się uspokaja. Jest bardziej otwarty czy w pewien sposób prosty, bardziej wesoły, radosny. Do wszystkiego podchodzi bardziej naturalnie i nie przejmuje się tak trudnościami. Nie jest z natury zły i nie jest pamiętliwy.

Prawda jest taka, że Hutu zbyt lubili swojego prezydenta. Kiedy zginął, powinni byli usiąść wokół stołu przy szklance; porozmawiać, zapłakać, odprawić razem

żałobę na nasz rwandyjski sposób. To był bardzo poważny błąd, wylec natychmiast na drogi, by wykrzykiwać pogróżki. Radio mąciło ludziom w głowach, jak panu mówiłam, zbyt wiele ważnych osób podjudzało tłumy zwykłych ludzi. To było od dawna przygotowywane. Toteż na znak rolnicy zaczęli zabijać i rabować i zasmakowali w tym nowym zajęciu.

Powtarzam jeszcze raz, że byli do tego zmuszeni. Jeśli szukali wymówek czy pretekstu, żeby pracować i w nic się nie mieszać, mogli zginąć z rąk sąsiadów na swoich parcelach. Znam wielu Hutu ze wzgórza, którzy nikogo nie ścięli; ale żadnego, który nie wziąłby udziału w pościgu; prócz tych, którzy uciekli tak samo jak Tutsi.

Znam Hutu, którzy poczuwają się do winy i godzą na karę. Hutu, którzy wszystkiemu zaprzeczają i myślą, że śladów ich zbrodni nie da się odnaleźć. Inni naprawdę wierzą, że nie zabijali, nawet jeśli ludzie widzieli ich z czerwoną maczetą w dłoni: zwariowali z powodu własnego szaleństwa. Jeszcze inni starają się wszystko lekceważyć, jakby w ukryciu zrobili jakieś głupstwo i tyle. Któregoś dnia mama poszła na proces jednego z zabójców taty, naszego sąsiada. Spotyka mamę na korytarzu sądu, mówi jej grzecznie „dzień dobry”, pyta o rodzinę, o deszcze, o parcelę, mówi „do widzenia” i wraca do więzienia jakby wracał do domu. Mama zaniemówiła, potem się rozpłakała.

Dziś nie da się już oddzielić wszystkiego linią i naprawdę stwierdzić, cośmy uczynili. Myślę, że Zło spadło na nas, a my wyciągnęliśmy do niego ręce. Teraz żyję, kopiąc motyką od poniedziałku do soboty, w niedzielę odpoczywam i tęsknię za przeszłością. Wiem, że z tego powodu nie mogłam wyjść za mąż. Bardzo tego żałuję. Przytrafiło mi się kilkoro dzieci, jak panu mówiłam. Nie mam już naprawdę żadnych problemów z sąsiadami. Sprzedajemy sobie żywność, mówimy „dzień dobry”, to wszystko.

Mam nadzieję, że czas pomoże nam zmyć wszystkie brudy. Jeśli Hutu spróbują mówić głośno prawdę, proponować pomoc, zbliżyć się do Tutsi i prosić o

przebaczenie, będziemy mogli liczyć na wspólne życie i to, co się wydarzyło, na zawsze nas nie rozdzieli.

Potajemna ucieczka

Nagła wrzawa chmary nektarników o jaskrawych barwach - zielone grzbiety i błękitne brzuszki - i krwistych grubodziobów - czarne płaszcze i szkarłatne gardła - które osiadły na bananowcach, zakończyła rozmowę. Ścieżka biegnąca przed domem Christine gubi się pośród drzew o czerwonych kwiatach, by dalej dotrzeć do błotnistej rzeczki, przez którą przechodzi się po dwóch pniach stoczonych przez robaki. Przez gęste listowie można tu i ówdzie dostrzec okrągłe chaty zamieszkane przez Pigmejów Twa, których w zasadzie nigdy się nie widuje. Niewielka odległość dzieli dom rodzinny Christine od dawnego domu rodziny Odette'y Mukamusoni.

Odette i Christine, prawie w tym samym wieku, urodzone na sąsiednich wzgórzach, pracują na roli, a ich dzieci są rówieśnikami. Od dzieciństwa spotykały się na ścieżkach wiodących do szkoły i studni, ale nigdy nie zamieniły słowa, choć dziś, bardziej niż kiedyś, mogłyby podzielić się wieloma wspomnieniami i refleksjami, choćby na temat epizodów związanych z ich szczególną sytuacją podczas masakry.

Odette niedawno porzuciła wzgórze, by zamieszkać w ruderze na przedmieściach Nyamaty. Jej rodzina zginęła podczas rzezi. Ojciec jej dziecka schronił się w Kongu. Ruiny domu zarosła bujna roślinność, busz pochłonął pola. Dość powodów, by wyjaśnić jej niechęć do rozpoczynania życia na nowo w rodzinnej wiosce. Innocent Rwililiza poznał ją przypadkiem przy kościele, w grupie wolontariuszy, którzy odkopywali kości ze zbiorowej mogiły, by składać je pod drzewami i chronić przed deszczem. Odette krzątała się nieco z boku, wydawała się zagubiona i zaszokowana tym, co przeżyła i co tego dnia mu opowiedziała. W owym czasie Innocenta nie zdziwiło jej osamotnienie, to że mieszka z dala od swojej wioski. Znalazł jej prowizoryczne schronienie w niewielkiej chatce o ścianach z gliny wymieszanej ze słomą.

Podczas pierwszego spotkania Odette opowiada o swojej ucieczce do kościoła na początku masakry, o cudownym ocaleniu, gdy udało jej się ukryć w pokoju brazylijskiej mniszki, o kryjówce pod materacem w domu przyjaciółki jej matki chrzestnej. Opowiada w szczegółach, jak przez miesiąc ukrywała się w ciągu dnia pod łóżkiem, o lęku, gdy słyszała zabójców rozmawiających w domu, o czekaniu, nudzie, samotności, narastającej depresji, ocaleniu. Wymienia szereg zdarzeń, niezwykłych, zapewne, lecz prawdopodobnych. Jednak jest coś, co budzi moje podejrzenia. Nie niezwykłość sytuacji, dzięki której przetrwała, nie jej obecna samotność - dotyka wielu ocalałych, którzy przeżyli traumę - ale nagromadzenie detali i ścisły chronologiczny porządek, słowem, doskonała i niezbyt wiarygodna zdolność zapamiętywania.

Już przy drugim spotkaniu Odette przestaje bronić pierwotnej wersji swojej opowieści. Przyznaje, że fantazjowała, i usprawiedliwia to obawą, że sąsiedzi mogliby jej nie zrozumieć. Spontanicznie i, jak się zdaje, z ulgą godzi się opowiedzieć prawdziwą, poniższą wersję historii, równie zadziwiającą, co pierwsza. Pewien szczegół z czasów jej ucieczki, trudny do ogłoszenia publicznie, gdyż stałby się w nieunikniony sposób źródłem plotek i podejrzeń, wyjaśnia wcześniejsze kłamstwo, jej niepokój i wyprowadzkę z rodzinnego wzgórza.

Odette Mukamusoni, 23 lata, pomocnica murarza Wzgórze Kanazi

Mój ojciec miał osiem krów, lecz zabrał mnie ze szkoły, gdyż byłam jego czwartą córką. Przed wojną zatrudniałam się więc do pracy to tu, to tam.

W naszym regionie zawsze były masakry i podpalanie domów, ale za każdym razem mówiliśmy sobie, że teraz nie skończy się to gorzej niż zwykle. Atmosfera zmieniła się w 1994 roku. W porze pierwszych deszczy zaczęliśmy bać się wojny, ponieważ sąsiedzi Hutu przestali pozdrawiać nas na drodze. Wykrzykiwali pogróżki, powtarzali: „Tutsi, którzy mają rozum, powinni odejść daleko, bo wkrótce wszyscy, którzy zostaną, zginą". Wieczorem w domu szeptaliśmy o tym. Ale mój ojciec nie chciał opuszczać wzgórza, gdyż nie wyobrażał sobie, jak mógłby dalej żyć, gdyby nie mógł zabrać krów ze sobą. Ja znalazłam spokojny kąt w naszej stolicy Kigali.

Kiedy spadł samolot, byłam *boyeste* w Nyakabandzie, w dobrej dzielnicy Kigali. Pani domu, imieniem Gloria, była Tutsi. Jej mąż, Joseph, był bardzo miłym kupcem Hutu. Pewnego dnia podczas ludobójstwa *interahamwe* otworzyli drzwi do salonu. Mąż pojechał w interesach do Kenii; jego brat nie zdołał wstawić się za panią. *Interahamwe* zabili rodzinę na miejscu. Ja schowałam się w pokoiku i położyłam na brzuchu. Nie przeszukali domu, bo chcieli tylko pozbyć się pani i dzieci pod nieobecność męża i byli zadowoleni.

W godzinę później weszli rabusie i zaskoczyli mnie. Już mieli ściąć mnie na miejscu, ale jeden z nich, który miał na imię Callixte, obronił mnie przed kolegami. Miał karabin, był ich dowódcą. Wziął mnie do siebie, bo nie miał już kobiety.

W jego domu słyszałam przez drzwi, jak mówiono, że planowana rzeź dokonuje się we wszystkich prowincjach i że w porze suchej nie będzie już ani jednego żywego dziecka Tutsi. Wtedy mówiłam sobie, że jeśli Bóg pozwolił mi aż dotąd

zachować życie w kryjówce, nie powinnam go zmarnować. Z tego powodu nigdy nie próbowałam uciec i narażać się na śmierć pośród innych Tutsi.

Mieszkałam u Callixte'a do czasu przybycia *inkotanyich,* w lipcu. Potem zabrał mnie ze sobą, uciekając w popłochu do Konga, o czym dużo już panu mówiono. Najpierw przebywaliśmy w Gisenyi, pod ochroną francuskich żołnierzy, u rodziny Callixte'a, potem ruszyliśmy do Konga. Spędziliśmy półtora roku w obozie w Mugundze. Miałam zamęt w głowie, słysząc tyle makabrycznych pogłosek, i myślałam, że po moim życiu niczego nie mogę się już spodziewać. Mieszkaliśmy w namiocie. Byłam dla Callixte'a jak żona, nigdy nie był dla mnie niedobry. Inni mieszkańcy obozu wiedzieli, że jestem Tutsi. Nie ośmielali się nic przy nim powiedzieć, bo był bardzo ważnym *interahamwe,* ale kiedy oddalał się na spotkania, słyszałam wokół złorzeczenie ludzi. Pewnego dnia w listopadzie 1996 roku zbliżyłam się do tłumu przy białych ciężarówkach organizacji humanitarnej. Biali mówili, że ci, którzy chcą wrócić do Rwandy, mogą wsiadać i nie muszą nic płacić. Callixte wyruszył na ekspedycję, wdrapałam się na platformę z wieloma innymi ludźmi. Ciężarówka zawiozła nas do granicy. Inne białe ciężarówki czekały na nas za szlabanem i tak wróciłam do Nyamaty.

Poszłam na naszą rodzinną parcelę na wzgórzu Kanazi. Dom był spalony. Sąsiedzi wyjaśnili mi, że z mojej rodziny przeżyłam tylko ja. Dowiedziałam się z różnych pogłosek, że tata zginął przy domu. Mamę trafili oszczepem, kiedy chciała uciec do Burundi. Na polach znalazłam dwie zabite siostry. Co do innych, nigdy nie dowiedziałam się, jak zginęli.

Nie umiałam robić nic oprócz pracy w polu, ale podczas mojej nieobecności ziemia wyjałowiała. Czułam się zbyt słaba i nieporadna, żeby sadzić fasolę. Byłam zniechęcona. Słyszałam plotki za plecami w związku z moją ucieczką do Konga, nie wiedziałam, kogo mam prosić o wsparcie; dlatego przeniosłam się do Nyamaty, do pewnej znajomej.

Któregoś dnia usłyszałam, że deszcze zabiorą kości tych, których przy kościele

pogrzebały spychacze. Dołączyłam do ekipy, by wyjmować kości z rowu i układać z boku. Szukałam towarzystwa ludzi, chciałam, by ktoś spojrzał na mnie przychylnym okiem. Przejęci mieszkańcy przynieśli worki z cementem i zbudowaliśmy Miejsce Pamięci. Teraz próbuję się zatrudniać jako pomoc murarza. Kiedy coś zarobię, kupuję bataty i sorgo, wtedy szczęście wraca na chwilę. Jeśli nie, chodzę do zaprzyjaźnionej sąsiadki albo czekam, aż przytrafi się jakaś szczęśliwa okazja. Czuję się zagubiona jako jedyna osoba z rodziny, która ocalała. Nie wiem już, w którą stronę się zwrócić. Mam trzyletniego chłopca, nazywa się Uwimana, i trzymiesięczne niemowlę. Nie noszą chrześcijańskich imion, bo nie mają taty. Od czasów ludobójstwa wiele kobiet ma dzieci z przypadku, bo między domami krąży wielu mężczyzn, którzy stracili żony i którzy wiedzą, jak jesteśmy biedne.

Prawda jest taka, że mamy nieskładne myśli, bo utraciliśmy naszych rodziców i rodziny. Nie mamy się kogo słuchać, nie mamy komu służyć, komu się zwierzyć czy kogo poprosić o radę. Nikt już nas nie beszta ani nie zachęca. Nie mamy już nikogo, z kim moglibyśmy myśleć o przyszłości, nikogo, komu można by wieczorem położyć na ramieniu głowę ciężką od trosk. To bardzo przykre żyć jako człowiek porzucony, takie życie to wielka gorycz. Człowiek samotny może nawet wydać się podejrzany. W Afryce nawet jeśli nie masz już domu, nawet jeśli nie masz już rodziny, nawet jeśli nie możesz już podnieść motyki, musisz przynajmniej wykarmić swoje dzieci. Inaczej bardzo szybko tracisz w oczach innych.

Nocami myślę o mojej rodzinie i mam wyrzuty sumienia. Mieliśmy piękne krowy, zawsze było się w co ubrać, było wiele rąk do pracy w polu i wielu do wyżywienia, czuliśmy się dobrze w rodzinie. Dziś otacza mnie pustka i jest mi trudno przeżyć. Wieczorem siadamy z sąsiadami, którzy ocaleli, i opowiadamy o ludobójstwie. Uzupełniamy sobie w ten sposób to, co się wydarzyło, bo każdy przeżył w jakimś innym miejscu. Ja niechętnie opowiadam o przykrym życiu w Kongu, dlatego trochę mijam się z prawdą, o czym pan już wie. Jednak im dłużej słucham, jak koledzy opowiadają o tragediach w gminie, tym większy czuję

niepokój. Hutu oskarżają Tutsi, że są zbyt aroganccy i zbyt dumnie się noszą, to tylko wyraz skrywanej zawiści. Na wzgórzu Kanazi Tutsi nie byli bardziej dumni ani bogatsi, ani lepiej wykształceni niż Hutu, mieli parcele tej samej wielkości. Tyle tylko, że ich rodziny były bardziej zżyte. Ale to już tradycja, że się nawzajem wspieramy. Znaczenie, jakie Hutu przypisują przynależności etnicznej, to tylko pretekst do zazdrości i zachłanności.

Kiedy wracam na Kanazi, widuję *interahamwe*, którzy wrócili z Konga na swoje parcele. Wiem, że spora grupa zabójców wyjdzie wkrótce z więzienia. Jest wielu takich, którzy nigdy się nie przyznają, znowu będą chcieli to zacząć, gdy tylko na dobre odzyskają siły. W obozie słyszałam zbyt wiele przechwałek i słów nawołujących do zemsty. Wiem, że rolnicy Hutu czują się zdominowani przez *interahamwe*. To oni obiecują im nasze parcele, obrzydzają nasz wygląd.

Czas mija i wydaje się, że nie chce niczego zmieniać. Nie wiem, dlaczego Bóg pozwala, by nad głowami Tutsi wisiało przekleństwo, lecz kiedy się zastanowię, myśli zaczynają zderzać się w mojej głowie.

Półki w Miejscu Pamięci

W Nyamacie i w N'taramie kościoły są jedynymi budowlami, które otacza ogrodzenie z zaostrzonych prętów. Jakby oba miejsca pamięci, zbudowane tuż obok, miały być lepiej chronione niż którykolwiek z publicznych obiektów i willi.

Zamiar wzniesienia Miejsca Pamięci w Nyamacie podjęto już podczas pierwszej pory deszczowej. Szczątki zabitych wokół kościoła osób, pogrzebane pospiesznie przez zabójców z pomocą spychaczy, zaczęły wyłaniać się z ziemi i spływać z wodą potoków. Dzikie psy i koty już spierały się o to miejsce.

W owym czasie w zdewastowanym mieście ani gmina, ani notable nie mogli sfinansować kosztownej identyfikacji ofiar. A zagranicznych darczyńców zajmował zwłaszcza los uciekinierów w obozach. Dlatego mieszkańcy postanowili odkopać resztki motykami, by złożyć je w kościele i uchronić przed wodą. Do tych kości dodawano w miarę upływu miesięcy szczątki odnalezione na polach, w rowach, w studniach, w zagrodach, w lasach i rzekach, rozproszone i niemożliwe do zidentyfikowania. Tak narodziła się owa idea, by, wedle wyrażenia Innocenta, „spróbować mimo biedy złożyć niemal godny hołd zapomnianym ofiarom".

Zwykła tablica stojąca przed ogrodzeniem informuje, że jest to Miejsce Pamięci. Na progu kościoła zwiedzającego uderza gorzka woń śmierci. Betonowa nawa jest pusta, słabo oświetlona promieniami słońca, które przenika przez dziury w zadaszeniu. Po lewej, pod sklepieniem zakrystii, spoczywają na stole - niczym symboliczny, makabryczny posąg - splecione ciała matki i jej dziecka, wyschnięte i zmumifikowane, z tkwiącymi w nich jeszcze zaostrzonymi kijami, którymi zakatowano ich na śmierć.

Miejsce Pamięci zbudowano w tylnej części nawy, w podziemiach. Schodzi się tam betonowymi schodami; światło jest nikłe, woń śmierci dławiąca. Siadamy na ostatnim stopniu i patrzymy na ludzkie szczątki złożone na półkach. Na górze leżą

rzędem owinięte w całuny trupy przyniesione w nienaruszonym stanie; na platformie poniżej czaszki; jeszcze niżej żebra, poniżej miednice, kości udowe... Rzecz jasna, fascynuje nas ta mnogość czaszek. Ich oczodoły wydają się w nas wpatrywać jak liczne spojrzenia z zaświatów. Wiele z nich nosi ślady uderzeń, w niektórych tkwią jeszcze noże.

W sumie na czterech poziomach półek podzielonych na sześćdziesiąt cztery przegrody spoczywają kości około dwudziestu pięciu tysięcy ofiar. W krypcie pod kościołem, oświetlonej neonem i wyłożonej płytkami, trwają prace wykończeniowe. Złożono tam już kilka ciał w nieco bardziej aseptycznym i mniej szokującym otoczeniu, z myślą o bardziej wrażliwych odwiedzających.

Dwadzieścia kilometrów dalej, w N'taramie, bojówkarze nie zadali sobie trudu, żeby kopać rowy, gdyż ich kościół, zbudowany z dala od siedzib ludzkich, nie znajdował się na trasie ich codziennego marszu. Tysiące ciał zostawiono pod gołym niebem przez cały czas trwania ludobójstwa. Potem było za późno, by ocalali mogli szukać tam szczątków swych krewnych czy przyjaciół, gdyż deszcz i zwierzęta dokonały spustoszeń. Toteż na początku ludzie wznieśli ogrodzenie. Później zdecydowali zostawić miejsce w niezmienionym stanie, dla pamięci. To znaczy zostawić wszystkie trupy w pozycjach w chwili śmierci - niczym w jakiejś pompejańskiej scenie - stłoczone między ławkami, pod ołtarzem, skulone pod ścianami, w *pagne*, szortach, sukniach, pośród okularów, klapek, czółenek, fartuchów, walizek, miednic, dzbanów, prześcieradeł, naszyjników, materaców z pianki, książek przesiąkniętych silnym trupim odorem. Później z powodu zbyt wysokiej ceny środków do konserwacji, dobudowano salę, by złożyć tam część rozrzuconych wokół kościoła czaszek i kości.

Dziś przy drzwiach obu nieczynnych kościołów na zmianę stoją strażnicy, przyjmując niezliczone osobistości z Rwandy i zagranicy oraz ekipy dziennikarzy, którzy teraz czują się w obowiązku odwiedzić te miejsca. Owi strażnicy otwierają przed nimi grube zeszyty pełne autografów. Można tam przeczytać zdania w

rodzaju: „By nigdy już nie zapomnieć!", „Łączę się z wami w tych bolesnych chwilach!” i bardzo wiele zdań łatwych do przewidzenia: „Nigdy więcej”, gdzieś kiedyś już przeczytanych.

W N’taramie jeden z przewodników nazywa się Marc Nsabimana. To Hutu, jest emerytowanym wojskowym. Na krótko przed wojną wrócił, by uprawiać parcelę w okolicy. Miał żonę Tutsi, próbował ją ocalić, podobnie jak wielu swoich przyjaciół. Był w gronie wieśniaków Hutu, bezsilnych świadków rzezi w kościele i na bagnach. Odtąd porzucił rolnictwo, by poświęcić się pamięci ofiar. Obojętny na upał, zawsze opatulony w skafander, między jednym zdaniem a drugim kiwa głową i powtarza do znudzenia: „Jak to możliwe, jak to było możliwe?” Pod adresem słuchaczy, jak się z początku wydaje; do siebie samego, co pojmujemy później. Inny przewodnik ma na imię Thérèse, mieszka trochę poniżej, ona sama jest ocalałą z kościoła. Jest bardziej rozmowna i poza godzinami służby można ją często zobaczyć w kabarecie Marie, w Zakątku Wdów, jak paple z koleżankami przy butelce primusa, także o odwiedzających, o ich nerwowych ruchach, odświętnych ubraniach, ich skąpstwie czy hojności.

Znak czasu czy przypadek, od chwili ewakuacji białych księży, co dało sygnał do rzezi w kościołach, *muzungu* prawie zniknęli z regionu. W języku kinyarwanda słowo *muzungu* oznacza białego, także w ustach ciekawskiej, rozbawionej i życzliwej dzieciarni, która wykrzykuje to słowo na jego widok. Ale etymologicznie *muzungu* to „ten, kto zajmuje czyjeś miejsce”. Poza nielicznymi wyjątkami, księża, eksperci i specjaliści z organizacji międzynarodowych w Nyamacie są Rwandyjczykami bądź Afrykanami.

W Nyamacie wierni znów otworzyli drzwi starego kościoła, nieuczęszczanego od niepamiętnych czasów. To tam udaje się teraz Édith Uwanyiligira i jej pensjonariusze - piekarka Florence, Gaspard, kapitan drużyny Bugesera Football Club, kucharka Gorette... - w porze niedzielnej mszy rano i na nieszpory, by spotkać się w gronie przyjaciół na modlitwie i śpiewać kantyczki.

Édith jest głową rodziny, osobą jowialną i bardzo pobożną. Jej pogody ducha i humoru nie może już zakłócić żadna życiowa troska (przynajmniej publicznie). Wszystko poświęca wykształceniu dwójki swoich dzieci. Jej salon stale okupują owieczki; jej pokoje wykształceni pensjonariusze; podwórze gadatliwe czy nabożne sąsiadki; taras krewni; ogródek hałaśliwe dzieci z dzielnicy. W przeddzień pierwszych rzezi Édith uciekła z domu, by rozpocząć długą wędrówkę po zdewastowanej krainie u boku męża Jeana-de-Dieu, z synem Bertrandem na rękach, z dzieckiem w łonie, które wyrośnie później na figlarną Sandrę.

Édith Uwanyiligim, 34 lata Nauczycielka i szkolna księgowa Nyamata Gatare

Tata był kiedyś zastępcą przewodniczącego gminy Kibwa, niedaleko Ruhengeri. Dobrze zarabiał, był poważany, nocą jego i całą rodzinę przewieziono do buszu w powiecie Nyamata. Tutsi bez przerwy przybywali z Byumby, z Gikongoro, zewsząd, razem starali się odstraszyć lwy i słonie, mieszkali w budkach z kartonów. Tak urodziłam się na wzgórzu N'tarama.

Jako mała dziewczynka nigdy nie czułam się w pełni bezpieczna. Kiedy *inkotanyi* z Burundi atakowali Rwandę, żołnierze musieli zabijać Tutsi, niejako za karę. Jako że Bugesera styka się z Burundi, tu zabijali znacznie więcej ludzi. Wkrótce potem rolnicy Hutu zastępowali zabitych. Ale z nimi żyliśmy dość blisko, bez zwad. Zawsze miałam serdecznych przyjaciół Hutu w naszej okolicy.

Wojna domowa zawitała na wzgórza w 1991 roku. Tego roku moje pierwsze dziecko nie przyszło na świat i zmarło w moim brzuchu, gdyż droga do szpitala była zbyt niebezpieczna. Był to początek bardzo burzliwych politycznie lat, a mężczyźni bez końca się w to angażowali.

Kiedy w końcu, trzy lata później, spadł prezydencki samolot, przez radio odradzano nam wychodzenie z domów. Z początku nie wiedzieliśmy, co myśleć o naszym losie, ale Hutu z naszego regionu także się wahali; czekali tak jak my. Potem słyszeliśmy, jak burmistrzowie, policjanci, gminni urzędnicy chodzą po buszu, by zachęcać wieśniaków, i wykrzykują tego rodzaju rozkazy: „Na co czekacie, zlikwidujcie tych Tutsi jak w Kigali, to karaluchy!", „Nie ma już miejsca dla Tutsi, kto tylko może, powinien ich zabijać", „To żmije, właśnie teraz trzeba się ich pozbyć. Nikt nie zostanie za to ukarany!". Równocześnie *interahamwe* i żołnierze z garnizonu w Gako ćwiczyli się w zabijaniu pierwszych ludzi w kilku domach oznaczonych farbą. A pięć dni później nasi przyjaciele Hutu zmienili zdanie

na temat swych byłych przyjaciół Tutsi.

Czułam, że zbliża się rozwiązanie, schroniłam się u naszego sąsiada Hutu, przyjaciela od zawsze. Pewnego ranka powiedział mi: „Édith, jest pani grzechem, który może okazać się śmiertelny. Nie chcę umierać z pani winy. Proszę natychmiast ukryć się gdzieś w buszu”. Toteż 14 kwietnia wraz z mężem zeszliśmy nad rzekę Akanyaru; ofiarowaliśmy okrągłą sumkę przewoźnikowi, żeby przepłynąć rzekę, i ruszyliśmy drogą do Gitaramy.

W centrum miasta rzezie jeszcze się nie zaczęły, bo ludzie nie byli jeszcze naprawdę powiadomieni o planie masakry. Hutu byli ciągle niezdecydowani, ich partie spierały się między sobą. Nie wiedzieli, kto powinien zacząć. My siedzieliśmy na dworze, ściśnięci w pobliżu targu, jedliśmy cienkie białe placki z sorgo, było to bardzo nędzne życie. To tam urodziłam moją córkę Sandrę, na ziemi, pośród ludzi, bez dachu, by chronić ją przed słońcem, nawet bez jakiegoś drzewa, by skryć się przed spojrzeniami mężczyzn.

Któregoś dnia Hutu powiedzieli nam: „No, zaczęło się, zabójcy po was idą”. Schroniliśmy się w fabryce Electrogazu. Zjawili się młodzi ludzie, wołali do strażników: „Przyszliśmy po dostawę Tutsi, którzy chowają się za ogrodzeniem”. Strażnicy podnieśli karabiny. Ale kiedy się oddalili, brygadier zbyt spocił się ze strachu, wskazał nam furgonetkę, wywiózł i zostawił gdzieś w rowie. Poszliśmy drogą do Kabgayi, z mężem, synem, nowo narodzoną córeczką, dwiema siostrami i małą służącą.

Podczas ucieczki milczeliśmy jak ludzie upokorzeni. Wszędzie po drodze słyszeliśmy: „To Tutsi, czemu jeszcze idą, zamiast leżeć martwi?” albo: „Patrzcie na tych Tutsi, jak cuchną, trzeba ich zabić, trzeba się ich pozbyć”. Nawet dzieci z pierwszych klas szkoły, które spotykaliśmy po drodze, rzucały w nas kamieniami i krzyczały: „To Tutsi, to karaluchy”, i biegły do rodziców, by ich powiadomić: „Widzieliśmy grupę Tutsi, szli z Bugesery, wiemy, w którą stronę poszli...”

Nie czuliśmy żadnego wstydu, że jesteśmy brudni, biedni, czuliśmy się tylko

upokorzeni strachem. Nie myśleliśmy, że jesteśmy obszarpani, że nie mamy pieniędzy, ale byliśmy przerażeni, że możemy stracić życie. Więc drżeliśmy, słysząc te krzyki, bo ci, którzy tak wołali, mogli nas zabić jak gdyby nigdy nic, na oczach wszystkich, na poboczu drogi. Nawet jeśli mieliśmy poczucie winy, że nie dajemy jeść naszym dzieciom, przede wszystkim baliśmy się umrzeć, bo ledwie dwunastoletni chłopak mógł nas pociąć nożem, gdyby miał taki kaprys, i nie usłyszałby złego słowa od rodziców.

W Kabgayi zgromadziły się już tłumy uciekinierów i znów spaliśmy pod gołym niebem. Mieszali się tam Tutsi, którzy uciekali przed ludobójstwem w swoich prefekturach, i Hutu, uciekający przed idącymi od granicy oddziałami FPR. Toteż któregoś dnia musiało do tego dojść: uciekinierzy Hutu zaczęli zabijać uciekinierów Tutsi pośród oklasków *interahamwe*. W Kabgayi byli ministrowie Hutu, byli urzędnicy Tutsi, byli biskupi Hutu i Tutsi, zagraniczni reporterzy, którzy przyjechali, by nie narażając się na niebezpieczeństwo, fotografować, jak zabija się Tutsi na ulicy.

Panowała nędza, trudno było znaleźć cokolwiek do jedzenia, byliśmy głodni, byliśmy zawszeni. Ale proszę zauważyć pewną lekcję natury: pomimo głodu i zarazków z brudu, dzieci nie chorowały ze strachu przed śmiertelnymi groźbami!

Wtedy Szatan przybył z kolei do tego właśnie miasta, w pierwszych dniach czerwca. Oto co nakazał. Każdego dnia żołnierze parkowali autobus przy obozowisku i zabierali nim Tutsi. Księży, siostry, nauczycieli, handlarzy, zaczynali od ludzi ważnych. Zawozili pięćdziesięciu pasażerów do buszu, a wieczorem autobus wracał pusty. 29 czerwca zabrali mojego męża. Nazywał się Jean-de-Dieu Nkurunziza, był wspaniałym intelektualistą i bardzo uczynnym człowiekiem.

Od tego dnia co noc, gdy leżę w łóżku, myślę o nim. Potem myślę o mojej matce, o ojcu, o moich braciach i siostrach, o teściach, o wszystkich tych, którzy zostali zabici. Później znowu myślę o moim nieżyjącym mężu, tak długo, aż w końcu sen zechce mi dać ukojenie.

Z mężem byliśmy zawsze szczęśliwi jak świeżo poślubiona para. Lubiliśmy się od dzieciństwa. Dorastaliśmy w odległości pięciuset metrów od siebie, na tym samym wzgórzu. Po szkole średniej pokochaliśmy się naprawdę i pobrali. W dniu ślubu byłam wystrojona w białą suknię obszytą koronkami, jak na fotografiach. Był cały tłum eleganckich i radosnych ludzi. Z mężem kochaliśmy się bardziej niż to zwykle bywa. Byłam kapryśna, on tak bardzo mnie kochał, nie chciał nawet, bym robiła cokolwiek w domu. Po szkole średniej pojechałam na studia do Kigali, potem zamieszkałam w domu męża w N'taramie, gdzie był nauczycielem; ja uczyłam w szkole podstawowej w Cyugaro. Naprawdę było mi dobrze z mężem, rodzicami i teściami, którzy mi dogadzali.

*

Ludobójstwo uczyniło mnie wdową i sierotą zarazem w wieku dwudziestu siedmiu lat. Jedna rzecz zasmuca mnie wyjątkowo, to, że nie wiem, jak umarł mój mąż, i że go nie pochowałam. To dręczy mnie nocą i dniem. Ponieważ wsadzili go do autobusu i nikt nie może mi powiedzieć, jak został zabity. Gdybym widziała go martwego, gdybym miała jakieś informacje o jego ostatniej drodze, znała jego ostatnie słowa do rodziny, gdybym złożyła go w chrześcijańskim grobie, może łatwiej byłoby mi znieść jego zniknięcie.

Cztery dni po jego śmierci oddziały żołnierzy FPR przybyły do Kabgayi. Wróciłam do N'taramy pogrążona w smutku. Ponieważ sąsiedzi zostali zabici, ponieważ odeszli moi dwaj starsi bracia, ponieważ dom był spalony, a busz zarósł pola, postanowiłam osiedlić się w Nyamacie. Dziś nie chcę już wracać nawet na dzień do N'taramy z obawy przed wspomnieniami.

W Nyamacie, gdy tam przybyłam, wszędzie leżały stosy trupów: w kościele, na ulicach, w każdym domu. Kiedy szło się na pola szukać czegoś do zjedzenia, potykało się o trupy; tak samo na drogach przez las. W powietrzu czuć było silny zapach śmierci. Ludzie nie byli ani trochę radośni, czuli wielki smutek i mieli zamęt w głowach, bo bez przerwy myśleli o tych, którzy zginęli na ich oczach. Wielu

cierpiało z powodu okropnych ran; nie było już nic do jedzenia, nie było czym handlować, naprawdę było zbyt wiele problemów i zbyt mało rozwiązań.

Ja też po powrocie zmagałam się z ciężkim życiem. Miałam małe dziecko, noworodka i sieroty, które ze wszystkich stron schodziły się na moje podwórko. Byłam sama, zachorowałam, nie miałam czym pojechać do ambulatorium, nie wiedziałam, jak dać sobie radę. Chciałam umrzeć, ponieważ życie stało się dla mnie zbyt gorzkie.

Nie wiem, jak to się stało, ale zaczęłam się modlić. Najpierw nieśmiało i poszłam do kościoła, nuciłam psalmy, potem zaczęłam śpiewać pełną piersią. Usłyszałam, że Bóg mnie wzywa, gdyż to on miał mnie odtąd wspierać. Tak, zrozumiałam, że wcześniej byłam zbyt egoistyczna i naiwna, że Bóg chce, bym się do niego zbliżyła. Teraz wiem, że dzięki niemu niczego mi nie zabraknie i już nie wyrzekam, że mój mąż został zabity. Wcześniej nie myślałam o Bogu, gdyż zbytnio się o mnie troszczono, lecz teraz mi pomoże i będzie mnie kochał. To moje doświadczenie.

W Biblii można przeczytać, że Żydzi z Egiptu wiele wycierpieli, trudząc się dla bezwzględnego faraona. Także wśród nich wielu umarło z powodu złego traktowania przez Egipcjan. Bóg usłyszał ich narzekania, wysłuchał ich, przygotował do drogi, by mogli odnaleźć swój dobry kraj Kanaan. Tutsi w Rwandzie nie znaleźli na swej drodze niczego tak dobrego. Nie widzę żadnego podobieństwa między Żydami, którzy byli ludem Boga, a ludem Tutsi, którego nikt nie wybrał. Ale ponieważ wokół nas tylu zamordowano, ponieważ pozostaliśmy jednak przy życiu, gdy wszyscy chcieli, żebyśmy umarli, pomaga nam to spotkać Boga.

Jest też inna kwestia, którą chciałabym trochę rozjaśnić. Podczas ludobójstwa ocalały stracił swą ufność, tak jak całą resztę, i to przeszkadza mu bardziej, niż sobie uświadamia. Może traktować podejrzliwie wszystkich, nieznajomych, kolegów, nawet ocalałych sąsiadów. Samemu będzie mu zbyt trudno odnaleźć to

zaufanie i wrócić do innych ludzi, ale na szczęście Bóg mu w tym pomaga.

Moim zdaniem nic szczególnego nie wyróżnia Tutsi. Kiedy Hutu przychodzili do naszego domu, nie różniliśmy się niczym. Kiedyś byliśmy tacy sami, tyle że hodowcami byli, rzecz jasna, Tutsi. Niektórzy Hutu także kupowali krowy ale mówili o sobie, że są Tutsi. To w czasie ostatniej kolonizacji biali zepsuli serca Hutu. Jak opowiadali mi moi dziadkowie, już w szkole podstawowej nauczano niebezpiecznych rzeczy. Biali mówili Hutu: „Spójrzcie na tych Tutsi, mają króla, mają służbę, mają krowy. Uważają się za coś lepszego, są aroganccy, chcą, byście im służyli”. Toteż Hutu przygotowali odpowiedź. Od czasów Niepodległości zawsze pojawiali się agitatorzy Hutu, którzy podsycali nieufność i żądzę zemsty. Koloniści nigdy nie zalecali ludobójstwa, gdyż samo to słowo nie było używane. Ale zapewne złe wnioski wyciągnęli dla siebie rwandyjscy intelektualiści.

Dziś, kiedy słucham radia, dowiaduję się, ze biali wysyłają wojskowe samoloty, gdy tylko robi się zamieszanie w Iraku czy Jugosławii. W Rwandzie przez trzy miesiące wycinało się ludzi, a biali przysłali tylko dziennikarzy, by mogli fotografować. Biali odnoszą się tak samo nieufnie do Tutsi, jak do Żydów. Z założonymi rękami patrzyli, jak umierają, prawie do ostatniego, oto cała prawda. Oto prawdziwe porównanie ludobójstw i ten problem jutro znowu się pojawi, ponieważ ich podejrzenia kryją się w ich myślach.

W Nyamacie jest czymś godnym zastanowienia, że ludzie nie zapraszają się już nawzajem jak kiedyś. Wiele osób zobojętniało na życie, bo podczas wojny zbyt wiele wycierpieli. Mówią: „Hutu tyle razy chcieli mnie zabić, teraz nic dobrego nie może mi się już przydarzyć”. Myślą: „Jestem wdową, jestem sierotą, nie mam już domu, nie mam pracy, nie mam już czym jeździć, nie mam zdrowia, jestem sam wobec tylu problemów i już nie chcę rozglądać się wokół”. Każdy skupia się na sobie. Każdy zabiera troski do swojego kąta, jakby był jedynym ocalałym, nie dbając już o to, że ten ból jest taki sam dla wszystkich. Mężczyźni spędzają w kabarecie więcej godzin niż kiedyś, ale nie ma żadnej wymiany poglądów. Kobiety

mogą czekać przez miesiąc w domu i nie odwiedzi ich nikt z rodziny. Mężczyzna może przez trzy miesiące nie wychodzić, by dowiedzieć się, co słychać u młodszej siostry, a jeśli już pójdzie i dowie się, że nie jest najlepiej, wraca bez słowa. W rodzinach urwały się więzi, jakby teraz każdy chciał wykorzystać wyłącznie dla siebie tę resztkę życia, która mu została. W mojej pamięci ludobójstwo dokonało się wczoraj czy raczej w zeszłym roku; i już na zawsze będzie to zeszły rok, bo nie dostrzegam żadnej zmiany, która pozwoliłaby czasowi znów wrócić na swoje miejsce. Dzieci też wybierają niewłaściwą drogę. Nawet uczniowie, którzy nie widzieli zabójstw, słyszą rozmowy przez ścianę, słuchają różnych złorzeczeń, a potem odpowiadają dorosłym: „Jak mnie zdenerwujesz, walnę cię maczetą" i nie słuchają na lekcjach.

Proszę dobrze zrozumieć, ludobójstwo nie zniknie z umysłów ludzi. Czas zatrzyma wspomnienia na zawsze, zostawi bardzo niewiele miejsca, by dać ulgę duszy. Ja znalazłam ostoję w Kościele, bo nie wiedziałam już, gdzie szukać nadziei. W kościele spotykam Hutu i Tutsi, którzy modlą się obok siebie. Nadal widuję dobrych przyjaciół Hutu. Wiem, że Hutu, którzy zabijali z takim spokojem, nie mogą być szczerzy, gdy proszą o wybaczenie, nawet Pana Boga. Dla nich Tutsi na zawsze pozostanie wrogiem.

Ale ja jestem gotowa przebaczyć. Nie dlatego, by zanegować zło, które czynili, nie chcę też zdradzać Tutsi ani niczego upraszczać; jednak nie chcę cierpieć przez całe życie, pytając, dlaczego chcieli mnie ściąć. Nie chcę żyć z poczuciem winy i w lęku, że jestem Tutsi. Jeśli im nie przebaczę, tylko ja będę cierpieć, nie spać i złorzeczyć. Pragnę pokoju ducha, naprawdę muszę się uspokoić, muszę odrzucić strach, nawet jeśli nie wierzę w ich pojednawcze słowa.

*

Nie czuję żadnej potrzeby, by bez przerwy mówić o ludobójstwie jak wszyscy ocalali. Kiedy mój syn Bertrand pyta: „Gdzie jest tata?", odpowiadam, że został zabity. „Przez kogo?", „Przez *interahamwe*". Wyjaśniam, kim są *interahamwe*, że

zabili jego wujów, dziadków na bagnach, na polach, że to bardzo okrutni ludzie, którzy już nigdy nie wyrządzą zła. Kiedy widzi więźniów w uniformach w pobliżu aresztu, pyta: „Czy to oni zabili tatę?” Odpowiadam, że nie, że jego tata został zabity daleko stąd przez innych *interahamwe*, że nie trzeba patrzeć na tych jak na zbrodniarzy. Dodaję, żeby go uspokoić: „Mieliśmy umrzeć, gdyż nikt nie chciał, byśmy zostali żywi. Mieliśmy umrzeć, bo byłam kobietą z małym dzieckiem i noworodkiem, które nie mogły biec. Ale dzięki Bogu nie umarliśmy”. Kiedy mówi mi o karze, odpowiadam, że ludobójstwo przekracza ludzkie prawa. Odpowiadam, że żadna sprawiedliwość nie jest dość przenikliwa, by ogłaszać wyroki po podobnym zdarzeniu, zdolna do tego jest tylko sprawiedliwość boska. Staram się go tym zadowolić. Nie chcę, by w moim sercu można było wyczytać ludobójstwo.

Martwię się też o innych ludzi, którzy tu mieszkają; o wygnańców, którzy wrócili z Burundi, by tchnąć nowe życie w regionie Bugesery; o Hutu, którzy nie maczali palców w masakrach, o małe dzieci, które urodziły się już po rozlewie krwi. Nie trzeba niszczyć im życia, opowiadając im nasze koszmary. Nie lubię słuchać wszystkich tych wspomnień o rzeziach, do których ludzie wracają wieczorami czy w weekend. Nie mam już chęci dowiadywać się czegoś więcej o bagnach. Nie podoba mi się, gdy ludzie przychodzą do mojego domu, by mówić o tamtych czasach i za każdym razem dodawać nowe przykre szczegóły.

Nie chcę wyjść powtórnie za mąż za ocalałego i rozpoczynać normalnej egzystencji kobiety ocalałej. Wolę modlitwy i śpiewy. Wolę nauczyć się grać na gitarze. Wolę w gronie przyjaciół porozumiewać się z niebem. Codziennie w ciszy myślę o moim mężu, myślę, że żaden mężczyzna nie da mi tego szczęścia, które on mi przyniósł. Myślę też, że gdyby nie został zabity, nie spotkałabym Boga.

Zgodziłam się mówić dziś z panem o ludobójstwie jedynie dlatego, że odbył pan długą podróż, by przybyć do Nyamaty, ponieważ zrozumiałam, że chce pan naprawdę usłyszeć, co przeżyliśmy przez ten czas, że pragnie pan wiedzieć, jak zamierzam poradzić sobie z tym bólem.

Uwagi na marginesie

W tym miejscu czytelnik mógłby wyrazić zdziwienie, że przytaczam wyłącznie opowieści ludzi ocalałych. Zresztą w Nyamacie burmistrz, prokurator, nauczyciele, którzy wrócili z wygnania, byli więźniowie z Rilimy, rolnicy Hutu, winni czy niewinni, bohaterscy czy bierni, oraz sami ocalali sugerowali mi, bym zróżnicował świadectwa. Powód mojej odmowy jest prosty.

W Rwandzie, na początku lat dziewięćdziesiątych, w odpowiedzi na pierwsze militarne sukcesy stacjonujących w Ugandzie rebeliantów Tutsi, większość klasy politycznej, armii i inteligencji Hutu obmyśliła plan eksterminacji ludności Tutsi i zgładzenia dążących do demokracji osobistości Hutu. Od 7 kwietnia 1994 roku, przez miesiąc do dwóch i pół miesiąca, w zależności od regionu, zdumiewająco wielka część ludności Hutu, z własnej woli czy przymuszona, codziennie chwytała za maczety, żeby zabijać. Cudzoziemców, cywilnych i wojskowych kooperantów, przedstawicieli organizacji humanitarnych odesłano w bezpieczne miejsce. Bardzo nieliczni i zupełnie zdezorientowani byli dziennikarze, którzy zostali na miejscu i których raczej nie chciano słuchać po powrocie.

Od końca maja dochodziło do epizodów będących bezpośrednim skutkiem ludobójstwa: dantejski exodus około dwóch milionów Hutu, uciekających przed represjami pod ochroną bojówkarzy *interahamwe;* równoczesny podbój kraju przez oddziały rebeliantów z FPR przybywające z Ugandy. Następnie, trzydzieści miesięcy później, w listopadzie 1996 roku, nagły i nieoczekiwany powrót uchodźców Hutu, w wyniku powodowanych zemstą i bardzo krwawych rajdów oddziałów Tutsi z FPR na obozy (nawet te zagubione w puszczy regionu Kiwu w Kongu).

Bardzo niewielu zagranicznych dziennikarzy pozostało w Rwandzie w czasie ludobójstwa Tutsi (wiosna 1994), ale całe rzesze wylądowały tu, by ruszyć za

kolumnami uchodźców Hutu aż do granicy z Kongiem (lato 1994). Ta dysproporcja dostępnych informacji, ucieczka Hutu z dość niejasnych powodów, dramaturgia tego długiego, wyczerpującego marszu, a także nieprzystępność nowych władz w Kigali zrodziły zamęt w głowach zachodnich reporterów, tak iż niemal zupełnie zapomnieliśmy o ludziach ocalałych z ludobójstwa, którzy błąkali się jeszcze jak nieprzytomni po buszu, by uznać za ofiary tylko uczestników exodusu na drogach i Hutu w obozach dla uchodźców na terenie Konga.

Podczas jednej z podróży do Rwandy, w samym środku owej masowej ucieczki, uderzył mnie brak świadectw ludzi ocalałych. Podczas drugiej podróży, trzy lata później, w Nyamacie, ich milczenie zaskoczyło mnie jeszcze bardziej. Mutyzm i izolacja ocalałych ze wzgórz mogą zbijać z tropu. Jak już wspomniałem we wstępie do książki, przyszło mi wtedy na myśl, jak długo trzeba było czekać, by ludzie ocaleni z nazistowskich obozów koncentracyjnych zaczęli mówić i by zechciano ich słuchać i czytać, po niezliczonych tekstach napisanych już przez innych na temat Holokaustu, i jak istotne były ich opowieści dla tych, którzy próbowali zrozumieć. Podczas pierwszych dyskusji z Sylvie Umubyeyi, potem z Jeannette Ayinkamiye i innymi osobami, które poznałem przez Sylvie, od razu wydało mi się oczywiste, że muszę poświęcić czas, żeby ich wysłuchać.

Pobyt w Nyamacie trwał wiele miesięcy, z krótkimi wypadami do Paryża, by z dystansu przesłuchać nagrane wywiady i przeczytać notatki, a potem wrócić z nowymi pytaniami. Na miejscu czekał na mnie pokój w domu Édith, samochód terenowy wynajęty od pana Chicago, jednego z hurtowników piwa, oraz magnetofon. Pobudka o świcie przy krzykach dzieciarni, poranne spotkania z Innocentem lub Sylvie, wyprawa do buszu, by złożyć wizytę tej czy innej osobie. Przerwa w południe i nowa wyprawa na okoliczne parcele. Wolny koniec popołudnia, gra w piłkę z dzieciakami lub spisywanie zawartości kaset, słowo w słowo, by odtworzyć klimat rozmowy i oddać melodię głosów. Wieczorem piwo w kabarecie, u Sylvie, u Marie-Louise’y, u Francine w Kibungo albo u Marie w

Kanzenze oraz dyskusje z przyjaciółmi. Weekend jest poświęcony wyłącznie na pisanie, słuchanie chóralnych śpiewów i oglądanie meczów piłkarskich. Nieoczekiwane spotkania, przyjacielska wizyta Raymonda Depardona czy różne uroczyste okazje zmieniają czasami ten spartański rozkład zajęć.

Pojechałem po prostu po to, by zbierać świadectwa ocalałych pośród plantacji bananów na wzgórzach nad bagnami. W niektórych wspomnieniach zdarzają się chwile zawahania czy pomyłki, które ocalali komentują sami; nie umniejsza to prawdy ich relacji, rzeczy najistotniejszej, gdy próbujemy zrozumieć ludobójstwo. Oto dlaczego nie spisałem wywiadów z osobistościami ze świata polityki czy wymiaru sprawiedliwości z Kigali lub Nyamaty ani świadectw byłych szefów i zabójców z *interahamwe* (które przeprowadziłem w więzieniu w Rilimie albo za granicą). Z tego samego powodu nie przytaczam słów Hutu, którzy sprzeciwiali się zbrodni czy zagranicznych protagonistów.

*

Po tym komentarzu wracamy na drogę przez eukaliptusowy las w pobliżu N'taramy, gdzie słychać trele *inyombyi*, wiernego ptaka z długim niebieskim ogonem. Wspinamy się po stromej ścieżce, która gubi się pośród na pół dzikiej plantacji bananów. Hałaśliwa dzieciarnia wybiega zza żywopłotu. Na podwórku odpoczywa młoda kobieta w roboczym *pagne,* wsparta plecami o ścianę domu, z wyciągniętymi nogami, ze śpiącym dzieckiem na kolanach. Nazywa się Berthe Mwanankabandi.

Podaje wodę w wielkim dzbanie. Dziwi się, jak inni, że cudzoziemca może ciekawić jej historia i ludobójstwo; wyjaśnia, jak inni, że nie wierzy już w sens dawania świadectwa, ale nie okazuje śladu nieufności, wręcz przeciwnie. Od razu zgadza się mówić, przez cały poranek, cichym głosem.

Jak wiele jej sąsiadek, nigdy się nie skarży, nigdy nie podnosi głosu, nie okazuje żadnej nienawiści czy goryczy, skrywa podejrzliwość, jaką mogłaby odczuwać w stosunku do białego, a dzięki chwilom ciszy powstrzymuje nagły przypływ smutku

czy rozpaczy. Gdy po południu musi iść na pole, proponuje, że później dokończy opowieść. Po tygodniu, miesiącu, dwóch, po pół roku jej opowieść jest wciąż tak samo zwięzła, gdyż, jak wyjaśnia, zmusza ją to do wypowiedzenia niektórych myśli głośno, dla niej samej.

Berthe Mwanankabandi, 20 lat, chłopka Wzgórze Rugarama (Kanzenze)

Miałam jedenaścioro rodzeństwa, dwóch braci i dziewięć sióstr. Gdy byliśmy mali, chodziliśmy przez las wraz z innymi dziećmi do szkoły w Cyugaro. W klasie nigdy nie było miejsca na żadne etniczne echa. Nawet gdy doszło do niepokojących masakr, w okolicach Rulindo, zabraniano nam mówić ze sobą na ten temat. Nawet kiedy słyszeliśmy, jak młodzi ludzie trenują przed walką przy moście na Akanyaru, nie wolno nam było się dziwić. Owijaliśmy nasze lęki liśćmi ciszy.

W dniu upadku samolotu zamknęliśmy się w domach; słyszeliśmy grupy *interahamwe,* które polowały na wzgórzach, robiąc wiele hałasu. Na plantacji bananów poniżej naszego domu usłyszałam, że zabito naszego starego sąsiada o nazwisku Candali. Od razu zeszliśmy całą rodziną do kościoła w N'taramie; bo ponoć chrześcijanie szanują miejsce kultu. Czekaliśmy trzy dni, aż się opamiętają. Wierzyliśmy, że przecież wrócimy na parcele, ale tym razem przyszli *interahamwe.*

Młodzi ludzie stanęli kręgiem w lasku wokół kościoła; potem zaczęli dziurawić ściany, rzucając granaty, i wkroczyli ze śpiewem. Z początku myśleliśmy, że zwariowali. Machali maczetami, siekierami albo dzidami i krzyczeli: „To my, to my, a tak przyrządza się mięso Tutsi”.

Najodważniejsi z nas uciekli między drzewa parku za kościołem. Biegliśmy bez zastanowienia, by w końcu dotrzeć do bagien Nyamwiza. Wieczorem deszcz lał bez ustanku i szukaliśmy schronienia w szkole w Cyugaro, w eukaliptusowym lesie niedaleko bagien. Tak właśnie maszerowaliśmy przez cały miesiąc: bagna, szkoła, bagna. Później w tej szkole dowiedziałam się, jak tata i mama wydali ostatnie tchnienie. Do samego końca tęsknili za swym rodzinnym wzgórzem niedaleko Byumby, gdzie odebrano im dom, nim przybyli tutaj uprawiać poletko fasoli.

Co rano szykowałam dzieciom jedzenie z tego, co zdołałam wygrzebać na

parcelach; potem prowadziłam je, by na czas ukryć pod liśćmi papirusów, w towarzystwie dorosłych osób, które nie miały już sił. W słoneczne dni trzeba było szukać innego miejsca z powodu śladów stóp, które odciskały się w schnącym błocie. Gdy przybywali zabójcy, śpiewali; i przychodziła nasza kolej, by rozpierzchnąć się po bagnie. Zjawiali się około dziewiątej, czasem dziesiątej lub jedenastej rano, jeśli nie chciało im się za bardzo pracować. W niektóre dni przebierali się za diabły, zarzucali *pagne* na ramiona i mieli liście na głowach. Czasem starali się nas zaskoczyć, skradając się w milczeniu, ale słyszeliśmy krzyki pierzchających makaków.

Kiedy złapali rodzinę, ścinali najpierw tatę, potem mamę, potem dzieci, żeby każdy mógł zobaczyć wszystko jak trzeba. Odchodzili najpóźniej o szesnastej trzydzieści, bo chcieli wrócić do domu przed zmrokiem.

Wtedy uciekinierzy, którzy mieli szczęście, wychodzili i zaglądali do kryjówek, próbując odnaleźć tych, którzy zostali zabici. Najsilniejsi szli w stronę szkoły, by się schronić i pobyć trochę z innymi. Najsłabsi kładli się pod najbliższymi drzewami, żeby tylko wyschnąć. Ponieważ nasz dom był w okolicy, nocą krążyliśmy po naszych pobliskich parcelach, zbierając pożywienie. Staraliśmy się dowiedzieć czegoś o sąsiadach, których widzieliśmy w dzień.

Na bagnach osoba, z którą ukrywało się całe dni, mogła któregoś wieczoru zniknąć i nie było wiadomo, czy tylko uciekła inną drogą za jakąś inną grupą, czy też została ścięta. Nie wiedzieliśmy nic o wielu nieobecnych. Czy znów ich spotkamy w najbliższym czasie, czy już z nimi koniec.

Mogę powiedzieć, że przywykliśmy z wolna do tego, że nie wiemy nic o znajomych, gdyż byliśmy zajęci czymś innym, tym, jak nie dać się od razu złapać ze swoją ekipą. Czasem zdarzało się nie zauważyć odejścia kogoś, z kim przez całe lata dzieliło się szkolną ławkę czy piło *urwagwę*. Była niewielka grupa ludzi, u których przygnębienie niszczyło nawet przyjacielskie czy rodzinne więzi. W całej tej nędzy i strachu było im ciężko nie myśleć przez cały czas tylko o sobie samym.

Gdy skończyliśmy szukać żywności, kładliśmy się na ziemi lub zajmowali tymi, którzy stracili siły. Na bagnach dokuczał nam brak snu i jedzenia, męczyła nas czerwonka i biegunka, bo piliśmy mętną wodę. Ale malaria, zazwyczaj tak groźna, przeciwnie, oszczędzała ludzi i to spostrzeżenie do dzisiaj mnie dziwi. Nie tylko malaria, bo wokół nas niewielu kolegów skarżyło się na zwykłe choroby, na ból głowy, brzucha czy łona. Pośród tych wszystkich nieszczęść zdawało się, że te choroby, przez solidarność, dają nam chwilę wytchnienia.

Wieczorem 30 kwietnia znalazłam zakrwawione zwłoki Roseline i Catherine, moich młodszych sióstr. Nocą ogarnął mnie okropny smutek. Później czasami na bagnach opuszczał mnie rozum, gdy widziałam, jak zabijali małe dzieci czy bliskich sąsiadów, albo gdy słychać było jęki poranionych ludzi.

Zdziwiło mnie, że chcę umrzeć. A jednak nigdy nie wstałam z kryjówki, gdy czułam, że nadchodzą myśliwi. Gdy szli, nie miałam już władzy nad mięśniami, nie chciały się poruszyć. W ostatniej chwili nie godziły się wykonać żadnego gestu, żeby ktoś podszedł i obciął mi głowę. Tak jak inni ludzie, których widziało się w zaroślach i którzy nie mogli powstrzymać ostatniego ruchu ramienia nad głową, by uniknąć zabójczej maczety; nawet jeśli w ten sposób rany musiały przynieść im znacznie dłuższe cierpienie. W naszym wnętrzu kryje się jakaś naturalna chęć przeżycia, która nie chce słuchać nikogo.

Kiedy wyzwolili nas *inkotanyi*, któregoś popołudnia zaprowadzili nas jak brudne stado do Nyamaty. Nie znajduję innych słów. Byłam ubrana jak obdartus, w kawałki materiału spięte patykami. Szliśmy w zwolnionym tempie, jak we śnie, bo był dzień, a my nie musieliśmy uciekać, żeby nas nie ścięto. Wieczorem w Nyamacie jacyś młodzi ludzie schwytali kozę, rozpalili ogień, dali mi szaszłyk. Wreszcie skosztowałam pieczonego mięsa, odetchnęłam, jadłam bardzo powoli; położyłam się spokojnie na materacu, zamknęłam powieki, wtedy poczułam, że znów jestem sobą.

Przesiedziałam trzy miesiące w obozie. Miałam pustkę w głowie, myśli mnie

opuściły. Bez przerwy drzemałam. Wyzwoliciele mówili nam, że groźba masakr na zawsze odeszła z naszego życia, że wygraliśmy. Ale my mówiliśmy sobie cicho, że nie wiemy, co takiego mogliśmy wygrać, bo straciliśmy najważniejsze. Potem postanowiłam pójść drogą do Rugaramy i zamieszkać w naszym domu, nawet jeśli rodzice nigdy już nie wrócą. Wraz z sąsiadami chodziliśmy na wzgórza, szukając blachy i drzwi rzuconych pod drzewami przez uciekających Hutu. Wszędzie busz niszczył nasze uprawy, pola trzeba było od nowa karczować, to było ponad siły, ale mieliśmy przecież dzieci.

W domu Claudine, obok, ośmioro dzieci wróciło do szkoły w N'taramie, a cztery starsze gracują pola, prócz dziewczynki, która zajmuje się niemowlętami. Ja mam dziecko ze spotkanym przypadkiem mężczyzną. Chłopak nazywa się Tuyischime, to znaczy Syn.

Co rano my, dorośli, o szóstej idziemy na pola, wracamy o jedenastej, żeby przygrzać jedzenie. Myjemy się i zapadamy w drzemkę, idziemy dokończyć pracę i wracamy około siedemnastej, żeby pójść po wodę. Gdyby ludobójstwo mnie nie zatrzymało, byłabym pielęgniarką. Z wielką tęsknotą myślę o tym zawodzie i pożytkach z niego.

Wspomnienia z ludobójstwa stale pojawiają się w naszych rozmowach. Ale z czasem coraz mniej pamiętam sceny z bagien, twarze nieszczęśliwców, błoto, okropieństwa tego życia podczas ludobójstwa. Coraz częściej nachodzą mnie myśli o życiu przedtem, w rodzinie, w towarzystwie żywych, wokół domu i na ścieżkach na wzgórzu. Wspominam, jak dobrze było żyć z rodzicami i pośród sąsiadów. Ale gdy przypominam sobie dokładnie dawne dobre chwile, nie jestem mniej smutna. Przeciwnie, myślę, że ten, kto pamięta już tylko ludobójstwo, kto tylko o tym myśli, kto tylko o tym mówi, tonie w nieszczęściu, ale przynajmniej nie dręczą go tak bardzo żale i niepokoje.

Teraz widzę, że życie stało się zbyt uciążliwe na wzgórzach, ziemia jest zbyt wyschnięta, żeby wzeszła nadzieja. Ludobójstwo popycha do izolacji ludzi, którzy

nie zostali popchnięci do śmierci. Niektórzy tracą życzliwość dla innych. Kobieta, która urodziła dzieci i widziała je martwe, mężczyzna, który zbudował dom i widział, jak płonął, ktoś, kto wypasał krowy pięknych maści i wie, że trafiły do kotła, jak pan myśli, jak mają teraz wstawać co rano, nie mając w ręku nic? Niektórzy zaczynają się nawet odgrażać. Na przykład jeśli pańska krowa pójdzie na czyjeś pole, ten wrzeszczy, że nie chce się porozumieć co do odszkodowania, bo stracił całą rodzinę, i grozi panu z powodu byle głupstwa.

Jednak najbardziej martwię się o dzieci. Widziały tyle śmierci wokół, boją się byle czego i nie przejmują resztą. Kiedyś słyszałam nawet, jak dzieci bawiły się w *intehamwe* i opowiadały, że będą się zabijać. To żałobne cienie wracają tak w przebraniu w ich myślach.

Wcześniej z sąsiadami Hutu nie dawaliśmy sobie prezentów, ale dzieliliśmy się naszym winem i potrafiliśmy ze sobą rozmawiać; i oto któregoś dnia nazwali nas „wężami”. Okazało się, że to bardzo groźne oskarżenie, które ich może przerosło.

Podczas rzezi w kościele w N’taramie rozpoznałam dwóch sąsiadów Hutu, którzy mordowali w pierwszym szeregu zabójców, umarli w Kongu. Na bagnach też rozpoznałam jednego rolnika z sąsiedztwa; podczas rzezi zabijał dzidą. Ruszył w kolumnie do Konga, wrócił w tej samej kolumnie po dwóch latach; zaczekał na żołnierzy w domu i powiedział im, że nie pamięta, co robił. Został skazany na śmierć. Nie wiem, czy rozstrzelają go któregoś dnia na wzgórzu, w każdym razie niewiele mnie to obchodzi. Naprawdę nic z tych rzeczy nie przynosi mi szczególnej ulgi.

Oto co o tym myślę. Ci, którzy chcieli tylko zabrać nam parcele, mogli nas po prostu przepędzić, jak wypędzali kiedyś naszych rodziców i dziadków na północy kraju. Po co nas jeszcze ścinać? Są Hutu, którzy poderżnęli gardło swoim żonom Tutsi i dzieciom, które były tylko w połowie Tutsi. Wielu nie próbowało nawet ukrywać tych zbrodni. Wręcz odwrotnie, niektórzy zabijali w drzwiach domów, przed widownią, by pokazać, że są godnymi zaufania Hutu, i zasłużyć na

komplementy ze strony *interahamwe*.

Kiedyś wiedziałam, że człowiek może zabić człowieka, ponieważ zawsze to robił. Teraz wiem, że nawet ktoś, z kim jadłeś z jednej miski czy spałeś, może bez trudu cię zabić. Zły człowiek może cię zabić zębami, oto czego później się nauczyłam. I moje oczy nie patrzą już tak samo na fizjonomię świata.

Kiedy słyszę przez radio relacje ze wszystkich tych afrykańskich wojen, boję się o bliski koniec Afryki. Afrykańscy przywódcy załatwiają swe sprawy w zbyt brutalny sposób. To problem, który przerasta nas, zwykłych ludzi. Ale przypadek Rwandy wykracza poza afrykańskie zwyczaje. Afrykanin zabija ze złości czy dokuczliwego głodu. Albo zabija tyle, ile trzeba, by skonfiskować diamenty i tego typu rzeczy. Nie zabija z pełnym brzuchem i spokojnym sercem na wzgórzach z polami fasoli, tak jak *interahamwe*. Myślę, że źle zrozumieli lekcję, która przyszła z zewnątrz, spoza Afryki. Nie wiem, kto zasiał ideę ludobójstwa. Nie, nie mówię, że to kolonizatorzy. Naprawdę nie wiem kto, lecz nie był to Afrykanin.

Nie rozumiem, dlaczego biali tak długo nas obserwowali, kiedy każdego dnia groziły nam maczety. Pan oglądał ludobójstwo na ekranie telewizora, jeśli pan nie wie, dlaczego biali nie zrobili nic, żeby ich uspokoić, skąd ja, kryjąca się na bagnach, miałabym to wiedzieć?

Nie rozumiem, dlaczego niektóre cierpiące twarze, jak twarze Hutu z Konga czy uciekinierów z Kosowa, tak rozczulają cudzoziemców i dlaczego twarze Tutsi, nawet pocięte maczetą, wywołują tylko zdziwienie lub obojętność. Nie jestem pewna, czy wierzę albo czy rozumiem litość cudzoziemca. Może po prostu Tutsi ukrywali się zbyt daleko od drogi, a może nie mają twarzy wywołujących tego rodzaju uczucia.

W każdym razie to, co zrobili Hutu, było diabelstwem i to jest poza dyskusją. Dlatego dopóki będą żyć *interahamwe* i ich kompani w więzieniu w Rilimie, nie przestanę drżeć, słysząc głośną rozmowę w liściach bananowców.

Lepianka Claudine o blaszanym dachu

Ścieżka wiodąca do domu Claudine Kayitesi pnie się po stromym gliniastym zboczu, znika w gęstwinie plantacji bananowców i kończy się przed ukwieconym żywopłotem. Jej domek nie jest murowany. W Bugeserze różne sposoby wznoszenia murów dzielą domy na niemurowane, na pół murowane oraz murowane. To znaczy na domy o ścianach z wyschniętego błota, którym wypełnia się konstrukcję z pni drzew, domy z brykietów wykonanych z błota wymieszanego ze słomą i obrzucone tynkiem lub warstwą cementu oraz domy z wypalanych cegieł lub pustaków. Pokryciem dachów są najczęściej kawałki blachy różnej wielkości, przyciśnięte kamieniami, lub nowe, równo poukładane i przytwierdzone wkrętami. Na ścianach domu Claudine, który zbudował jej ojciec przed dziesięciu laty, widać głębokie pęknięcia. Jednak w porze deszczowej nie zalewają go potoki wody, jak dzieje się w domu Berthe'y, przyjaciółki z sąsiedztwa.

Wchodzimy do bielonej wapnem izby, której umeblowanie stanowi stolik i dwa krzesła i którą zdobią liczne bukiety zmienianych co dzień kwiatów. To tu rodzina czeka na koniec ulewy. Kawałek tkaniny oddziela salon od pokoju na zapleczu, gdzie stoją dwa zbite z desek łóżka. Na stole Biblia, koszyk sztucznych kwiatów z pierwszej komunii, żelazko na węgiel drzewny oraz saszetka z przyborami do szycia. To pokój Claudine i Eugénie, młodszej siostry, która pomaga jej wychowywać dzieci. W ślepej komórce po prawej stoją worki z fasolą, woreczki z solą, ryżem, dzban, leży mydło. Ani śladu torebki z cukierkami czy paczki herbatników. Pełna ubrań podróżna torba zastępuje szafę. Przez komórkę przechodzi się do trzeciego pokoju. Na klepisku, na podwyższeniu z ziemi leży materac. Tu śpią dzieci, Jean-Petit, Joséphine i drobniutka, kilkumiesięczna Nadine.

Żadnego obrazka, żadnego kalendarza czy starego plakatu reklamowego na ścianach jak u Berthe'y czy Jeannette. Gliniana podłoga jest dokładnie wysprzątana

miotełką z gałęzi, podobnie jak podwórze.

Na zewnątrz pod ścianą stoi wspaniały szezlong, wyrób miejscowego rękodzieła, i ławka. To tu gawędzi się, kiedy nie pada. Podwórze jest rozległe i trochę wypiętrzone. Otacza je żywopłot z wilczomlecza, na którym suszą się tkaniny, bielizna. W cieniu drzew awokado kwadrat zieleni z kwietną rabatką, pod wonnymi żółtymi krzewami, to miejsce wieczornych zgromadzeń. W głębi podwórza plątanina gałęzi zastępuje półki dla całej baterii rondli, filiżanek, termosów, które są darem organizacji humanitarnych, a także wiader służących do polewania się nawzajem wodą podczas toalety. Kuchnia znajduje się w budce z gliny przykrytej blaszanym dachem, gdzie można tylko siedzieć. Na palenisku płonie drewno, a w ogromnej miednicy pieką się banany i fasola, którą je się dwa razy dziennie. Nazajutrz będzie to maniok i fasola, dzień później kukurydza z fasolą. Dla Rwandyjczyka dzień bez fasoli nie jest dniem udanym.

Zagroda dla krowy i cielaka, obok kuchni, zrobiona jest z grubych, wbitych w ziemię gałęzi. Krowa jest chuda, bo dzieci po powrocie ze szkoły nie mają dość czasu, by ją wyprowadzać i by mogła napaść się do syta. Daje mało mleka. Jeśli nie ma się czterech czy pięciu krów, nie opłaca się zatrudniać pastuszka.

Claudine wyjaśnia, że nie może też ryzykować i wypasać krowy ze stadem jakiegoś hodowcy, bo gdyby uciekła na pole, nie miałaby czym zapłacić za szkody. Cielak nie jest bardziej zaokrąglony od matki, ale jest bardzo żywy. Dwie czy trzy kury droczą się ze sobą w gnoju, wszystkie pisklęta padają łupem dzikich kotów. Za kuchnią, na skraju plantacji bananów, stoi gliniana wygódka z blaszanym daszkiem.

Najbliższy dom to dom Berthe’y, a trzysta metrów niżej stoi przy drodze dom Gilberta i Rodrigue’a, dwóch braci, nastolatków, którzy przeżyli, leżąc ramię w ramię na bagnach. Źródło znajduje się o sześćset metrów od domu Claudine.

O zmierzchu rodzina gromadzi się wokół lampy naftowej, zrobionej z manierki z wetkniętym knotem z pakuł. Od rana do wieczora dom rozwesela niezwykły koncert ptasich śpiewów, swawolnych lub tęsknych. Jednak Claudine marzy o

odbiorniku radiowym albo radiomagnetofonie, by umilić sobie długie czuwanie w ciemnościach. Marzy też o rowerze, który pozwoliłby jej wozić kanistry z wodą i zakupy z N'taramy, transportować kiście bananów na targ, a zwłaszcza częściej bywać w Nyamacie, odwiedzać ludzi i trochę się rozerwać.

Ani susza wypalająca plantację bananów, ani troski o liczną rodzinę, ani ciężka „męska" praca nie wyrywa z niej słowa skargi i nie odbiera ujmującej pogody ducha.

Claudine Kayitesi, 21 lat, chłopka Wzgórze Rugarama (Kanzenze)

To fakt, że u nas ludobójstwo trwało od godziny jedenastej 11 kwietnia do czternastej 14 maja. Byłam w ostatniej, ósmej klasie szkoły w Nyirarukobwie, kiedy się zaczęło. Nauczyło mnie dwóch rzeczy. Po pierwsze, że w języku kinyarwanda brakuje słowa na określenie przewinień zabójców, słowa, które znaczyłoby coś więcej niż niegodziwość, okrucieństwo i tego typu istniejące rzeczy. Nie wiem, czy macie takie słowo w waszym francuskim słowniku.

Drugi wniosek jest gorzki, choć może to nic takiego. Chodzi o to, że ocalali, czasem ci, którzy zbyt wiele wycierpieli, także później spierają się o byle głupstwa, wiedzieni chciwością. Nawet jeśli dzielili się surowym maniokiem i znosili ten sam straszny los, wydrapywali sobie z głowy i pleców wszy i wszelkie robactwo, zjednoczeni jak dzieci w jednej wielkiej rodzinie, nędza i ludzka niewdzięczność mogą ich rozdzielić. Jakby braterstwo, jakże potrzebne na bagnach, zniszczyło w nich na przyszłość skłonność do wzajemnej pomocy i życzliwość.

*

Przed tym fatalnym kwietniem rolnicy z sąsiedztwa byli przejęci pogłoskami o wojnie. Gdy szliśmy czerpać wodę, słyszeliśmy sąsiadów Hutu, którzy w rozmowach rzucali tego rodzaju uwagi: „Tutsi zaczynają już pełzać jak węże, w końcu ich zadepczemy” i podobne pogróżki. Na drodze grupy roześmianych ludzi skandowały groźby. Widziałam na ich ramionach błyszczące maczety, które nie skalały się pracą na plantacji bananów, spodziewałam się więc, że sytuacja szybko ulegnie pogorszeniu.

Gdy rozeszła się wieść o upadku samolotu, dołączyłam do uciekinierów w lesie Kinkwi. Próbowaliśmy się bronić, rzucając kamieniami. Ale byliśmy za słabi i musieliśmy się schronić ze wszystkimi w kościele. Gdy wybuchł pierwszy granat,

byłam na szczęście blisko tylnych drzwi, udało mi się uciec. Wiedziałam, że na wzgórzach jest pełno *interahamwe*, nie oglądając się za siebie, pobiegłam więc prosto na bagna. Słyszałam innych uciekinierów w zaroślach. Wcześniej o bagnach tylko się mówiło. Nigdy wcześniej nie zbliżaliśmy się do nich z powodu komarów, węży i strachu, jaki budziło to wielkie trzęsawisko. Tego dnia biegliśmy, ani przez chwilę nie zwalniając kroku, i zanurzyliśmy się cali w mule.

Nocą eukaliptusowy las wydawał się spokojny, poszliśmy aż do Cyugaro. Uciekinierzy z plantacji bananów, którym się poszczęściło, też z wolna zaczynali się tam schodzić. O świcie szliśmy na mokradła, przedzierali się przez papirusy. Dzieliliśmy się na małe grupki, tak żeby wszyscy razem nie zginęli. Umieszczaliśmy troje dzieci tu, dwoje trochę dalej, kolejną dwójkę w jeszcze innym miejscu. Zwiększaliśmy nasze szanse, kładliśmy się w błocie, przykrywali liśćmi. Przed przybyciem napastników wymienialiśmy parę słów, żeby zapomnieć o strachu; potem nie mogliśmy już nawet szepnąć. Piliśmy zamuloną wodę z bagna. Była okraszona, proszę wybaczyć mi to określenie, krwią trupów.

Już z daleka słyszeliśmy *interahamwe*, bez najmniejszego kłopotu. Śpiewali i gwizdali, strzelali z karabinów w powietrze, ale nigdy nie marnowali kul, żeby zabijać ludzi. W pierwszych dniach przykucali i mówili szeptem, by nas zwabić; „Ej, malutki, mamusiu, wychodźcie, widziałem was…". Nawet najbardziej wystraszonych, którzy nie mogli tego nie posłuchać, nie nagradzano kulą z karabinu. Dlatego później ani chorzy, ani małe dzieci, ani nikt inny nie ruszał się, póki nie usłyszał gwizdków nakazujących odwrót.

Wieczorem, jak mówiła już panu Berthe'a, przyrządzaliśmy posiłek dzieciom, jedliśmy wszystko, co można było znaleźć: maniok, bataty, banany, by się wzmocnić i przetrwać kolejny dzień. Ponieważ nie mogliśmy niczego ze sobą zabrać, robiliśmy zapasy w brzuchu, że się tak wyrażę. Kładliśmy dzieci spać w zagrodzie albo w kuchni, nigdy w domu. Mówiliśmy cicho, żeby nie wzbudzić ciekawości zabójców. Opisywaliśmy trupy, które widzieliśmy w ciągu dnia, jak

zostały ścięte; liczyliśmy, kto rano nie zjawił się na skraju bagna, i odejmowaliśmy tych, których w przeddzień schwytano. Zastanawialiśmy się, kogo zabiją nazajutrz. Po pierwszych dniach masakry nie stawialiśmy już sobie pytania, dlaczego musimy umrzeć. To stało się obojętne. Ale dużo myśleliśmy o tym, jak do tego dojdzie. Próbowaliśmy sobie wyobrazić, jak cierpi się, ginąc od maczety. W każdym razie ja bardzo się tym przejmowałam.

Nigdy nie znajdowaliśmy powodów do zwady, bo myśleliśmy tylko o śmierci i musieliśmy się nawzajem wspierać. Spaliśmy na zmianę. Około piątej rano zaczynaliśmy schodzić na dół, bardzo cicho, bo wiedzieliśmy, że *interahamwe* drzemią. Na skraju bagien czekaliśmy na brzask i ataki, które się zaraz zaczną. Mieliśmy na sobie te same podarte ubrania, nie czuliśmy już wstydu, bo wszyscy wyglądali tak samo. Pomagaliśmy sobie nawzajem wyciągać kilogramy wszy z włosów. Cięły nas komary, ale mieliśmy na sobie taki pancerz z błota, który chronił nas przed malarią. Żyliśmy jak obłąkani. Czas o nas zapomniał. Pewnie dalej płynął dla innych, dla Hutu, dla cudzoziemców, dla zwierząt, ale nie chciał już płynąć dla nas. Czas nas zlekceważył, bo już w nas nie wierzył, i w konsekwencji my nie spodziewaliśmy się po nim niczego. Więc nie czekaliśmy na nic.

W niektóre dni, kiedy chwytali grupkę ludzi, zabierali dziewczynę, nie zabijając od razu, by wziąć ją siłą w domu. W ten sposób dziewczyny ocalały życie jeszcze przez kilka nocy, dzięki urodzie. W naszych stronach mężczyzna sam nie zabije dziewczyny, którą zniewolił, bo boi się złego uroku, gdyby pomieszał różne rodzaje uczuć. Ale później ich koledzy ścinali dziewczyny i rzucali ciała do rowu.

W niektóre dni Hutu pracowali głównie po drugiej stronie bagien, wtedy mogliśmy rozmawiać, a nawet coś zjeść. Nazajutrz pracowali ciężko po naszej stronie; więc nie ośmielaliśmy się już nawet oddychać, a dzieciom doskwierał głód.

Zbrodniarze nie grzebali ciał ofiar, bo zniechęcała ich zbyt wielka liczba. Woleli dokończyć dzieło zabijania, nie trudząc się dodatkowo usuwaniem śladów. Ci ludzie byli pewni, że pozbędą się wszystkich Tutsi, toteż myśleli, że nikt nie będzie się

więcej mieszał w ich sprawy w Rwandzie.

To było dokładnie 30 kwietnia, zeszli wszystkimi ścieżkami. Zaatakowali ze wszystkich stron, to był wielki rozochocony tłum; mieli ambitny plan, by zabijać przez cały dzień, bez przerwy w południe. Tego wieczoru wszędzie na bagnach leżały tysiące trupów i konających; byłam przerażona, leżałam w mulistej wodzie gotowa na wszystko, ale jednak nie śmiałabym wystawić się na maczetę. Nie znam nikogo, kto zadałby sobie śmierć. Myślę, że za bardzo chcieliśmy ocalić życie, by tracić czas na tego typu myśli. Nie znam nikogo, kto wstydziłby się, że ocalał; tylko kilka osób, które czują się źle, jeśli na przykład kiedyś nie zrobiły czegoś ważnego, a mogły to uczynić.

Biali mówią, że ludobójstwo to zwykłe szaleństwo, ale to nie do końca prawda. To była starannie przygotowana i dobrze wykonana praca. Sąsiedzi Hutu mówią, że zabili tylko kilka osób, bo inaczej sami straciliby życie; to prawda tylko w przypadku niektórych. Bo gdzie rolnik leniwy, pole się nie zieleni; kiedy szofer niedbały, ciężarówka się psuje; ale na bagnach liczyliśmy dziesiątki trupów i nie widzieliśmy ospałości czy niedbalstwa naszych rodaków Hutu.

Prawdą jest, że bardzo wielu Hutu nie znosiło Tutsi. Dlaczego? To odwieczne pytanie, które nawiedza wszystkie plantacje bananów. Wiem, że istnieją różnice między Tutsi i Hutu, z powodu których ci ostatni są bardzo podejrzliwi. Tutsi mają czasami dłuższe szyje i bardziej proste nosy. Twarze jakby trochę szczuplejsze. Są bardziej opanowani i dbają o wygląd. Hutu bez obawy idzie do urzędu czy ambulatorium w roboczym ubraniu; Tutsi zmienia strój. Jeśli chodzi o zamożność czy inteligencję, nie ma żadnej różnicy. Wielu Hutu obawia się rzekomej przebiegłości Tutsi, która nie istnieje.

*

Hutu mówili też, że mamy za dużo krów; to nie była prawda. Moi rodzice nie hodowali krów. Nasi sąsiedzi nie mieli krów, a była to liczna rodzina i mieli wiele potrzeb. Krowy czekają na targu na klienta z pieniędzmi, który zechce je kupić.

Prawda jest taka, że Hutu nie lubią krów. Gdy Tutsi ujrzy stado krów w zagajniku, widzi wielkie szczęście. Gdy Hutu zobaczy krowy, widzi tylko kopyta i szkody.

Hutu szeptali także: Tutsi się wywyższają, nie chcą się żenić z kobietami Hutu, nie chcą wnosić wiana rodzinom Hutu. Ale dziewczyna Tutsi, która idzie za mężem na wzgórze pośród Hutu, nie będzie się czuła bezpieczna i wróci z pustymi rękami do swojej rodziny, kiedy Hutu zaczną zabijać Tutsi w okolicy.

Myślę, że ekstremiści Hutu ścinają Tutsi, żeby skrócić ich kobiety, które są na ich gust za wysokie, żeby zjeść ich stada, które wyjadają za dużo trawy, i zająć ich parcele. Dlatego oskarżają Tutsi, że mnożą się jak karaluchy.

Często myślę, że jesteśmy zapomnianymi przez wszystkich mieszkańcami Afryki. Żyjemy w Afryce Francuzów, ale Francuzi patrzą przychylnym okiem jedynie na Hutu. Nie wiem, dlaczego biali nie ufają Tutsi. Może dlatego, że Tutsi mają swoją tradycję i są mniej naturalni. Teraz białych oburza ludobójstwo; ale za plecami mówią, że Tutsi sami je wywołali swym zachowaniem względem Hutu, czy coś w tym rodzaju. Biali nie chcą widzieć tego, w co nie mogą uwierzyć, a nie mogli uwierzyć w ludobójstwo, bo ta rzeź przerasta wszystkich, ich także.

Trzeba jednak przypomnieć o wiele ważniejszą prawdę: nasi afrykańscy bracia nie zrobili nic, tak samo jak biali, by nam ocalić życie, a przecież nikt lepiej od czarnych nie rozumie nieszczęścia czarnych, bo mamy podobne zwyczaje i dziedziczymy języki. Przez tę oschłość serca zostaniemy na wzgórzach sami pośród niepokojących pogróżek.

Jednak cieszę się, że jestem Tutsi, inaczej byłabym Hutu.

*

Tylko raz wróciłam kiedyś z koleżanką na bagna, by zobaczyć kryjówki w błocie, gdzie żyliśmy wtedy, gdzie zginęli wszyscy nasi sąsiedzi. Więcej nigdy już tam nie poszłam. Często nocą we śnie nachodzą mnie obrazy; znów widzę twarze, patrzą na mnie bez słowa, a gdy się budzę, czuję, że między mną i ludźmi, których ścięto, coś jest nie tak. Nie, nie czuję się winna. Nie można mnie oskarżać, bo nie

mogłam nic dla nich zrobić. Jednak nie jestem szczęśliwa, że dostałam szansę. Nie wiem jak to wyrazić, bo chodzi o bardzo intymny związek z ludźmi, których już nie ma wśród żywych. Jestem zmieszana i czuję wielki lęk, kiedy o nich myślę. To nie jest tylko smutek, jak w przypadku zwyczajnych śmierci.

Uprawiam pole, żeby wykarmić dzieci. W dwóch domach mieszka nas dziesięcioro dzieci bez rodziców, ja jestem najstarsza. Sąsiad odnalazł naszą krowę, dała nam już cielaka, daje też trochę mleka najmłodszym i nawozu na plantację bananów. W soboty pracuję jako pomocnica murarza w N'taramie, żeby coś zarobić, dostaję pomoc z fundacji na rzecz ocalałych.

Gdy przechodzę obok kościoła i Miejsca Pamięci, nie mam chęci oglądać wszystkich tych kości bez imion. Jednak byłam tam kilka razy z zagranicznymi gośćmi, którzy pomylili drogę, i nie mogłam się powstrzymać, by nie patrzeć na czaszki. Czułam się nieswojo na widok tych pustych oczodołów ludzi, którzy być może nie znaleźli wytchnienia po tym, co wycierpieli, i nie mogą ukryć pod ziemią swojego upokorzenia.

Gdy *interahamwe* kogoś zabili, często zabierali ubranie, jeśli uznali, że może im się przydać. A kiedy my znajdowaliśmy te nagie, pokaleczone trupy ludzi starszych, młodych dziewczyn, wszystkich, ta nagość w straszliwy sposób szarpała nam nerwy. Te nagie ciała porzucone przez czas nie były już całkiem nimi, nie byliśmy to też jeszcze my. To był koszmar na jawie, nie sądzę, by mógł pan to zrozumieć.

Czasem chodzę modlić się do kościoła, bo tak się składa, że zostałam ochrzczona. Teraz proszę Boga tylko o jedno: by pomógł mi nie czuć złości do tych, którzy wyrządzili nam tyle zła. O nic więcej, naprawdę. Nie chcę znać smaku zemsty.

Nie mówię kategorycznie, że nigdy nie wyjdę za mąż. Ale który mężczyzna chciałby wydawać pieniądze, żeby wyżywić wszystkie te opuszczone dzieci, które karmię w mym domu. W Afryce, gdy jesteś w kłopocie, przyjaciel przychodzi do ciebie z trunkiem; pociesza cię dobrym słowem, poświęca cały swój czas, by

podnieść cię na duchu, troszczy się o ciebie, jeśli masz gorączkę; ale gdy chodzi o pieniężne wsparcie czy datek, jest inaczej. W Afryce przy podziale rzeczy materialnych bardzo liczą się więzy krwi. Poza rodziną chętniej rzuca się miłe słowo niż banknoty.

Często wspominam siebie sprzed lat, z tatą i mamą, z braćmi i siostrami, myślę o szkolnych ławkach, książkach, które lubiłam gładzić ręką, o zawodzie nauczycielki, o którym marzyłam, i trudno mi cieszyć się życiem. Przedtem lubiłam czytać książkowe historie. Dziś czas przestał mi pomagać, nie mam sposobności i dawno nie widziałam żadnej książki na oczy. Nie wydaje mi się, by ludobójstwo bardzo mnie zmieniło, tyle że jestem samotna i to często mi ciąży. Gdy czuję się zagubiona pośród smutnych myśli, wstaję i idę do sąsiadów, sierot tak jak my, włączamy sobie słuchowisko w radiu. Bardzo to lubię. Wyobrażamy sobie jakieś inne osoby i przypadki z ich życia.

Myślę, że mimo wszystko dobrze jest opowiadać o tym, co się stało. Nawet gdy trudno jest nam, ocalałym, powracać do tych wspomnień w rozmowie z cudzoziemcem i nawet jeśli prawda nie trafia do zatwardziałych serc. Ale nie mogę panu pomóc, jeśli chodzi o wyjaśnienie źródeł ludobójstwa.

Myślę zresztą, że nikt nie napisze nigdy całej prawdy o tej dziwnej tragedii; ani profesorowie z Kigali czy z Europy, ani intelektualiści albo politycy. Każde wyjaśnienie tego, co się zdarzyło, będzie się chwiało jak stół na nierównych nogach. Ludobójstwo to nie byle chwast wyrosły na dwóch czy trzech cienkich korzonkach; tylko na węźle korzeni, które długo gniły pod ziemią i nikt ich nie zauważył.

Ja nie łamię już sobie głowy, by zrozumieć moich dawnych sąsiadów. Czasem z tego wszystkiego żartuję, by dodać sobie otuchy, lecz moje wargi wiedzą, że okłamują serce. To przekleństwo okropnie mną wstrząsnęło, chowam to dla siebie, staram się nie wybuchnąć, jestem spokojna ze względu na dzieci.

Zmierzch nad izbą przyjęć

Wieczorem w Nyarunazi, gdy tylko słońce zanurzy się w bagnach Rulindo za rzeką Akanyaru, mężczyźni wychodzą z domów i spotykają się w dawnym składzie ziarna. Siadają na ziemi albo na niskich stołkach, opierają się o ściany. Ktoś stawia na środku kanister z *urwagwą* i wsuwa trzcinę w otwór. Mężczyźni po kolei kucają przy pojemniku, by pociągnąć parę haustów. Gawędzą w ciemności o czasach przed wojną, kiedy Nyarunazi, osada na skraju kauczukowego lasu, w połowie drogi między N'taramą i Kibungo, szczyciła się ruchliwym targiem. Mówią też o kobietach, których już tu nie ma, i o tych, które nie są już takie jak kiedyś. Droczą się z właścicielem warsztatu, który za pół darmo pozbył się swojego ostatniego lewarka, i kpią z radia, które zgasło, bo wysiadły baterie. Potem piją bez słowa, a następnie zapadają w drzemkę pod ścianą magazynu lub wracają chwiejnym krokiem do domów.

Gwiazdy na bezchmurnym niebie to jedyne oświetlenie osady. Po ścieżce biegnącej z Nyarunazi do szerszego traktu suną w niewielkich grupkach milczące sylwetki. Czasem rozmawiają po cichu, jakby bały się zakłócić sen bananowcom. W środku nocy w Bugeserze najwęższa ścieżka nigdy nie jest pusta. Ludzie bez przerwy krążą po swych wzgórzach. Urzędnicy z marynarką na ramieniu, których zatrzymało zebranie, rolnicy, którzy zasiedzieli się w kabarecie przy ostatnim primusie, kobiety idące wolno z przytroczonymi na plecach dziećmi czy z workami fasoli na głowie. Między przenikliwe *tjo ooo* nocnych dzierzbików i ryk bydła wkradają się monotonne wezwania kukułek. Wielu starszych rolników sunie mozolnie, podpierając się kijem, kobieta za mężczyzną, maszerują tak już od popołudnia. Inni wyruszają nocą, by o świcie złapać ciężarówkę i udać się do Kigali.

Gdy zbliżamy się do Nyamaty, do dzielnicy Gatare, nad bajorami mokradeł unosi

się hałaśliwa kakofonia żabiego rechotu. Czerwone żagwie ogniska rozjaśniają twarze ludzi na podwórkach, dzieci buszują po zaroślach. Na boisku dzieciarnia gra w ciemnościach do jednej bramki, by jak najdłużej móc cieszyć się prawdziwą skórzaną piłką, pożyczoną przez starszych aż do jutra rano.

Na głównej ulicy czerwony pył osiadł na ziemię, gdy tylko zapadła noc i ucichł wiatr. Ostatnie samochody wjechały za palisady, kozy na małym targu drzemią ze spętanymi nogami. Na placu dorośli gawędzą, słuchając muzyki przed salonem fryzjerskim. Motorowery przewożą pary, które splata ze sobą miłość lub wyboista droga. Nikłe światło neonów oświetla wejścia do kabaretów. Chicago, siedząc na skrzynce pod daszkiem, nadzoruje wydawanie skrzyń z piwem, które opuszczają hurtownię. Chicago jest jednym z nielicznych korpulentnych mężczyzn w miasteczku, stąd pewnie jego przydomek i poczciwy charakter. Za pomocą rozszywacza ściąga kapsle z butelek i wsuwa nam je w dłonie jak dowód przestępstwa. Przeżył masakry, przemierzając pieszo trasę z Gikongoro, miasta na południu, gdzie nigdy więcej nie wrócił do swoich interesów.

Przed skrzyżowaniem stoi zaparkowana nowa półciężarówka Théoneste'a, pierwsza od czasu wojny. Théoneste nosi wąsik i ubrania wyróżniające „diasporę z Kigali". Kiedyś, gdy notable nosili garnitury, a ich żony szykowne tuniki, był najbardziej cenionym krawcem w całym regionie. Należał do ekipy z lasu na Kayumbie, wraz z Innocentem, Dominikiem, który jest jednym z dyrektorów ośrodka reedukacji, z Benoit, dobrodusznym kowbojem... tej dwudziestki sprinterów, która ocalała. Théoneste dokonał wyjątkowego wyczynu, uciekając ze wzgórza, by przy trzeciej próbie dotrzeć do granicy z Burundi. Pewnie to graniczące z cudem dokonanie sprawia, że stojąc w gronie ludzi, co chwila wybucha szalonym śmiechem. W jego zakładzie zawsze pełno jest popijających mężczyzn.

O arkadę dalej neon wskazuje wejście do Clubu, miejsca spotkań młodych ludzi z dobrych rodzin z Burundi, którzy z tęsknotą wspominają noce w Bujumburze.

Trochę dalej przy głównej ulicy napis na rozpiętym na dwóch palikach niebieskim płótnie zapowiada otwarcie nowej restauracji o nazwie Izba Przyjęć. Ściany są w kolorze oliwkowej zieleni, stoły przykrywają wyszywane serwety z tkaniny na *pagne*. Szefowa nazywa się Sylvie Umubyeyi. Przychodzi tu tylko wieczorem, by pogawędzić z klientami i nadzorować interes, gdyż w ciągu dnia znika w buszu.

Już przy pierwszym spotkaniu podziwiam piękne czarne oczy Sylvie, niezwykle pogodne, świetliste. Jej słodki głos urzeka, podobnie jak elegancki język, gdy na pytanie o sekret jej zgrabnych zdań odpowiada na przykład: „To płynie samo z siebie, bo jeśli ktoś stamtąd wrócił, wrócił z podróży do nagości życia”.

Sylvie jest ocalałą z Butare, uniwersyteckiego miasta w południowo-zachodniej części kraju. Gdy po zakończeniu ludobójstwa przybyła do Nyamaty, nie znała w mieście nikogo, tym bardziej w zdewastowanej okolicy, opustoszałej lub zaludnionej przez trupy. Teraz jest asystentką socjalną na wzgórzach, gdzie co rano wraz ze swą ekipą wykonuje niecodzienny zawód.

Wcześnie rano wyrusza półciężarówką przez pola i zagajniki, przemierza plantacje bananów, przeciera sobie drogę przez las w poszukiwaniu dzieci, które wyszły z bagien, wróciły z obozów w Kongu, kryją się w opuszczonych lepiankach, błąkają się w buszu czy po polach fasoli. Odwiedza je, spisuje, nawiązuje z nimi rozmowę i rusza dalej.

Gdy zbliża się do glinianej rudery, radosnym wołaniem obwieszcza swe przybycie, ściska dłonie dzieci, które wychodzą z pól i okolicznych zarośli. Zagląda do zagrody, przygląda się blaszanemu dachowi, który przecieka, sprawdza stan mundurków i szkolnych zeszytów, pyta o kurę, rozmawia z dziećmi i nastolatkami o zasiewach, bezsenności, ucieczkach. Siada na pniu, mówi łagodnym, wesołym głosem, słucha, nie troszcząc się o czas. Jej narzędzia pracy to oprawiony w skórę notes i jednorazowy długopis, który obraca w ruchliwych palcach. Sylvie jest praktyczna, wymagająca i drobiazgowa.

Dzięki oszczędnościom kupiła każdemu z pięciorga swoich dzieci krowę, otworzyła niedawno restaurację Izba Przyjęć, by móc utrzymać powiększoną rodzinę, która zaludnia jej dom. Tryska energią, bo kocha swoją pracę. Jest zalotna, bo „nie czuje swych lat”, każdego dnia zakłada coś innego, kwiecistą suknię, obcisłe dżinsy czy barwny *pagne*. Jest promienna i wyjątkowo trzeźwo spogląda na świat. Gdy opowiada swą historię, czasami szczypie się u nasady nosa i zamyka oczy, przez dłuższą chwilę słucha cykania świerszczy, by powstrzymać łzę.

Sylvie Umubyeyi, 34 lata, asystentka socjalna Nyamata, Gatare

Wyruszyliśmy w trzy czy cztery rodziny dużym samochodem do Kirundo. Był koniec czerwca. Ja przeżyłam w Butare, ale nie miałam nadziei, że wrócę do domu, bo rzezie jeszcze się tam nie skończyły.

W tych dniach było jeszcze nie do pomyślenia, by pojechać do dowolnej prefektury w kraju. Jechaliśmy więc przez Bugeserę, której zupełnie nie znałam. To był pierwszy region, gdzie było już trochę bezpieczniej, gdyż ludobójstwo zostało tu niedawno przerwane. Przypominał wielką pustynię. Nie można było jeszcze swobodnie chodzić po okolicy, a jeśli ktoś oddalał się od drogi, na przykład by na polach znaleźć coś do jedzenia, musiał iść z kimś z obawy przed maruderami *interahamwe*.

Przybyliśmy do Nyamaty i nie mogliśmy jechać dalej; wysadzili nas przed urzędem gminy. Szukaliśmy domu, żeby ulokować się po jednej czy po dwie rodziny w pokoju. Przed wojną mówiło się, że Nyamata to przyjemne miasteczko. Ale już na pierwszy rzut oka widziałam, że wojna zrobiła swoje, było dużo spalonych domów, kalekich i poranionych ludzi. Miasto było okropnie brudne. Przede wszystkim brakowało bardzo wielu ludzi. Po drodze dowiedziałam się o masakrach w kościołach, wiedziałam, że prawie wszyscy mieszkańcy zginęli jak w Butare. Od razu poczułam, że ciężko tu będzie żyć.

Bardzo szybko przekonaliśmy się, że ludzie przeżyli tu wielki wstrząs i każdy starał się żyć tylko na własny rachunek. Domyślaliśmy się, że nic ich nie obchodzi, nie widzą żadnej przyszłości, nie mają nadziei, zdawało się, że umysł ich zawodzi. Podam przykład. Raz trafiliśmy przypadkiem na jakiś zniszczony dom i weszliśmy, żeby przywitać się z ludźmi; zobaczyliśmy małą rodzinę leżącą pokotem na ziemi; spytaliśmy mężczyznę: „Dlaczego tu śpisz, w pyle, w tej ruinie, nie dbając o

bliskich?”. Odpowiedział, nawet nie wstając: „Już się tym nie przejmuję. Miałem żonę, ale nie żyje. Miałem dom, ale jest w ruinie. Miałem dzieci i wiele zabito. Straciłem wszystko, na czym mi zależało”.

Podróżowałam z mężem, dwójką dzieci, moim młodszym rodzeństwem i noworodkiem, którego wydałam na świat w czasie ludobójstwa. W Nyamacie przez pierwsze trzy miesiące prawie nie wychodziłam z domu, zajmując się gospodarstwem. Życie było trudne, bo nie było niczego. Trzeba było chodzić przez cztery czy pięć godzin, żeby napełnić wiadro pitną wodą; tak samo było z jedzeniem i drewnem na opał.

To, że nie znaliśmy nikogo w okolicy, nie było problemem, gdyż przybyliśmy z Butare niewielką grupą znajomych, a zresztą tu na miejscu każdy zachowywał się tak, jakby nikogo nie znał. Później, we wrześniu, dowiedziałam się, że jakaś kanadyjska organizacja poszukuje asystentki socjalnej. Poszłam na rozmowę, zdobyłam zajęcie. Zaczęłam jeździć po wzgórzach. Wtedy ujrzałam nagość życia.

*

W tym czasie po mieście jeździły tylko nieliczne samochody. Jeden zawoził nas o ósmej rano do buszu, ruszaliśmy na piechotę i przyjeżdżał po nas w to samo miejsce o siedemnastej. Tak rozpoczęliśmy poszukiwania opuszczonych dzieci - to znaczy dzieci bez rodziców czy dorosłych opiekunów - które w wyniku masakr rozpierzchły się po wzgórzach. To trwa do dziś. Nadal odwiedzamy domy, chodzimy po plantacjach bananów, znajdujemy dzieci, które żyją gromadą, a czasami same w jakiejś lepiance, gdzie nie ma nawet koca ani na czym usiąść.

Spotkania z tymi dziećmi bardzo mnie poruszają, bo ich sytuacja jest pod każdym względem godna pożałowania. Każde przeżyło jakąś straszną historię: jedne ocalały na polach sorgo, inne na bagnach albo w jakimś rowie, jeszcze inne zawędrowały daleko, poza granice kraju, po drogach pełnych pułapek. Te dzieci są zszokowane, każde na inny sposób. Niektóre chcą rozmawiać, ale nie są w stanie poukładać myśli. Inne nie umieją już niczego wyrazić, potrafią tylko płakać. Jeszcze

inne mówią: „Rozpłakałem się, ale oni jednak zabili tatę, mamę. Płakałem, ale nie mam co jeść, nie mam dachu nad głową. Płakałem, ale nie mam z czym pójść do szkoły. Teraz nie chcę już nawet płakać, ani za siebie, ani za nikogo”.

Są dzieci, które mówiły bez trudu po ludobójstwie, ale teraz milczą. Nie widzą już sensu, by cokolwiek mówić. Na początku opowiadały o rzeziach jakby to były jakieś niesamowite i straszne historie, jakby były niezwykle ważne, ale musiały się skończyć, gdy tylko się je opowie lub musiały się skończyć, gdy ktoś ich z uwagą wysłucha. Później ich nadzieje rozwiały się wraz ze słowami. Czas uświadomił im, jak bardzo zmieniło się ich życie, jak bardzo prawdziwe były te historie. Rozpamiętują, co przeżyły na bagnach, rozumieją, że już nikt nie zastąpi im tych, których straciły, zamykają się w milczącym złym śnie. Jedne są sfrustrowane, inne zaburzone albo zbuntowane. Ale ja z wolna do nich przywykłam.

By nawiązać nić porozumienia z kimś, kto został tak ciężko doświadczony przez życie, trzeba go najpierw ośmielić, by trochę się otworzył i uwolnił od paru myśli, w których ujawnią się węzły wewnętrznego chaosu. Aby to osiągnąć, przyjmuję prostą strategię. Zbliżam się do tej osoby, przez chwilę milczę, potem zaczynam mówić: „Ja też ocalałam. Oni robili wszystko, bym ja także nie żyła. Ja też wiem, że wszyscy moi krewni są martwi, widziałam, jak parę metrów ode mnie *interahamwe* przebijali ludzi dzidami. Ja też to wszystko przeżyłam. Oboje będziemy odtąd żyć z tymi prawdami". Dla tej osoby przestaję już być tak obca i zaczyna powoli nabierać zaufania.

Ludobójstwo nie przypomina jakiejkolwiek wojny. To pewnik, jaki wyniosłam z wędrówek po wzgórzach. Dzielenie się wiedzą o ludobójstwie z kimś, kto to przeżył, bardzo różni się od dzielenia się tym z osobą, która tylko o tym słyszała.

Po ludobójstwie w umyśle ocalałego pozostaje ukryta rana, której nigdy nie będzie mógł ujawnić w obecności innych. Sami nie wiemy dokładnie, czym jest ta ukryta rana, ale przynajmniej wiemy, że istnieje. Ci, którzy nie przeżyli ludobójstwa, nie widzą tam nic. Jeśli wykażą dużo dobrej woli, może kiedyś

dostrzegą skrywany ból, który odczuwamy. Ale zabierze to dużo czasu, nawet jeśli będą to Tutsi z Rwandy czy Burundi, nawet jeśli stracili w masakrach rodziny i przyjaciół. Nie umiem wyjaśnić dlaczego, ale wiem, że to będzie trwało. Nie znam historii innych przypadków ludobójstwa, ale domyślam się, że zawsze docierało to z opóźnieniem: ci, którzy nie przeżyli ludobójstwa, nawet jeśli naprawdę się trudzą, będą potrzebowali czasu, żeby zrozumieć choć trochę.

*

W przypadku dziecka, które było świadkiem ludobójstwa, ważne jest także, by natychmiast ulżyć choć trochę jego materialnej nędzy. Znaleźć dla niego lekarstwa, jeżeli jest chore. Izbę w jakimś domu, dać mu jeść, ubrać, wyposażyć do szkoły, jeśli może tam wrócić, załatwić narzędzia, jeśli będzie uprawiało pole. Dzięki temu nie będzie się już czuło tak bardzo opuszczone, zrozumie, że jest dla kogoś ważne i że ma miejsce w społeczeństwie. Potem należy popchnąć je w stronę innych dzieci. Dzieci z łatwością rozmawiają ze sobą o tym, co przeżyły, i to odblokowuje język. Później trzeba wysłuchać, co każde ma do powiedzenia, by pomóc im rozwiązać ich problem i znaleźć nowe słowa, by mogły do końca wypowiedzieć wszystko.

Muszę zwrócić uwagę na coś bardzo ważnego: ludobójstwo zmieniło znaczenie niektórych słów w języku ocalałych; i dosłownie odebrało sens wielu innym słowom, toteż ten, kto słucha, musi być czujny na to mylenie znaczeń.

Jednak z czasem spostrzegłam, że dzieci nie są najbardziej poszkodowane w wyniku ludobójstwa, bo kiedy ci młodzi ludzie zaczną smakować życie, są w stanie odnaleźć siebie w sposób bardziej spontaniczny. Czują jeszcze potrzebę przyjemności. Rzecz jasna, prócz sytuacji, gdy przeżyły wielką traumę i nie chcą już nawet mówić.

Najtrudniej jest w przypadku nastolatków i starców. Nastolatki cierpią bardziej niż inni, nie mogąc zrozumieć. Nie mogą pogodzić się z tym, że *interahamwe* chcieli ich zgładzić ot tak, bez uprzednich pogróżek czy zatargów. Nastolatki beztrosko zbliżały się do wrót życia i nie pozwolono im wejść, grożąc maczetą.

Odtąd myślą tylko o jednym: dlaczego. Pytają: „Co takiego ma w sobie moja twarz, o czym nie wiem, jaki znak mam na sobie, którego Hutu nie znoszą, bo przecież nic im nie zrobiłem? Dlaczego trzeba było zabić moich rodziców, którzy po prostu spokojnie uprawiali ziemię? Jak mam żyć obok ludzi, którzy myślą tylko, żeby mnie zabić bez słowa wyjaśnienia?”. Dla wielu z nich dorosłe życie staje się zbyt zagmatwane. Na przykład dla wszystkich tych dziewcząt, które zachodzą teraz w ciążę z byle kim, bez podjęcia decyzji, bez zdziwienia, ani przez chwilę nie troszcząc się o przyszłość dziecka.

Jednak kiedy nastolatki są we własnym gronie, gdy mówią o tym ze sobą, wymieniają opinie, dzielą te same uczucia, wyciszają swe niepokoje. Niektórzy zaczynają nawet rozmawiać z młodymi Hutu i w tych rozmowach jest jakieś światełko nadziei.

Gdy chodzi o osoby starsze, są niepocieszone, bo wszystko straciły. Wychowały dzieci, które na starość miały zadbać o ich ubranie, żywić, darzyć czułością, a teraz nie mają wokół siebie nikogo. Strata dzieci była jak strata rąk i nóg na starcie do ostatniego etapu ich życia. Starzy ludzie powtarzają: „Wyżywiłem zdrowych synów i córki, synowie dobrze się pożenili, córki wyszły za mąż i wszyscy zginęli na bagnach. Kto mnie teraz wesprze, kiedy nadchodzi starość? Kto mi pomoże w chorobie i rozproszy smutek?” Teraz widzą przed sobą już tylko samotność i nędzę; jest im naprawdę trudno nie błądzić myślami w przepaści wspomnień.

Są także dzieci Hutu, które zawędrowały do Konga i wróciły do domów. Gołym okiem nie widać żadnej różnicy, tyle że dzieci, które odbyły tę długą podróż, nie mogą usiedzieć na miejscu, chcą nagle porzucić szkołę czy rodzinę, wyjść na ulicę, lubią znikać w buszu. Kiedy się z nimi rozmawia, kiedy się je pyta, jak stąd uciekły, z kim podróżowały, co robiły w obozach, jak obecnie żyją, coś opowiadają, rzucają parę szczegółów, ale nagle przy jakimś słowie stop! Wymigują się, mówią, że nie chcą ciągnąć tej rozmowy.

Dzieci, które przeżyły na bagnach Nyamwiza, zaglądały w największe mroki zła,

ale przez pewien czas. Jeżeli się je chwyci i zacznie powoli wyciągać, to może się jeszcze udać.

Te, które powędrowały do Konga, żyły w zamęcie i trwodze przez bardzo długi czas. W obozach w Gomie musiały sobie jakoś radzić, żeby przeżyć, nikt się już nimi nie zajmował, nikt ich nie akceptował, wróciły, nie mając kompletnie niczego. Nie czują się dobrze w swojej własnej skórze.

Te, które przeżyły ludobójstwo, nigdy nie uwolnią się od wspomnień, ale mogą odnaleźć ślady prawdziwego życia, ponieważ mogą powiedzieć prawdę i są otoczone ludźmi, którzy mówią prawdę. Boją się wielu zagrożeń, ale nie boją się kłamstwa.

Zaś dzieci, które wracają z Konga, są zawsze milczące, nie patrzą w oczy osobie, z którą rozmawiają. Rodzice niektórych nie żyją lub zaginęli w czasie ucieczki. Te dzieci mówią, że o niczym nie wiedzą. Rodzice innych są w więzieniu, pytamy je, czy wiedzą, dlaczego, unikają odpowiedzi. Mówią, że chorowały, że ich tu nie było, że podczas ludobójstwa nic nie widziały, nic nie słyszały. Żyją w ciągłym strachu, że ktoś coś na nie powie i je także zabiorą. I nawet jeśli ośmielają się cokolwiek wyznać, nawet jeśli chcą pozbyć się ciężaru, nawet gdy próbują wyjawić, co wiedzą, nie mówią prawdy. Wymyślają sobie alibi, by przekonać, że w niczym nie brały udziału. Boją się, że będą maltretowane. I nie ma wątpliwości, że z upływem lat czują się coraz bardziej winne z powodu tego, co zrobili rodzice.

Problemy dzieci Tutsi, które przeżyły masakry, zmieniają się z czasem. Ich wspomnienia to zbyt ciężkie brzemię, które się jednak zmniejsza, ponieważ dorastają.

Dla dzieci Hutu, które powędrowały do Konga, ciężar pozostaje ten sam, bo nie patrzą przeszłości prosto w twarz. Milczenie utrwala w nich strach. Czas je odpycha. Składam im kolejne wizyty i nic się nie zmienia. Dostrzegamy, że w ich głowach troski nieustannie przepędzają pozytywne myśli. Staramy się jak możemy zachęcić je do mówienia. Jednak nie będą mogły stanąć na własnych nogach, jeśli nie

opowiedzą o swoich wewnętrznych rozterkach. Więc w ich obecności trzeba być bardzo łagodnym i cierpliwym, trzeba je bardzo regularnie odwiedzać, by z czasem zrodziła się przyjaźń. W kilku rodzinach, do których zaglądam od samego początku, dzieci opowiadały, co działo się podczas ludobójstwa, co w tym czasie widziały na własne oczy wokół domu, opowiadały o złu, jakie ich rodzice wyrządzali innym. Teraz czują się bardziej swobodnie w gronie ocalałych dzieci, z którymi zaczynają się spotykać.

Dzieci często wpadają w bezdenną rozpacz lub panikę; zwłaszcza podczas snu. Odtwarzają w myślach to, co widziały, krzyczą, płaczą, czasem zaczynają biec w ciemnościach lub prosić o litość. To niepokoi innych mieszkańców domu i wszystkie spędzają bezsenną noc. Gdy jakieś dziecko czy nastolatek przeżywa taki kryzys, trzeba siąść obok niego i zapytać, czy chce o tym wszystkim pomówić. Jeśli jestem na miejscu, zaczynam opowiadać, ono mi odpowiada, mówię mu o wszystkim, co mi się przydarzyło, ono mówi o wszystkim, co przydarzyło się jemu, jak już panu wspominałam, i w końcu wraca spokój. Biorę w nawias część mojej egzystencji, ale jestem przygotowana na różne pytania. Jeśli nawet nie mogę wyjaśnić mu, dlaczego to się stało, najważniejsze, by poczuł się mniej samotny jako osoba, która ocalała.

Lubię rozmawiać o tym wszystkim z dziećmi, ze znajomymi, z kolegami. Tak czy owak, nie ma dnia, bym nie myślała o tych wydarzeniach; toteż lepiej jest o nich mówić. Ludobójstwo to film, który co dzień przepływa przed oczami tego, kto ocalał, i nie zda się na nic przerywać go przed końcem. Lubię moją pracę, wcale mnie nie męczy, przeciwnie. W pełni realizuję program. Rozmowy z dziećmi pomagają mi trochę lepiej zrozumieć ludobójstwo.

Trzymam od tego z dala moje najmłodsze dzieci, bo jeszcze nie czas, by im o tym mówić. Jeśli im opowiem o strasznej sytuacji, w jakiej się znajdowałam, moje słowa mogą nieść ze sobą żal, nienawiść, frustrację, których małe dzieci nie są w stanie zrozumieć. Mogę w ten sposób rozbudzać w nich dystans do ludzi. To bardzo

trudne zadanie, bo dzieci, które nie przeżyły rzezi, nie powinny cierpieć z powodu zaburzeń rodziców. Nawet jeśli dla kogoś życie się zatrzymało, dla jego dzieci trwa nadal. Kiedy moje dorosną, odpowiem im na pytania, które przyniosą ze szkoły. Nie będę przed nimi niczego ukrywać, gdyż ludobójstwo jest wpisane w historię Rwandy, ale chcę, by upłynęło jeszcze wiele czasu, nim zobaczą tę krew.

*

Urodziłam się w prowincji Butare. Mój ojciec był bibliotekarzem w narodowym uniwersytecie Rwandy, matka była nauczycielką w szkole podstawowej. Było nas dziewięcioro, byłam drugim dzieckiem. Cała nasza rodzina liczyła sobie ponad dwieście osób, mieszkających w dwunastu domach przy jednej ulicy w dzielnicy Runyina, o osiemnaście kilometrów od centrum miasta. Wzrastałam we wspaniałej rodzinie. Opiekowali się mną dziadkowie, babcie oraz osoby, które wy nazywacie wujkami i ciociami. Nigdy nie słyszałam, by moi rodzice się kłócili. Zarabiali trochę pieniędzy, a że uprawialiśmy parcelę, prawie niczego nie trzeba było kupować. Byłam bardzo szczęśliwa, bo nie miałam żadnych problemów. Skończyłam liceum, wstąpiłam na wydział socjologii, moją ambicją było skończyć studia. Wyszłam za mąż za nauczyciela z przyszłością, zamieszkaliśmy w przyzwoitym domu z małym ogródkiem, który pielęgnowałam. Życie było takie dobre.

W Butare Tutsi i Hutu żyli ze sobą bez żadnych zatargów, zwłaszcza w dzielnicach, gdzie mieszkali nauczyciele. Niedaleko naszego domu był kabaret, gdzie od zawsze spotykaliśmy się z przyjaciółmi, rozmawialiśmy i jedli szaszłyki. To zmieniło się w jednej chwili, po informacji o śmierci prezydenta. W dniu niespodziewanego zamachu na Habyarimanę kolega, z którym chętnie dzieliliśmy się piwem i nowinami z miasta, nie chciał spojrzeć nam w oczy. Tego dnia uświadomiłam sobie, jak źle myślą o nas nasi przyjaciele, których nigdy o to nie podejrzewaliśmy.

W rodzinach Tutsi unikaliśmy rozmów o starciach żołnierzy z Ugandy z

wojskiem Habyarimany. Być może Hutu często rozmawiali o tym w swoim gronie; może z tego powodu nas znienawidzili, kryjąc to przed nami. Naprawdę byłam tak zaskoczona, że nie mogłam niczego zrozumieć.

Po upadku samolotu polecono nam zostać w domach i nie wychodzić nawet na targ. Pilnowali nas żołnierze, nie wiedzieliśmy, co szykują, ale jeszcze nikt nas nie zabijał. 9 czy 10 kwietnia w całym kraju sytuacja zrobiła się poważna. Słyszeliśmy przez radio czy dowiadywali z plotek, że w Kigali sytuacja jest bardzo niedobra, i rozchodziły się złe wieści o trupach leżących na drogach we wszystkich regionach kraju. Ale u nas sytuacja była nadal spokojna, tyle że wielu ludzi zaczęło umierać z głodu w swoich domach. Na razie dyskutowaliśmy i stawialiśmy sobie tego rodzaju pytania: skoro nie wiemy, czy katastrofa samolotu nie była przypadkiem, dlaczego wieśniacy Hutu już godzinę potem ruszyli zwartymi kolumnami, zabijać wieśniaków Tutsi? Oraz inne pytania, na które też nie było odpowiedzi.

Któregoś ranka żołnierze otworzyli drzwi i pozwolili nam w ten jeden dzień zaopatrzyć się w żywność. Było to 19 kwietnia. Mąż poszedł więc na targ. Kiedy wrócił, powiedział: „W mieście jest bardzo niebezpiecznie, *interahamwe* zaczęli zabijać. Musimy natychmiast uciekać”. Czułam się bardzo źle, byłam osłabiona, bo niedawno urodziłam dziecko, ale odpowiedziałam bez słowa protestu: „Dobrze, spakuję walizkę”. Powiedział: „Nie, nie ma już czasu, musimy uciekać”. Nawet się nie przebrałam, włożyłam nasze dyplomy do kuferka z dziecięcą bielizną i wyszliśmy z domu z dziećmi na rękach. Na szczęście udało nam się znaleźć miejsce w ciężarówce, za którą zapłaciliśmy wraz z jakąś inną rodziną. Jechała do Burundi, gdyż Butare leży niedaleko od granicy.

Wtedy na drodze zobaczyłam całe okrucieństwo wojny. To znaczy leżące wszędzie trupy, konających z okaleczonymi ciałami, którzy ruszali się jeszcze i jęczeli, Hutu, uradowanych własnym okrucieństwem. Tuż przed granicą zostaliśmy zatrzymani przy ostatniej blokadzie. Tłum uciekinierów rósł z chwili na chwilę: schodzili z pól, wychodzili z rzeki, biegli drogą, krzyczeli. *Interahamwe* i żołnierze

ścinali kogo popadło. Ci zbrodniarze przypominali jakąś dziką hordę, naprawdę, zostawiali wokół tylko trupy i ludzi w agonii.

Siedliśmy więc na ziemi i czekali na śmierć. Uwolniłam się już od strachu. Przyzwyczajałam się do zamieszania i wrzasków, czekałam na żelazne ostrze. Czasem z początku boimy się jakiejś sytuacji, ale potem czujemy coś w rodzaju znieczulenia. Cierpliwie czekałam. Nagle usłyszeliśmy strzały z karabinów. Myślę, że chodziło o jakiś zatarg między żołnierzami. Poczułam, jak rusza się moje dziecko, pomyślałam o niedoszłych mamach, którym rozcinano brzuchy maczetą, chwyciłam jedno dziecko za rękę, mąż wziął drugie w ramiona, zaczęłam biec, nie myśląc już o niczym, pośród szalonej jatki, i zderzyłam się nagle z burundyjskim celnikiem. Powiedział coś takiego: „No, dla pani to już koniec, teraz musi pani odpocząć". W chwilę później ujrzałam w dali za szlabanem mnóstwo leżących na ziemi ludzi. Bardzo lubiłam Butare. Po pierwsze dlatego, że urodziłam się w tej prefekturze, po drugie, dobrze się tam czułam. Było to średniej wielkości miasto, gdzie miałam wielu znajomych z obu grup etnicznych. Później wróciłam do domu, w którym zabito moich rodziców, by pochować ich po chrześcijańsku. Zostałam tylko tak długo, jak to było konieczne.

Przed wojną Rwandyjczyk nie mógł zamieszkać byle gdzie, jak u was. Twierdził: „Nie mogę żyć tam, gdzie nie ma mojej rodziny, domu, sąsiadów, moich krów”. Jeśli wyruszał w świat, zawsze wracał tam, gdzie żyła jego rodzina. Teraz kiedy odwiedzam Butare, jest mi przykro, bo nie ma tam już dla mnie życia. Gdy tam, gdzie kiedyś żyliśmy, nie znajdujemy nikogo, z kim moglibyśmy pomówić, ogarnia nas smutek. Na przedmieściach nikt już właściwie nie mieszka. W centrum miasta widuję wiele nowych twarzy i nie spotykam nikogo z moich dawnych znajomych. W Butare znów uroczyście otwarto po wojnie wiele wydziałów, instytutów naukowych, szkół wyższych, jednak mam wrażenie, że życie intelektualne załamało się. Odnalazłam zaledwie cztery osoby ze szkoły, inni nie żyją. W naszej dzielnicy Runyina tylko busz powrócił, by zająć się ruinami domów. Byliśmy wielką rodziną

liczącą około dwustu osób, została nas dwudziestka.

Kiedy spotykam w Butare któregoś z dobrych znajomych Hutu, stara się mnie unikać. Pozdrawia mnie, pytamy się, co słychać, i mija mnie, by nie zaczynać rozmowy. Od razu powstaje uczucie zażenowania, nawet jeśli nie okazuję, że żywię urazę, i nawet jeśli jest to porządny człowiek. Powie: „Wybacz mi, Sylvie, bardzo mi się śpieszy” lub coś podobnego i szybko się oddali.

W rwandyjskiej tradycji sąsiad to bardzo ważna osoba. Tylko on wie, w jakim nastroju wstałeś, czego ci brakuje, w czym mógłby ci doradzić, jak możecie sobie nawzajem pomóc. Jeśli nie znasz swojego sąsiada lub jeśli unika on z tobą rozmowy, czegoś straszliwie ci brak i musisz stamtąd odejść. Nie wyobrażam już sobie przyszłości w Butare, gdyż nikt i nic mnie już tam nie cieszy.

Tak więc, po ludobójstwie miejsce zamieszkania stało się czymś obojętnym; osiedlasz się tam, gdzie rzuci cię los. Teraz jestem w stanie zintegrować się z dowolną grupą, jeżeli tylko znajdę pracę i dach nad głową. W Nyamacie nikt nie mieszka już tam, gdzie powinien. Są ocalali z regionu, którzy nie mogą wrócić do swoich dawnych domów, byli wygnańcy Tutsi z Burundi czy Ugandy, uchodźcy Hutu z Konga, którzy źle się tu czują. Wszędzie jest także wiele smutku i biedy. Ale często powtarzam osobom, które się skarżą: ten, kto po ludobójstwie ma szczęście, że znalazł sobie miejsce, gdzie może jeszcze żyć, powinien się z tego cieszyć i zostać tam bez szemrania.

*

Czuję, że jeśli coś dobrego jeszcze mi się przydarzy, stanie się to w Nyamacie, bo właśnie tutaj odnalazłam siebie. W Nyamacie jeżdżę po wzgórzach, rozmawiam z wieloma ludźmi o tym, co w głębi serca czują. Lubię odwiedzać ludzi, dyskutować. Lubię być obok moich dzieci, szykować im posiłki, zszywać ubrania, to wszystko.

To, że nie zwiedzam innych krajów, nie kupuję sobie pięknej sukienki, którą zauważyłam na wystawie w Kigali, że nie zapraszają mnie na śluby, to wszystko nie martwi mnie tak jak przedtem. Nie zazdroszczę już innym czegoś, czego nie mam.

Nie odczuwam potrzeby czy pragnienia, żeby robić wszystko pospiesznie dlatego, że miałam umrzeć i mogłoby już mnie nie być. Nawet jeszcze nie zaczęłam kopać w moim ogródku, jak to robiłam w Butare.

Nie, wojna nie odebrała mi spokoju ducha. Mam niesłychane szczęście, bowiem są ludzie, którzy zrobili wszystko, co mogli, by uniknąć maczet, a jednak zostali zabici. Ja jeszcze żyję. Skoro mam tę szansę, chcę, by przyjemność rodziła się w spokojnym rytmie, który mi odpowiada, ani za wolnym, ani zawrotnie szybkim. Patrzę, jak czas upływa, nie uganiam się za nim, jednak nie pozwalam mu przeciekać przez palce bez słowa.

Wielu ludzi spędza dni, nic nie robiąc, nie chcą już szukać pracy, nie chcą stawiać murów, stanęli w miejscu. Przygniata ich żałoba, ciąży nadmiar nieszczęść, nawet już nie próbują znaleźć wyjścia z tej sytuacji.

Niektórzy chcą, by życie zatrzymało się po ludobójstwie; by nie musieli już na siebie patrzeć i siebie oceniać. Powtarzają: dlaczego nie mogłem ocalić mamy? Dlaczego nie mogłem ocalić moich dzieci? Czują do siebie wstręt, że jeszcze tu są, że żyją, całkiem sami. Opowiadają: „Siedzieliśmy całą rodziną, usłyszeliśmy zabójców, uciekliśmy; kiedy wróciliśmy, mama, dzieci leżały okaleczone we krwi". Jest wielu ludzi, którzy czują się winni, że żyją, lub którzy myślą, że zajęli przypadkiem miejsce jakiejś zasługującej na życie osoby, albo którzy czują po prostu, że nie powinni żyć.

Ja też zostawiłam za sobą wielu znajomych, ludzi bardzo mi bliskich. Czasem ogarnia mnie smutek, ale nigdy nie mam wyrzutów sumienia. Moi rodzice zginęli 8 kwietnia i nawet wtedy o tym nie wiedziałam, bo nie mogłam otworzyć drzwi. W dniu naszej ucieczki widziałam za sobą wielu umierających. Żyję i niczego sobie nie wyrzucam.

To się stało, to nie powinno było się stać, ale się stało. Czuję ból z powodu śmierci ludzi, których znałam. Ale te osoby, nawet jeśli zostały poćwiartowane siekierą, nawet jeśli miały bardzo złą śmierć, musiały jednak umrzeć tego dnia beze

mnie. Co miałam zrobić? Miałam się przerazić? Miałam wrócić, by umrzeć razem z nimi? Nie. Mówię sobie, że życie dla nich się skończyło, ale dla mnie trwa nadal. Będę po prostu myśleć o nich, o nas, ze smutkiem, przez całe życie.

Wokół mnie było dużo śmierci; lecz nie chcę czuć się zawiedziona życiem, bo jest też wielu żywych. Nie lubię się wycofywać czy żalić i pogrążać. To ten sam rodzaj słabości, opuścić Rwandę, bojąc się kolejnych masakr, i siedzieć przez cały dzień i powtarzać: „Jeśli wypalę cegły, żeby zbudować dom, zostanie zburzony, jeśli uszyję sobie piękne ubranie, będzie rozdarte…”, nie spodziewać się niczego dobrego dla siebie ani dla innych, zwinąć się w kłębek na czarnej chmurze.

Często ja też, rzecz jasna, czułam się w wielu sytuacjach bardzo upokorzona. Żyłam w uzdolnionej rodzinie i została zdziesiątkowana; los się do mnie uśmiechnął, a potem mnie opuścił; chciałam kształcić się na uniwersytecie i porzuciłam studia. Byłam uciekinierem, uchodźcą, prawie żebraczką, czekałam, aż dadzą mi garść jedzenia jak jałmużnę, żyłam w brudzie i byłam godna litości. Ale teraz wszystko to mam już za sobą. Jeżeli życie trwa, koniecznie musi trwać dalej! Gdy zdrowie nie dopisuje, gdy praca zdaje się ponad siły, gdy w domu ogarniają mnie troski, to nie ma dla mnie znaczenia; co rano staram się chwytać pogodę ducha w locie.

W głębi duszy czuję, że nic się we mnie tak bardzo nie zmieniło. Moje życie zboczyło z drogi, sąsiaduję teraz z zupełnie innymi ludźmi, wykonuję inną pracę niż ta, o której myślałam, lecz chcę być tą samą osobą. Nie szukam w ludobójstwie pretekstów, by z czegoś rezygnować czy się usprawiedliwiać. Nie wiem, czy może pan to zrozumieć.

Pamiętam francuskich żołnierzy, którzy w Butare biegali co rano, pocąc się w nowych dresach. W pierwszych dniach ludobójstwa odlecieli, zabierając ze sobą wszystkich białych. Dlaczego tam byli, skoro nie mogli użyć karabinów? Dlaczego uciekli chyłkiem, jeśli nic nie wiedzieli? Nie mam pojęcia, ale wiem, że biali nigdy nie chcieli zobaczyć wprost ludobójstwa.

Telewizyjni operatorzy i dziennikarze podróżowali po kraju. Patrzyli, ale dostrzegali tylko najbardziej widowiskowe, że tak powiem, zdarzenia. Widzieli kolumny Hutu, idące drogami do Konga, i komentowali: „Spójrzcie na nich, oto ofiary wojny, które uniknęły śmierci”. Widzieli armię FPR, wkraczającą do kolejnych regionów, i wyjaśniali: „Oto żołnierze Tutsi, którzy wygrywają etniczną wojnę i wypędzają Hutu”. Ale ludźmi, którzy ukrywali się w bagiennym mule, w kryjówce pod dachem, w głębi studni, nie mogąc ruszyć się na krok przez całe tygodnie, nikt się nie zainteresował. Na ekranach telewizorów reporterzy mówili: „Ci, którzy nie zginęli, próbują ocalić życie, pokonując daleką drogę do obozów” i w końcu zupełnie zapomnieli o ocalałych z rzezi.

Zatem z kim mogli rozmawiać ocalali? Z nikim. Znaleźli się między tymi, którzy powracali, i tymi, którzy stąd odchodzili, i to jeszcze bardziej spychało ich na pobocze. Dla nas było to barbarzyństwo. Ta oschłość serca wydawała nam się bezlitosna. Przez tygodnie uciekaliśmy przed maczetami, przeszliśmy przez najgorsze i nikt nie wyciągnął do nas ręki, nie liczyliśmy się już dla nikogo. Nawet teraz, po latach, niewiele się zmieniło. Nadal istnieją skrywane czy źle opisane prawdy na temat ocalałych, Co sprawia, że cudzoziemcy podejrzliwie patrzą na ludobójstwo. Mam na myśli to, że nie biją na alarm.

Proponuję małe wyjaśnienie: biali, którzy spokojnie patrzyli na ludobójstwo, czują się nieswojo z powodu swej bierności i kłamstw, wolą więc teraz mylić ze sobą masakry, mieszać wojny i kraje, unikać zwyczajnej prawdy i nie spotykać zbyt wielu ocalałych. Toteż ocalali też tracą szacunek dla prawdy i mówią sobie: cóż, skoro innym wystarcza ich prawda, po co mielibyśmy szukać innej? Kolejny ważny wniosek, białemu trudno jest zrozumieć niektóre z afrykańskich postaw. Przedstawię częstą u nas sytuację. Mam dobrego sąsiada, wydaje się, że wszystko jest porządku, jesteśmy spokojnymi ludźmi. Pewnego dnia zaczyna się boczyć, ma mi coś za złe, choć tego nie mówi. Przeżuwa to i jego spojrzenie staje się nieprzyjazne. Jeśli dostrzegę na czas złe oko, to skontaktuję się z którymś z

przyjaciół i wyjaśnię mu, że coś niedobrego dzieje się między nami. Przyjaciel pójdzie do sąsiada i z nim porozmawia. Być może wróci do mnie i powie: „Twój sąsiad zarzuca ci to i to, miej się na baczności”. Wtedy ja mogę spróbować wszystko wyjaśnić albo się zdystansować. Inaczej może dojść do bardzo poważnej waśni. Jeśli Afrykanin chowa w duchu urazę, może nagle wybuchnąć, nie panując nad sobą. Ten afrykański charakter leży u źródeł zupełnie niespodziewanych rzezi. Kiedy do tego dochodzi, biali patrzą na nas i mówią: „No proszę, znowu to Kongo, znowu Sierra Leone, w Angoli znowu się zabijają, ale to przecież minie”.

Jednak w Rwandzie już po kilku dniach biali nie mogli nie rozumieć, że nie chodzi już o zwykłe masakry, ale o ludobójstwo, i nie zareagowali. Dlatego w przyszłości zostawią plamkę na ocalałych, by ukryć swą pogardę.

Gdy dyskutuję ze znajomymi, próbując zrozumieć ludobójstwo, rozważamy trzy możliwości. Pierwsza wiąże się z sytuacją materialną i biedą. Druga możliwość to brak wykształcenia. Trzecia to fakt istnienia wielkiej liczby ludzi łatwo ulegających wpływom i tych, którzy to wykorzystali. Na dziesięciu Rwandyjczyków ośmiu nie umie czytać; łatwo więc wpoić im dowolną występną myśl, jeśli tylko widzą w tym jakąś korzyść materialną. Przed wojną nie dostrzegałam żadnych istotnych różnic między Tutsi i Hutu, gdyż spotykaliśmy się ze sobą, popijaliśmy razem i pomagaliśmy sobie nawzajem. Aż któregoś dnia wyciągnęli wyostrzone wcześniej maczety. Z pewnością kryli w sobie nienawiść, od której nie mogli już całkiem się uwolnić. Lecz nie jest to wystarczające wyjaśnienie w przypadku eksterminacji.

*

Od tego czasu szukam jakiejś wskazówki i nie mogę jej znaleźć. Wiem, że Hutu nie czuli się swobodnie w obecności Tutsi. Postanowili, że nie chcą ich już więcej oglądać, by poczuć się dobrze w swoim własnym gronie. Ale dlaczego? Nie potrafię powiedzieć. Nie wiem, czy noszę na twarzy lub na ciele jakieś szczególne znaki, których oni nie cierpią. Czasami mówię nie, to nie może być to, wysoka, szczupła sylwetka, delikatne rysy, wszystkie te idiotyzmy. Czasem mówię tak,

właśnie to lęgło się w ich głowach. To skrajne szaleństwo i nawet ci, którzy zabijali, nie są dziś w stanie tego pojąć. Ci, którzy mieli zostać zabici, tym bardziej.

Na wzgórzach zdarza mi się rozmawiać z rodzinami, które uczestniczyły w rzeziach. Mówią, że żałują tego, co zrobili ich mężczyźni. Wyjaśniają: „Powiedzieli nam: »Zabijcie Tutsi, będziecie mieli domy, będziecie mieli parcele«. Ale nie wiemy, jak to się mogło stać". Nie rozumiem ich, kiedy tak mówią, ale mogę ich słuchać. W głębi duszy myślę, że nie chodzi o przebaczenie ani o zapomnienie, lecz o pojednanie. Białemu, który pozwolił pracować zabójcom, nie ma czego wybaczać. Hutu, który masakrował, nie ma czego wybaczać. Temu, który patrzył, jak jego sąsiad otwiera brzuchy dziewczętom, żeby na ich oczach zabijać dzieci, nie ma czego wybaczać. Nie warto tracić czasu na rozmowę z kimś takim. Tylko sprawiedliwość może wybaczyć. Trzeba najpierw pomyśleć o sprawiedliwości dla ocalałych. O sprawiedliwości, która zrobi miejsce dla prawdy, by wyparował strach; o sprawiedliwości w celu pojednania.

Zachowuję nadzieję na przyszłość, gdyż na wzgórzach ludzie zaczynają nieśmiało zbliżać się do siebie. Być może któregoś dnia rodziny tych, którzy zabijali, i tych, którzy zostali zabici, zaczną współżyć i pomagać sobie nawzajem, jak kiedyś. Ale gdy chodzi o nas, jest za późno, bo straciliśmy zbyt wiele i powstała pustka. Szliśmy ku życiu, ścinano nas i musieliśmy się cofnąć. To bardzo ciężkie dla istoty ludzkiej, cofnąć się za linię, z której patrzyła na świat. Do dziś nie spotkałam nikogo, kto by twierdził, że jest dumny z tego, że ocalał. Nie poznałam nikogo, kto by powiedział: „Życie jest piękne, nigdy nie wydawało mi się takie piękne, zanim nie poczułem wielkiego strachu przed śmiercią podczas masakr", jak zdarza się mówić tym, którzy wyszli ze strasznej choroby. Ocalali, nawet gdy im się dobrze wiedzie, mają pracę, piękne dzieci, piwo, zostali na zawsze odcięci od swojej egzystencji.

Nie znam żadnego ocalałego, który mógłby stwierdzić, że czuje się w pełni bezpiecznie, że nigdy się nie boi. Jedni boją się wzgórz, a przecież powinni

uprawiać swoje pola. Inni boją się spotkać Hutu na drodze. Są Hutu, którzy ocalili Tutsi, ale nie ośmielają się już wejść do swojej wioski z obawy, by się z kimś nie spotkać. Są ludzie, którzy boją się wizyt albo nocy. Są ludzie o niewinnych twarzach, których się można przestraszyć, i którzy sami boją się, że mogą kogoś przerazić, twarze podobne do twarzy zbrodniarzy. Ludzie boją się gróźb, panicznych wspomnień.

Dam panu pewien przykład. Tydzień temu jedziemy przez busz półciężarówką, by odnaleźć dzieci w kolejnym sektorze. Droga gubi się wśród zarośli. Mówię kierowcy: „Cóż, zabłądziliśmy, ale jedźmy dalej, może kogoś znajdziemy". Na skraju plantacji bananów spotykamy grupę rolników Hutu przy pracy. Kończą przycinać bananowce, patrzą na nas bez słowa, z opuszczonymi rękami. Bezwiednie wołam do nich: „No, tym razem to koniec, tym razem wszyscy umrzemy". Jestem przerażona, nie wiem już, gdzie się znajduję, nie jestem w stanie niczego wyraźnie zobaczyć, zdaje mi się, że znaleźliśmy się w jakimś sennym koszmarze. Płaczę, powtarzam kierowcy: „Nie widzisz ich, tych mężczyzn z maczetami?". Kładzie mi dłoń na ramieniu, mówi: „Nie, Sylvie, to normalne. To rolnicy, którzy podcinają tylko bananowce". Stara się mnie uspokoić. Po raz pierwszy od czasu, gdy wędruję przez busz, to do mnie wróciło, tego dnia tak bardzo się bałam.

Często żałuję czasu, jaki marnuję na myślenie o złu. Mówię sobie, że ten strach odbiera nam czas darowany przez szczęście. Powtarzam w żartach: „Cóż, jeśli ktoś jeszcze chce mnie ściąć, niech idzie po maczetę, w końcu jestem tylko osobą, która ocalała, zabije tę, która i tak miała być zabita". I bawi mnie ta scenka.

Bo kiedy zbyt długo zatrzymujemy się nad strachem przed ludobójstwem, tracimy nadzieję. Tracimy to, co zdołaliśmy ocalić z życia. Możemy się w ten sposób zarazić innym szaleństwem. Gdy w jakiejś spokojnej chwili myślę o ludobójstwie, zastanawiam się, gdzie umiejscowić je w egzystencji, lecz nie widzę takiego miejsca. Chcę po prostu powiedzieć, że to już coś nieludzkiego.

Nyamata, kwiecień 2000.

Podstawowe fakty

Powiat Nyamata rozciąga się na piętnastu wzgórzach i ma powierzchnię 398 km^2.

W marcu 1994 roku, w przeddzień ludobójstwa, liczył 119 tysięcy mieszkańców; około 60 tysięcy Hutu i 59 tysięcy Tutsi. Wysoki odsetek ludności Tutsi wynika z faktu, iż region ten, niezamieszkały jeszcze w pierwszej połowie XX wieku, był najpierw, na początku lat 60., ziemią azylu dla napływających fal uchodźców Tutsi.

Od 11 kwietnia do 14 maja 1994 roku, kiedy przybyły tu oddziały FPR, w powiecie Nyamata zamordowano około 50 tysięcy, czyli pięciu na sześciu Tutsi. Jest zatem prawdopodobne, jak stwierdza Innocent Rwililiza, że gdyby rzezi nie opóźniały grabieże i uczty, sprawcy osiągnęliby cel.

Od lipca 1994 roku w okolicy osiedliło się około 22 tysięcy Tutsi, powracających z wygnania z Burundi czy Ugandy. Natomiast 24 tysiące Hutu nie wróciło po ucieczce do Konga.

Dziś liczba mieszkańców powiatu sięga 67 tysięcy, plus około 6 tysięcy pochodzących stąd więźniów przebywających w zakładzie w Rilimie.

W powiecie doliczono się 13 386 sierot.

Na całym terytorium Rwandy w ciągu dwóch i pół miesiąca zamordowano setki tysięcy Tutsi. Próba ustalenia liczby ofiar po ludobójstwie jest rzeczą bardzo trudną, gdyż wchodzą tu w grę specyficzne świadectwa. Trzeba więc będzie czekać jeszcze wiele lat, by móc w miarę ściśle określić liczbę ofiar rwandyjskiego ludobójstwa, tak jak trzeba było czekać wiele dziesięcioleci, by dość precyzyjnie ustalić liczbę ofiar Holocaustu. Polemiki w związku z różnym szacowaniem tej liczby są dziś bez znaczenia.

Słownik

Boyeste. Żeński odpowiednik boya; mata służąca.

Foufou. Kleisty placek z manioku. W Nyamacie najlepsze robi Édith, która je zresztą uwielbia.

FPR. Front Patriotyczny Rwandy. Oddziały partyzantów Tutsi, formowane od 1988 roku na terenie Ugandy. Front Patriotyczny Rwandy rozpoczął swe akcje zbrojne w roku 1990, podjął szeroką ofensywę w pierwszym dniu ludobójstwa i ostatecznie, pod dowództwem Paula Kagame, zajął cały kraj 4 lipca 1994 roku.

Gonolek. Dzierzbik. Ptak o niezwykle donośnym głosie. Upierzenie szkarłatne, na grzbiecie smolisto czarne, żółty czub.

Inkotanyi. Czyli „niezwyciężony". Nazwa nadawana rebeliantom z FPR, Frontu Patriotycznego Rwandy.

Interahamwe. Znaczy „jedność" Nazwa milicji złożonej z ekstremistów Hutu, powstałej z inicjatywy prezydenta Habyarimany. Szkoliła ich rwandyjska armia; czasem także lokalnie żołnierze francuscy. Byli wyposażeni głównie w maczety i broń białą, dostarczaną przez wojsko, administrację i notabli. Milicja ta, w liczbie kilkudziesięciu tysięcy aktywistów, werbowała i wydawała rozkazy zabójcom podczas masakry.

Mwami. Król Tutsi.

Primus. Najbardziej popularny gatunek piwa pochodzącego z Belgii. Warzy się je w Gisenyi, w zachodniej części Rwandy, i sprzedaje wyłącznie w litrowych butelkach. Ma lekko gorzki posmak, normalną zawartość alkoholu, jest tanie i pije się je w temperaturze letniej. Dzieli świat rwandyjskich piwoszy na dwa zantagonizowane ze sobą obozy. Wielbiciele primusa nie wyobrażają sobie, by mogli wypić choć łyk droższego mutziga, warzonego w Burundi, czy mdłego amstela.

Talapoin. Niewielka małpka o akrobatycznych zdolnościach, która żyje w stadach złożonych z kilkudziesięciu osobników i lubi baraszkować w wodzie.

Tomak, turak, nektarnik, żako. Nazwy kilku z niezliczonych gatunków czarodziejskich ptaków ze wzgórz.

Umuniyinya. Ogromne drzewo, zwane „drzewem posłuchań", o rozłożystych gałęziach i gęstym, dającym cień listowiu.

Umunzenze. Wielkie drzewo rosnące na bagnach.

Urwagwa. Wino z bananów, bardzo tanie, mniej lub bardziej mocne i kwaśne, które należy wypić w ciągu trzech dni po fermentacji.

Wyjaśnienie. Każde rwandyjskie dziecko otrzymuje przy narodzinach rwandyjskie imię, a w dniu chrztu zachodnie imię chrześcijańskie. Rwandyjskie imiona zabójców, wspomnianych w tej książce, zostały usunięte z tekstu, gdyż większość tych osób jest poszukiwana lub czeka na proces.

Chronologia

1921 Przyznanie Belgii mandatu nad Rwandą.

1931 Wprowadzenie dokumentu tożsamości ze wzmianką o przynależności etnicznej.

1959 Tajemnicza śmierć ostatniego króla Tutsi, Mutary Rudahigwy. Bunty chłopów Hutu, które doprowadzają do exodusu setek tysięcy Tutsi.

1961 Zwycięstwo partii Hutu w pierwszych wyborach parlamentarnych.

1962 Ogłoszenie niepodległości Rwandy.

1973 Zamach stanu majora Juvénala Habyarimany.

1978 Juvénil Habyarimana zostaje prezydentem kraju, będzie wybierany na to stanowisko aż do śmierci w 1994 roku.

1990 Pierwsze sukcesy militarne FPR w Rwandzie.

1993 Zawarcie pokoju w Arushy między rwandyjskim rządem Hutu i FPR.

1994 6 *kwietnia, godzina 20.00*

Zamach na prezydenta Juvénala Habyarimanę nieopodal lotniska w Kigali.

7 kwietnia rano

Pierwsze zabójstwa osobistości sprzyjających demokracji, w tym premier Hjutu, Agathe Uwilingiyimany. Natychmiastowe wkroczenie oddziałów FPR na terytorium Rwandy. Zajęcie stolicy przez bojówkarzy *interahamwe*. Początek ludobójstwa, które trwa prawie sto dni.

4 lipca

Zajęcie centrum Kigali przez FPR.

15 lipca

500 tysięcy uchodźców Hutu przekracza granicę z Kongiem. Trzy razy tyle dołączy do nich w kolejnych tygodniach w obozach na wschodzie Konga.

3 października

Rada Bezpieczeństwa ONZ przyjmuje rezolucję, w której masakry dokonane w Rwandzie przez były reżim Hutu określa się mianem ludobójstwa.

1996 *Listopad*

Inwazja oddziałów FPR na wschodnie tereny Konga, co powoduje masowy powrót uchodźców Hutu do Rwandy.